

Wydrażona iglica





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Publikacja sfinansowana z darowizn przekazanych na Wolne Lektury w ramach 1% za rok 2020.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

MAURICE LEBLANC

Wydrążona iglica

TŁUM. TŁUMACZ NIEZNANY

TOM I

ROZDZIAŁ I. STRZAŁ

Rajmunda nadstawiła ucha. Dwukrotnie usłyszała szmer, na tyle wyraźny, że można go było odróżnić od wszystkich przytłumionych szmerów składających się na wielką nocną ciszę, lecz z drugiej strony tak słaby, że nie byłaby w stanie określić, czy był bliski, czy daleki, czy zrodził się wśród murów przestronnego zamku, czy w mrokach parku.

Wstała ostrożnie. Okno było do połowy odchyłone: otworzyła je. Blask księżycy zalewał łagodny krajobraz. Na tle murów i zarośli odcinały się tragicznymi sylwetami rozrzucone ruiny starego opactwa: złamane kolumny, niepełne łuki, szczątki portyków¹ i resztki filarów. Przewiewał lekki wietrzyk, prześlizgujący się poprzez nagie, nieruchome gałęzie drzew i poruszający małe, rodzące się listeczki gąszczów.

I nagle ten sam szmer... Dobiegał z prawej strony, poniżej piętra, na którym mieszkała, a więc w salonach, które znajdowały się w zachodnim skrzydle zamku.

Dziewczyna, chociaż dzielna i silna, uczuła lęk. Ubrała się i wzięła zapalki.

— Rajmundo... Rajmundo...

Głos słaby niby tchnienie wzywał ją z sąsiedniego pokoju, którego drzwi były zamknięte. Zwróciła się tam, idąc po omacku, gdy z pokoju tego wyszła jej kuzynka Zuzanna i padła w jej ramiona.

— Rajmundo... to ty?... Słyszałaś?...

— Tak... To ty nie śpisz?...

— Zdaje mi się, że zbudził mnie pies... już dawno... Lecz teraz nie szczeka. Która też może być godzina?

— Około czwartej.

— Słuchaj... Ktoś chodzi po salonie, na pewno!

— Nie ma niebezpieczeństwa, Zuzanno, tam jest twój ojciec.

— Ale jemu grozi niebezpieczeństwo. Śpi tuż obok małego salonu.

— Pan Daval też tam jest...

— W drugim końcu zamku... Jak chcesz, żeby usłyszał?...

Wahały się, nie wiedząc, co począć. Krzyknąć? Wołać pomocy? Nie śmiały, do tego stopnia nawet szmer ich własnego głosu wydawał się im wątpliwy. Lecz nagle Zuzanna, która zbliżyła się do okna, zdławiła okrzyk.

— Patrz, jakiś człowiek przy fontannie.

Jakiś człowiek istotnie oddalał się pospiesznie. Niósł w rękach jakiś dość duży przedmiot, którego nie mogły rozpoznać, a który, uderzając o jego nogi, przeszkadzał mu w chodzie. Widziały, jak przeszedł obok starożytniej kaplicy i skierował się w stronę drzwiczek w murze. Musiały być otwarte, gdyż zniknął w jednej chwili i nie słyszały zwykłego skrzypienia zawiasów.

— Wyszedł ze salonu — szepnęła Zuzanna.

— Nie, schody i przedsionek poprowadziłyby go bardziej na lewo... Chyba że...

Wtem wstrząsnęła nimi jedna i ta sama myśl. Wychyliły się. Pod nimi stała przystawiona do fasady drabina, opierająca się o pierwsze piętro. Jakieś światło oświetlało kamienny balkon. Inny człowiek, który też coś niósł, przemknął przez balkon, zszedł po drabinie i uciekł tą samą drogą.

Zuzanna, przerażona i bezsilna, padła na kolana, jękając się:

— Wołajmy... wołajmy pomocy...

— Kto przyjdzie? Twój ojciec... A jeśli tam są jeszcze inni ludzie... jeśli się rzucą na niego?...

— A więc... a więc... można by powiadomić służbę... Twój dzwonek łączy się z ich piętrem.

— Tak... tak... może to dobry pomysł... Byle tylko przyszli na czas!

¹portyk — otwarta frontowa część budowli z rzędem kolumn wspierających dach, znajdująca się bezpośrednio przed głównym wejściem. [przypis edytorski]

Rajmunda poszukała elektrycznego dzwonka koło swego łóżka i nacisnęła go palcem. Odezwał się dźwięk i obie odniosły wrażenie, że na dole chyba musieli usłyszeć ten wyraźny głos.

Czekały. Milczenie stawało się przerażające i nawet wietrzyk nie poruszał już liści drzew.

— Boję się... Boję się... — powtarzała Zuzanna.

Nagle wśród głębokiej nocy rozległ się pod nimi hałas walki, łoskot przewracanych mebli, dźwięk słów, wykrzykników, a potem straszny, posępny, ochrypły jęk, charczenie zdławionej ludzkiej istoty...

Rajmunda rzuciła się do drzwi. Zuzanna uchwyciła się rozpaczliwie jej ramienia.

— Nie... nie... Nie opuszczaj mnie... Boję się...

Rajmunda odepchnęła ją i skoczyła na korytarz. Tuż za nią postępowała Zuzanna, zataczając się i wydając okrzyki trwogi. Rajmunda dopadła schodów, zbiegła po stopniach, rzuciła się ku drzwiom wielkiego salonu i stanęła jak wryta u progu, podczas gdy Zuzanna przysiadła u jej boku. Naprzeciw nich, o trzy kroki, stał jakiś mężczyzna, trzymający w ręku latarnię. Jednym ruchem skierował ją na obie dziewczęta, oślepiając je światłem. Przyglądał się długo ich bladym obliczom, a potem zupełnie powoli wziął swoją czapkę, podniósł kawałek papieru i dwa źdźbła słomy, wytarł ślady na dywanie, zbliżył się do balkonu, odwrócił się ku dziewczętom, skłonił się im głęboko i zniknął.

Zuzanna pierwsza pobiegła do małego buduaru, który oddzielał wielki salon od pokoju jej ojca. Lecz u wejścia przeraził ją okropny widok. W ukośnym świetle księżycy widać było na ziemi dwa martwe ciała, leżące obok siebie. Rzuciła się na jedno z nich.

— Ojcze!... Ojcze!... To ty?... Co ci się stało?... — krzyczała, zrozpaczona.

Po chwili hrabia de Gesvres poruszył się. Cichym głosem rzekł:

— Nie bój się, to nic... Nie jestem ranny... A Daval?... Żyje?... A nóż?... nóż?...

W tej chwili weszli dwaj służący ze świecami. Rajmunda rzuciła się na ziemię przed drugim ciałem i poznała Jana Daval, sekretarza i powiernika hrabiego. Był już trupio blady.

Wówczas wstała, wróciła do salonu, spośród broni wiszącej na ścianie wzięła nabitą strzelbę i wyszła na balkon. Nie minęło z pewnością więcej niż pięćdziesiąt do sześćdziesięciu sekund od chwili, w której tamten człowiek stanął na pierwszym szczeblu drabiny. Zatem nie mógł być daleko, tym bardziej że z pewnością był na tyle ostrożny, ażeby usunąć drabinę i uczynić ją bezużyteczną. Istotnie, spostrzegła go zaraz, jak szedł wzdłuż szczytków starego klasztoru. Złożyła się, wymierzyła spokojnie i strzeliła. Mężczyzna upadł.

— Udało się! Udało się! — zawołał jeden ze służby. — Tego się złapie. Lecę tam.

— Nie, Wiktorze, on wstaje. Zejdźcie po drabinie i idźcie prosto do małej furtki.

Wiktor pospieszył, lecz zanim jeszcze znalazł się w parku, człowiek upadł ponownie. Rajmunda zawołała drugiego służącego.

— Albercie, czy widzicie go tam na dole? Blisko wielkiej arkady?...

— Tak, czołga się w trawie... O, on już gotów...

— Proszę go stąd obserwować.

— Niemożliwe, żeby uciekł. Z prawej strony ruin odkryty trawnik.

— A Wiktor strzeże furtki z lewej — rzekła, biorąc ponownie strzelbę.

— Ale panienska tam nie pójdzie?

— Owszem, owszem — odparła stanowczo z energicznymi ruchami. — Proszę mnie nie wstrzymywać, mam jeszcze jeden nabój... Jeśli się ruszy...

Wyszła. Po chwili Albert zobaczył, jak skierowała się w stronę ruin. Zawołał do niej z okna:

— Zawłókl się za arkadę. Nie widzę go już... Ostrożnie, panienko...

Rajmunda obeszła stary klasztor, żeby odciąć mężczyźnie odwrót, i wkrótce Alert stracił ją z oczu. Po kilku minutach, nie widząc jej, zaniepokoił się i bacznie obserwując ruiny, zamiast zejść po schodach, próbował dostać się na drabinę. Kiedy mu się to udało, zszedł szybko i pobiegł wprost ku arkadzie, koło której po raz ostatni widział mężczyznę. O trzydzieści kroków dalej znalazł Rajmundę, która szukała razem z Wiktorem.

— I cóż? — rzekł.

— Nie udało się go złapać — odpowiedział Wiktor.

Strach

- A furтка?
- Wracam od niej... To klucz.
- Mimo to trzeba dobrze...
- O, już na pewno nie umknie... Za dziesięć minut złapiemy tego zbója!

Dzierżawca i jego syn, obudzeni wystrzałem, przybyli z folwarku, którego budynki wznosiły się dosyć daleko na prawo, ale w obrębie murów. Nie spotkali nikogo.

— Dalibóg — rzekł Albert — ten łotr nie mógł opuścić ruin... Znajdziemy go na dnie jakiejś jamy.

Zorganizowali systematyczną nagonkę, przetrzasnęli każdy krzak, odchylali ciężkie sploty bluszczu, wijącego się dookoła trzonów kolumn. Upewnili się, że kaplica jest dobrze zamknięta i że żadne z okien nie zostało rozbite. Okrążyli klasztor, przeszukali wszystkie kąty i zakątki. Lecz wszelkie poszukiwania były daremne.

Jedno, jedyne odkrycie: w miejscu, gdzie upadł mężczyzna, znaleziono szoferską czapkę z płowej, miękkiej skóry. Poza tym nic.

O szóstej rano zawiadomiono żandarmerię z Ouveille-la-Rivière, która udała się na miejsce po wysłaniu ekspresem do prokuratury w Dieppe krótkiej notatki, donoszącej o okolicznościach zbrodni, o mającym lada chwila nastąpić schwytaniu głównego winowajcy oraz o „odnalezieniu jego nakrycia głowy i sztyletu, którym dokonał swej zbrodni”.

O godzinie dziesiątej dwa wynajęte pojazdy zjeżdżały z łagodnego stoku prowadzącego do zamku. Pierwszy, szacowna bryczka, mieścił w sobie zastępcę prokuratora, sędziego śledczego i jego pisarza. W drugim, skromnym kabriolecie², siedzieli dwaj młodzi reporterzy, reprezentujący „Journal de Rouen” i pewien wielki dziennik paryski.

Oczom przyjeżdżających ukazał się stary zamek. Niegdyś siedziba opatów d’Ambrumésy, zniszczony przez rewolucję, odrestaurowany przez hrabiego des Gesvres, do którego należy od dwudziestu lat, składa się z głównego budynku, nad którym wznosi się wieżyczka zegarowa, i dwóch skrzydeł, z których każde otoczone jest szerokimi zewnętrznymi schodami z kamienną balustradą. Ponad murem parku, za płaskowyżem wspartym na wysokich klifach normandzkich, widać pomiędzy wioskami Sainte-Marguerite i Varengeville błękitny pas morza.

W zamku tym żył hrabia de Gesvres wraz z swą córką Zuzanną, ładną, delikatną istotą z jasnymi włosami, oraz siostrzenicą Rajmundą de Saint-Véran, którą przygarnął do siebie przed dwoma laty, kiedy nagła śmierć jednocześnie jej ojca i matki uczyniła ją sierotą. Życie w zamku było spokojne i regularne. Od czasu do czasu przybywało z wizytą kilku sąsiadów. W lecie hrabia prawie codziennie woził obie dziewczyny do Dieppe. Był to wysoki mężczyzna o przystojnej, poważnej twarzy i szpakowatych włosach. Bardzo bogaty, sam zarządzał swym majątkiem i czuwał nad swymi rozległymi dobrami przy pomocy swego sekretarza Jana Daval.

Na wstępie sędzia śledczy przyjął do wiadomości pierwsze ustalenia sierżanta żandarmerii Quevillona. Schwytanie winowajcy, wciąż zresztą mające nastąpić lada chwila, nie zostało jeszcze dotąd dokonane, lecz obstawiono wszystkie wyjścia z parku. Ucieczka była niemożliwa.

Mała grupka przeszła następnie kapitularz³ i refektarz⁴ i weszła na pierwsze piętro. Natychmiast zauważono doskonały porządek w salonie. Ani jeden mebel, ani jeden drobiazg nie zdawał się zajmować innego miejsca niż zwyczajne, nie było luki po żadnym z mebli ani drobiazgów. Z prawej i lewej strony wisiały wspaniałe gobeliny flamandzkie z figurami. W głębi, na ścianach, cztery piękne płótna w stylowych ramach przedstawiały sceny z mitologii. Były to sławne obrazy Rubensa⁵, zapisane hrabiemu de Gesvres, podobnie jak gobeliny flamandzkie, przez jego wujka, markiza Bobadillę, granda⁶ hiszpańskiego.

²*kabriolet* (daw.) — lekki jednokonny dwukołowy powóz ze składaną budą. [przypis edytorski]

³*kapitularz* — pomieszczenie klasztorne przeznaczone na zebrania kapituły, czyli rady starszych duchownych. [przypis edytorski]

⁴*refektarz* — jadalnia w klasztorze lub w innej instytucji kościelnej. [przypis edytorski]

⁵*Rubens, Peter Paul* (1577–1640) — znakomity malarz flamandzki epoki baroku. [przypis edytorski]

⁶*grand* — arystokratyczny tytuł hiszpański. [przypis edytorski]

Pan Filleul zauważył:

— Jeśli motywem zbrodni była kradzież, to w każdym razie ten salon nie był jej przedmiotem.

— Któż to wie? — rzekł zastępca prokuratora, który mówił mało, lecz zawsze wbrew opinii sędziego.

— Bo widzi pan, drogi panie, włamywacz najpierw starałby się zabrać te gobeliny i te obrazy, których sława jest powszechna.

— Może na to brakło mu czasu.

— Tego właśnie się dowiemy.

W tej chwili wszedł hrabia de Gesvres, a za nim lekarz. Hrabia, który zdawał się zupełnie nie odczuwać niedawnej napaści, powitał uprzejmie obu urzędników. Potem otworzył drzwi do buduaru.

Pokój, do którego nikt prócz lekarza nie wszedł od chwili zbrodni, znajdował się w przeciwieństwie do salonu w największym nieładzie. Dwa krzesła były przewrócone, jeden ze stołów połamany, a wiele innych przedmiotów, jak zegarek podróżny, teczka, pudełko z papierem listowym, leżało na ziemi. Na niektórych rozrzuconych białych kartkach była krew.

Lekarz odsunął prześcieradło, które pokrywało trupa. Jan Daval, odziany w swoje zwykle ubranie welwetowe i z podkutymi butami na nogach, leżał rozciągnięty na plecach, z jednym ramieniem zagiętym pod siebie. Zdjęto mu kołnierzyk i rozpięto koszulę, odsłaniając wielką ranę w piersi.

— Śmierć musiała być natychmiastowa — oświadczył lekarz. — Wystarczyło jedno pchnięcie nożem.

— To był bez wątpienia nóż — rzekł sędzia śledczy — który spostrzegłem na kominku w salonie obok skórzanej czapki?

— Tak — potwierdził hrabia de Gesvres — nóż znaleziono właśnie tutaj. Pochodzi on ze zbioru broni w salonie, skąd moja siostrzenica, panna de Saint-Véran, chwyciła strzelbę. Zaś co do czapki szoferskiej, należy ona najwidoczniej do mordercy.

Pan Filleul zbadał jeszcze pewne szczegóły pokoju, zwrócił się z kilkoma pytaniami do lekarza, a potem poprosił pana de Gesvres, żeby mu opowiedział, co widział i co wiedział. Oto co powiedział hrabia:

— To Jan Daval mnie zbudził. W ogóle spałem źle, z przebłyskami świadomości, w których zdawało mi się, że słyszę jakieś kroki, gdy wtem, otwierając oczy, spostrzegłem go u stóp swego łóżka, ze świecą w ręku, zupełnie ubranego... jak jest teraz właśnie, gdyż pracował często do bardzo późna w nocy. Zdawał się bardzo wzburzony i rzekł do mnie po cichu: „W salonie są jacyś ludzie”. Istotnie usłyszałem hałas. Wstałem i lekko odchyliłem drzwi do tego buduaru. W tej samej chwili popchnięto drzwi, które wiodą do wielkiego salonu, i zjawił się jakiś mężczyzna, który rzucił się na mnie i ogłuszył mnie uderzeniem pięści w skroń. Opowiadam to panu bez szczegółów, panie sędzio śledczy, z tej prostej przyczyny, że przypominam sobie jedynie zasadnicze fakty i że te fakty następowały po sobie z błyskawiczną szybkością.

— A potem?

— A potem nie wiem nic więcej... Zemdlałem... Kiedy odzyskałem przytomność, Daval leżał obok mnie śmiertelnie ranny.

— Na pierwszy rzut oka nie podejrzewa pan nikogo?

— Nikogo.

— Nie ma pan żadnego wroga?

— Nie wiem o żadnym.

— A czy pan Daval miał wrogów?

— Daval wrogów? Toż to było najlepsze stworzenie pod słońcem. Od dwudziestu lat, jak Daval był moim sekretarzem i, mogę to powiedzieć, powiernikiem, widziałem wokoło niego tylko sympatię i przyjaźń.

— A mimo to miało miejsce włamanie, miał miejsce mord, a do tego trzeba jakiegoś powodu.

— Powód? Ależ była nim po prostu tylko kradzież.

— Kradzież? Więc co panu ukradziono?

Śmierć, Zbrodnia

— Nic.

— Zatem?

— Zatem, jeżeli niczego nie ukradziono i jeżeli mi niczego nie brakuje, to przynajmniej musiano coś wynieść.

— Cóż takiego?

— Nie wiem. Lecz moja córka i moja siostrzenica powiedzą panu z wszelką pewnością, że widziały, jak dwaj mężczyźni przechodzili jeden po drugim przez park i nieśli dosyć wielkie ciężary.

— Te panienki?

— Czyżby te panienki śniły? Byłbym skłonny w to uwierzyć, gdyż od dziś rana gubię się w dociekaniach i przypuszczeniach. Zresztą najlepiej będzie je zapytać.

Zawezwano obie kuzynki do wielkiego salonu. Zuzanna, jeszcze cała blada i drżąca, ledwie mogła mówić. Rajmunda, energiczniejsza i bardziej męska, a zarazem piękniejsza z pozłocistym blaskiem swych czarnych oczu, opowiedziała nocne zdarzenia i swój w nich udział.

— Zatem pani zeznania są kategoriyczne?

— Stanowczo. Dwaj mężczyźni, którzy przechodzili przez park, nieśli jakieś przedmioty.

— A trzeci?

— Wyszedł stąd z próżnymi rękoma.

— Czy mogłaby go nam pani opisać?

— Niestety, nie omieszkał oślepić nas blaskiem swej latarni. Powiedziałabym, że jest raczej wysoki i ciężki...

— Czy pani wydał się taki sam? — zapytał sędzia Zuzannę de Gesvres.

— Tak... a raczej nie... — rzekła Zuzanna, zastanawiając się. — Ja widziałam człowieka średniego wzrostu i szczupłego.

Pan Filleul uśmiechnął się, przywykły do sprzeczności w zeznaniach świadków tego samego zdarzenia.

— Zatem mamy teraz do czynienia z jednej strony z osobnikiem z salonu, który jest równocześnie wysoki i niski, gruby i szczupły, a z drugiej z dwoma osobnikami z parku, których oskarża się o skradzenie z tego salonu przedmiotów... które nadal się w nim znajdują.

Pan Filleul należał, jak sam powiadał, do szkoły sędziów ironistów. Był to również sędzia, który nie miał nic przeciwko galerii ani sposobności pokazania publiczności swych umiejętności, o czym świadczyła wzrastająca liczba osób tłoczących się w salonie. Do dziennikarzy przyłączyli się dzierżawca i jego syn, ogrodnik i jego żona, potem służba zamkowa i wreszcie dwaj woźnice, którzy przyjechali z powozami z Dieppe.

Pan Filleul mówił w dalszym ciągu:

— Chodziłoby także o to, żeby uzgodnić sposób, w jaki zniknął ten trzeci osobnik. Pani strzeliła z tej strzelby i z tego okna?

— Tak, ten człowiek dotarł do nagrobka, prawie zupełnie ukrytego pod jeżynami, z lewej strony klasztoru.

— Ale się podniósł?

— Tylko w połowie. Wiktor natychmiast poszedł, żeby pilnować furtki, a ja poszłam za nim, zostawiając tutaj na straży naszego służącego, Alberta.

Następnie z kolei złożył zeznanie Albert i sędzia wywnioskował:

— Otóż, według was, ranny nie mógł uciec ani w lewo, gdyż wasz towarzysz strzegł furtki, ani w prawo, gdyż bylibyście go spostrzegli na trawniku. Zatem, logicznie rzecz biorąc, znajduje się on teraz na stosunkowo niewielkiej przestrzeni, którą mamy przed sobą.

— Jestem o tym przekonany.

— Czy pani także?

— Tak.

— Ja również — rzekł Wiktor.

Zastępca prokuratora zawołał ironicznym tonem:

— Pole badań jest dość wąskie. Wystarczy prowadzić dalej poszukiwania zaczęte cztery godziny temu.

— Może my będziemy mieć więcej szczęścia.

Pan Filleul wziął z kominka skórzaną czapkę, oglądnął ją i wezwawszy sierżanta żandarmerii, powiedział mu na osobności:

— Panie sierżancie, proszę natychmiast posłać człowieka do Dieppe, do kapelusznika Maigret, na rue de la Barre, i niech nam pan Maigret powie, jeśli to możliwe, komu sprzedano tę czapkę.

„Pole badań”, wedle określenia zastępcy prokuratora, ograniczało się do przestrzeni mieszczącej się między zamkiem, trawnikiem z prawej strony, kątem utworzonym przez mur z lewej i murem leżącym naprzeciw zamku, po prostu czworobok o boku mniej więcej stu metrów, na którym wznosiły się tu i ówdzie ruiny Ambrumésy, klasztoru tak sławnego w wiekach średnich.

Zaraz w zmierzwionej trawie znaleziono ślad po uciekającym. Zauważono w dwu miejscach ślady szerniałej, prawie zaschniętej krwi. Za skrzyżowaniem, który oznaczał kraniec klasztoru, nie było nic więcej, gdyż charakter gruntu, pokrytego tu igliwem sosnowym, nie nadawał się już do odcisków ciała. Lecz w takim razie jak ranny mógł umknąć wzrokowi młodej dziewczyny, Wiktora i Alberta? Kilka zarośli, które do cna przetrząsnęła służba i żandarmi, kilka płyt nagrobkowych, pod którymi szukano, to było wszystko.

Sędzia śledczy kazał ogrodnikowi, który miał klucz, otworzyć kaplicę, prawdziwy klejnot rzeźby, relikwiarz kamienny, który uszanowały czasy i rewolucje i który uchodził zawsze wraz z cyzelowaniami swego portyku i drobnym ludkiem swych statuetek za jeden z cudów normandzkiego stylu gotyckiego. Kaplica, wewnątrz bardzo prosta, bez innej ozdoby prócz marmurowego ołtarza, nie użyła żadnej kryjówki. Zresztą nie można było się do niej dostać. Jakim sposobem?

Badanie skończyło się na furtce w murze służącej jako wejście dla zwiedzających ruiny. Wychodziła ona na zagłębioną drogę ściśniętą między murem a przyciętym szpalerem, gdzie widać było opuszczone kamieniołomy. Pan Filleul schylił się: pył drogi nosił ślady przeciwpoślizgowych opon pneumatycznych. Istotnie, Rajmundzie i Wiktorowi zdawało się po strzale, że słyszą hałas samochodu.

Sędzia śledczy zauważył:

— Ranny musiał dołączyć do swoich współników.

— To niemożliwe! — zawołał Wiktor. — Byłem tam wówczas, gdy panią i Albert nadal go widzieli.

— Cóż, musi gdzieś być! Zewnątrz czy wewnątrz, nie mamy wyboru.

— On jest tu — twierdził uparcie służący.

Sędzia wzruszył ramionami i odwrócił się od nich ku zamkowi, dosyć markotny. Sprawa zapowiadała się stanowczo niedobrze. Kradzież, w której niczego nie ukradziono, niewidzialny więzień, nie było czego się chwycić.

Było już późno. Pan de Gesvres zaprosił urzędników i obu dziennikarzy na obiad. Jedzono w milczeniu, potem pan Filleul wrócił do salonu, gdzie wypytywał służbę. Wtem od strony dziedzińca rozległ się tętent konia i w chwilę potem wszedł żandarm, którego posłano do Dieppe:

— No i cóż, spotkaliście kapelusznika? — zawołał sędzia z niecierpliwością, czekając pierwszej wiadomości.

— Spotkałem pana Maigret. Tę czapkę sprzedano jakiemuś woźnicy.

— Woźnicy!

— Tak, woźnicy, który zatrzymał się przed magazynem ze swym powozem i zapytał, czy nie mógłby dostać dla jednego ze swych klientów żółtej czapki szoferskiej. Była tylko ta. Zapłacił, nie oglądając wcale towaru, i odjechał. Bardzo się spieszył.

— Jakiego rodzaju powóz?

— Bryczka.

— A którego dnia to było?

— Którego dnia? Ależ dziś rano, o ósmej.

— Dziś rano? Co wy mówicie?

— Czapkę kupiono dziś rano.

— Ależ to niemożliwe, bo przecież znaleziono ją tej nocy w parku. Skoro ją tam znaleziono, to musiała tam być, a więc musiała być kupiona przedtem.

— Dziś rano. Tak mi powiedział kapelusznik.

Nastąpiła chwila oszołomienia. Sędzia śledczy, ogłupiały, usiłował zrozumieć to wszystko. Nagle podskoczył, rażony błyskiem jasnej myśli.

— Przyrowadzić tu woźnicę, który nas przywiózł dziś rano! Tego od bryczki! Przyrowadzić go zaraz!

Sierżant żandarmerii i jego podwładny pobiegli pospiesznie do stajni. Po kilku minutach sierżant wrócił sam.

— Woźnica?

— Kazał sobie dać jeść w kuchni, zjadł śniadanie, a potem...

— A potem?

— Umknął.

— Ze swym wozem?

— Nie. Pod pozorem, że chce odwiedzić jednego ze swych krewnych w Ouville, pożyczył rower od stajennego. Oto jego kapelusz i płaszcz.

— Ale nie pojechał z odkrytą głową?

— Wyjął z kieszeni czapkę i założył na głowę.

— Czapkę?

— Tak, zdaje się z żółtej skóry.

— Z żółtej skóry? Ależ nie, przecież ona jest tutaj.

— Istotnie, panie sędzio śledczy, lecz jego jest podobna.

Zastępca prokuratora zachichotał kpiąco.

— Bardzo śmieszne! Ogromnie zabawne! Są dwie czapki... Jedna, która była prawdziwa i która stanowiła nasz jedyny dowód, odjechała na głowie rzekomego woźnicy! A druga, która jest fałszywa, pan ma w ręku. Ach, ten zuch dobrze z nas zadrwił.

— Chwytajcie go! Sprowadźcie go! — wołał pan Filleul. — Sierżancie Quevillon, dwu pańskich ludzi na koń i w cwał!

— Teraz jest już daleko — rzekł zastępca prokuratora.

— Niech będzie daleko, jak chce, trzeba ścigać.

— Tak myślę, lecz zarazem sądzę, panie sędzio śledczy, że nasze wysiłki powinny przede wszystkim skupić się tutaj. Proszę przeczytać papier, który właśnie znalazłem w kieszeni płaszcza.

— Jakiego płaszcza?

— Płaszcz woźnicy.

I zastępca prokuratora podał panu Filleul złożony we czworo papier, na którym widniało tych kilka słów, napisanych ołówkiem, pismem dosyć pospolitym:

Biada panience, jeśli zabiła pryncypała⁷.

Wywołało to pewne poruszenie.

— Mądrej głowie dość pałką... ostrzegają nas — mruknął zastępca prokuratora.

— Panie hrabio — podjął tok rozmowy sędzia śledczy — błagam, niech się pan nie niepokoi. A pani również. Ta groźba nie ma żadnego znaczenia, gdyż organa sprawiedliwości są na miejscu. Zostaną zarządzane wszelkie środki ostrożności. Odpowiadam za bezpieczeństwo państwa. Zaś co do panów — dodał, zwracając się do obu reporterów — liczę na dyskrecję panów. Jedynie dzięki przesadnej uprzejmości z mej strony byliście panowie świadkami tego śledztwa i źle byście mi się panowie odpłacili...

Tu przerwał, jak gdyby go uderzyła jakaś myśl. Obejrzał obu młodych ludzi po kolei i zbliżając się do jednego z nich, zapytał:

— W jakim dzienniku pan pracuje?

— W „Journal de Rouen”.

— Czy ma pan legitymację?

— Proszę, to ona.

⁷pryncypał (daw.) — zwierzchnik, przełożony. [przypis edytorski]

Dokument był w porządku. Nie było co mówić. Pan Filleul zapytał drugiego reportera:

— A pan?

— Ja?

— Tak, pytam pana, do jakiej pan należy redakcji.

— Mój Boże, panie sędzio śledczy, pisuję w wielu dziennikach... po trosze wszędzie...

— Pańska legitymacja?

— Nie mam żadnej.

— Ach! Jakże to?...

— Żeby dziennik wydał legitymację, trzeba pisać w nim stale.

— A więc?

— A więc ja jestem tylko współpracownikiem okolicznościowym. Posyłam na prawo i na lewo artykuły, które mi drukują lub odrzucają, zależnie od okoliczności.

— A w takim razie pańskie nazwisko? Pańskie papiery?

— Moje nazwisko nic panu nie powie. A co do papierów, nie mam ich wcale.

— Nie ma pan żadnego świstka, który by potwierdzał pański zawód?

— Nie mam żadnego zawodu.

— Ależ w końcu, mój panie — zawołał sędzia z pewną brutalnością — nie może pan oczekiwać, że zachowa swoje incognito, skoro się pan tu wśliznął podstępem i podchwycił tajemnice sprawiedliwości!

— Pan będzie łaskaw zauważyć, panie sędzio śledczy, że o nic mnie pan nie pytał, kiedy przybyłem, i że wobec tego nie miałem co mówić. Zresztą pańskie śledztwo nie wydaje mi się wcale tajne, skoro wszyscy byli przy nim... nawet jeden z winnych.

Mówił łagodnie, tonem nieskończonej grzeczności. Był to zupełnie młody człowiek, bardzo wysoki i bardzo szczupły, odziany bez najmniejszej kokieterii w zbyt krótkie spodnie i za ciasny surdut. Miał cerę różową jak dziewczyna, szerokie czoło, przesłonięte wiechłą włosów, i jasną brodę, nierówną i źle przyciętą. W jego żywych oczach jaśniała inteligencja. Nie zdawał się wcale zakłopotany i uśmiechał się sympatycznym uśmiechem, w którym nie było żadnego śladu drwiny.

Pan Filleul oglądał go z wzrastającą nieufnością. Dwaj żandarmi postąpili naprzód. Młodzieniec zawołał wesoło:

— Panie sędzio śledczy, najwidoczniej podejrzewa mnie pan, że należę do winowajców. Lecz gdyby tak było, czyż nie wymknąłbym się w stosownej chwili za przykładem swego rzekomego towarzysza?

— Mógłby pan spodziewać się...

— Wszelka nadzieja byłaby tu głupia. Proszę się zastanowić, panie sędzio śledczy, a zgodzi się pan ze mną, że logicznie rzecz biorąc...

Pan Filleul spojrział mu prosto w oczy i rzekł oschle:

— Dostyc tej zabawy! Pańskie nazwisko?

— Izydor Beautrelet.

— Pański zawód?

— Uczeń klasy maturalnej liceum Janson de Sailly.

Pan Filleul wytrzeszczył zdumione oczy.

— Co mi pan tu plecie? Uczeń klasy maturalnej...

— W liceum Janson, rue de la Pompe, numer...

— Ejże! — zawołał pan Filleul. — Pan sobie kpi ze mnie! Niech pan skończy tę zabawę!

— Wyznaję panu, panie sędzio śledczy, że pańskie zdumienie mnie dziwi. Cóż stoi na przeszkodzie, żebym był uczniem klasy maturalnej w liceum Janson? Może moja broda? Zapewniam, że moja broda jest fałszywa.

Izydor Beautrelet oderwał kilka kosmyków swej brody i jego twarz okazała się jeszcze młodsza i bardziej różowa, prawdziwa twarz licealisty.

Dziecięcy uśmiech odsłonił jego białe zęby, kiedy mówił:

— Cóż, teraz jest pan przekonany? Czy trzeba panu jeszcze dowodów? Proszę, niech pan przeczyta adres na tych listach mojego ojca: „Pan Izydor Beautrelet, wychowanek liceum Janson de Sailly”.

Przebranie

Przekonany czy nie, pan Filleul miał minę, jakby mu ta historia nie przypadła do smaku. Zapytał szorstkim tonem:

— Co pan tu robi?

— No... uczę się.

— Na to są licea... pańskie...

— Zapomina pan, panie sędzio śledczy, że dziś dwudziesty trzeci kwietnia i że jesteśmy w środku ferii wielkanocnych.

— Więc?

— Więc mam wszelkie prawo wykorzystywać ferie, jak mi się podoba.

— A pański ojciec?...

— Ojciec mój mieszka daleko, w głębi Sabaudii, i to on mi doradził małą wycieczkę po wybrzeżach La Manche.

— Z fałszywą brodą?

— O, to nie. To mój pomysł. W liceum wiele rozmawiamy o tajemniczych przygodach, czytujemy powieści policyjne, w których się ludzie przebijają. Wyobrażamy sobie mnóstwo strasznych i zawiłych spraw. Otóż chciałem się zabawić i przyklepiłem sobie tę fałszywą brodę. Poza tym miałem to szczęście, że brano mnie na serio i udawałem paryskiego reportera. W taki sposób wczoraj wieczorem, po nieznaczącym ponad tygodniu, miałem przyjemność poznać swego współtowarzysza z Rouen, który dziś rano, dowiedziawszy się o zdarzeniu w Ambrumésy, zaproponował mi bardzo uprzejmie, żebym mu towarzyszył i na spółkę wynajął z nim powóz.

Izydor Beautrelet mówił to wszystko ze swobodną, trochę naiwną prostotą, której wdzięku nie sposób było nie odczuwać. Sam pan Filleul, choć zachowywał nieufną rezerwę, słuchał go z przyjemnością. Zapytał go mniej opryskliwie:

— I jest pan zadowolony ze swej wycieczki?

— Zachwycony! Tym bardziej, że nigdy nie byłem obecny przy sprawie tego rodzaju, a ta jest bardzo zajmująca.

— I nie brak jej tych tajemniczych komplikacji, które pan tak ceni.

— A które są takie fascynujące, panie sędzio śledczy! Nie znam silniejszego wzruszenia, niż widzieć wszystkie fakty wyłaniające się z mroku, żeby tak rzec, grupujące się jedne przeciw drugim i formujące powoli przypuszczalną prawdę.

— Do tej przypuszczalnej prawdy szybko pan zmierza, młody człowieku! A może ma pan już gotowe swoje małe rozwiązanie zagadki?

— O, nie — odparł, śmiejąc się Beautrelet. — Tylko... zdaje mi się, że są takie punkty, z których wytworzyć sobie jakieś zdanie nie jest rzeczą niemożliwą, a nawet inne do tego stopnia dokładne, że wystarczają... do wniosków.

— Ależ to staje się bardzo ciekawe, nareszcie się czegoś dowiem. Bo wyznam panu, ku swemu wielkiemu wstydy, że nic a nic nie wiem.

— To dlatego, panie sędzio śledczy, że pan nie miał czasu się zastanowić. Rozważać to rzecz główna. Rzadko się zdarza, żeby wypadki nie mieściły same w sobie swego wyjaśnienia!

— I według pana, wypadki, które stwierdziliśmy, noszą same w sobie swoje wyjaśnienie?

— A czy to nie jest pańskie mniemanie? W każdym razie nie stwierdziłem innych niż te, które zanotowano w protokole.

— Cudownie! Więc gdybym pana zapytał, jakie przedmioty skradziono z tego salonu?

— Odpowiedziałbym panu, że wiem jakie.

— Brawo! To szanowny pan wie o wiele więcej niż sam właściciel! Pan de Gesvres ma swój rachunek, pan Izydor Beautrelet go nie ma. Brakuje trzyczęściowej biblioteczki i jednego posągu naturalnej wielkości, którego nikt nigdy nie zauważył. A jeśli bym pana zapytał o nazwisko mordercy?

— Odpowiedziałbym panu również, że je znam.

Wszyscy obecni podskoczyli. Zastępca prokuratora i dziennikarz zbliżyli się. Pan de Gesvres i dwie młode dziewczyny słuchały uważnie, wszyscy pod wrażeniem pewności i spokoju Beautreleta.

— Pan zna imię mordercy?

— Tak.

— I może także miejsce, w którym on się znajduje?

— Tak.

Pan Filleul zatarł ręce:

— Cóż za szczęście! To złapanie zbrodniarza będzie chlubą mojej kariery. I pan może mi w tej chwili podać te piorunujące rewelacje?

— W tej chwili, tak... Albo raczej, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, za godzinę lub za dwie, kiedy zostaną do końca przy śledztwie, które pan prowadzi.

— Ależ nie, ależ nie, natychmiast, młody człowieku...

W tej chwili Rajmunda de Saint-Véran, która od początku tej sceny nie spuszczała oczu z Izydora Beautreleta, podeszła do pana Filleul.

— Panie sędzio śledczy...

— Czego pani sobie życzy?

Przez dwie lub trzy minuty wahała się z oczyma utkwionymi w Beautreleta, a potem zwróciła się do pana Filleul:

— Proszę zapytać tego pana o powód jego wczorajszej przechadzki po zagłębionej drodze, która dochodzi do furtki.

Była to zdumiewająca niespodzianka. Izydor Beautrelet zdawał się zmieszany.

— Ja, pani? Ja? Pani mnie wczoraj widziała?

Rajmunda zamyśliła się, z oczami ustawicznie wbitymi w Beautreleta, jak gdyby usiłowała utwierdzić się w swoim przekonaniu, i powiedziała spokojnym tonem:

— Wczoraj o czwartej po południu na zagłębionej drodze spotkałam młodego człowieka wzrostu tego pana, ubranego jak on i z taką samą brodą... i miałam bardzo wyraźne wrażenie, że starał się ukryć.

— I to byłem ja?

— Nie mogę tego stwierdzić stanowczo, gdyż moje wspomnienie jest trochę niejasne. Jednak... jednak zdaje mi się... inaczej to podobieństwo byłoby zbyt dziwne...

Pan Filleul zakłopotał się. Już wywieziony w pole przez jednego z winowajców, czyż miałby także dać zakpić z siebie temu niby licealiście? Trzeba przyznać, że zachowanie się młodzieńca przemawiało na jego korzyść, ale nigdy nie wiadomo...

— Cóż pan na to powie?

— Że ta panienska się myli i że tego łatwo dowiodę jednym słowem. Wczoraj o tej godzinie byłem w Veules.

— Trzeba będzie to sprawdzić, trzeba. W każdym razie sytuacja się zmieniła. Panie sierżancie, jeden z pańskich ludzi będzie towarzyszył temu panu.

Oblicze Izydora Beautrelet wyrażało żywy sprzeciw.

— Na jak długo?

— Dopóki się nie zbierze potrzebnych informacji.

— Panie sędzio śledczy, błagam pana, żeby je pan zebrał jak najszybciej i z możliwą dyskrecją...

— Czemu?

— Mój ojciec jest stary. Kochamy się bardzo... i nie chciałbym, żeby się o mnie martwił.

Placziwy nieco ton prośby nie podobał się panu Filleul. Trąciło to trochę sceną z melodramatu. Niemniej przyrzekł:

— Dziś wieczorem... najdalej jutro rano będę wiedział, czego się trzymać.

Minęło popołudnie. Sędzia śledczy wrócił do ruin starego klasztoru i zakazał wchodzić tam wszystkim ciekawskim. Cierpliwie, metodycznie, dzieląc teren na kolejno badane części, sam kierował poszukiwaniami. Lecz z końcem dnia nie odnotował żadnych postępów i oświadczył przed armią reporterów, która tymczasem najechała zamek:

— Panowie, wszystko każe nam przypuszczać, że zraniony jest tutaj, prawie w naszych rękach; wszystko prócz rzeczywistości faktów. Dlatego, według naszego skromnego zdania, musiał on się wymknąć i znajdziemy go na zewnątrz.

Jednak dla ostrożności w porozumieniu z sierżantem żandarmerii zorganizował straż w parku i po ponownym zbadaniu obu salonów i przetrząśnięciu całego zamku, zgromadziwszy wszelkie konieczne wyjaśnienia, wrócił do Dieppe wraz zastępcą prokuratora.

Przyszła noc. Ponieważ buduar miał zostać zamknięty, przeniesiono ciało Jana Daval do drugiego pokoju. Strzegły go dwie wiejskie kobiety w towarzystwie Zuzanny i Raymond. Na dole pod baczynym okiem posterunkowego młody Izydor drzemał na ławie dawnego oratorium⁸. Na zewnątrz żandarmi, dzierżawca i tuzin wieśniaków rozmieścili się między ruinami a murami.

Aż do godziny jedenastej było całkiem spokojnie, lecz o jedenastej dziesiąt z drugiej strony zamku rozległ się strzał.

— Uwaga! — zawołał sierżant. — Dwaj zostają tutaj... wy, Fossier... i wy, Lecan... Reszta za mną, biegiem!

Rzucili się wszyscy i okrążyli zamek z lewej strony. W cieniu przemknęła jakaś sylwetka. Zaraz potem drugi strzał pociągnął ich dalej, prawie na skraj folwarku. Kiedy przybyli gromadą do płotu okalającego sad, nagle na prawo od domu dzierżawcy zabłyśnął płomień, a inne płomienie dołączyły do niego, łącząc się w grubą kolumnę. To paliła się stodoła, wypchana słomą po szczyt.

— Łotry! — krzyczał sierżant Quevillon. — To oni podłożyli ogień. Pędźmy za nimi, chłopcy. Nie mogą być daleko.

Lecz ponieważ wiatr obracał płomienie na główny budynek, należało przede wszystkim zapobiec niebezpieczeństwu. Zabrali się do tego wszyscy z tym większą gorliwością, że pan de Gesvres przybiegł na miejsce nieszczęścia i zagrzewał ich obietnicą nagrody. Kiedy opanowano pożar, była druga rano. Wszelki pościg byłby daremny.

— Zobaczmy za dnia — rzekł sierżant. — Z pewnością zostawili ślady... znajdziemy je...

— Chętnie poznałbym — dodał pan de Gesvres — powód tego napadu. Podkładać ogień pod stodołę ze słomą wydaje mi się czymś bezcelowym.

— Proszę pójść ze mną, panie hrabio, a może podam panu powód.

Przybyli razem do ruin klasztoru.

Sierżant zawołał:

— Lecan?... Fossier?...

Pozostali żandarmi szukali już swych towarzyszy, zostawionych na straży. Odnaleziono ich w końcu w pobliżu furtki. Leżeli na ziemi, związani, zakneblowani, z opaskami na oczach.

— Panie hrabio — mruzczał sierżant, gdy ich rozwiązywano — panie hrabio, oszukano nas jak dzieci.

— Jak to?

— Strzały... napad... ogień to wszystko były błagi, żeby nas tam zwabić. Tymczasem obezwładniono naszych dwóch ludzi i sprawa gotowa.

— Jaka sprawa?

— Zabranie rannego, dalibóg!

— Jak to, więc pan sędzi?...

— Czy sędzę? Toż to niezachwianie pewne. Przyszło mi to do głowy dziesięć minut temu... Ale jestem głupcem, że wcześniej o tym nie pomyślałem. Złapałobyśmy ich wszystkich.

Quevillon tupał w nagłym przystępie wściekłości.

— Lecz którędy, na miły Bóg, którędy oni przeszli? Którędy go zabrali? A on, gałgan, gdzie on się ukrywał? Bo przecież jak, tłukliśmy się po tym terenie przez cały dzień, a człowiek nie ukryje się w kępcie trawy, zwłaszcza gdy jest ranny. To czyste czary, ta cała historia!...

Nie była to ostatnia niespodzianka oczekująca sierżanta Quevillona. O świcie, kiedy weszli do oratorium, które służyło jako cela dla młodego Izydora Beautrelet, stwierdzono, że młody Izydor Beautrelet zniknął.

Na krześle, zgięty w pół, spał posterunkowy.

Obok niego stała karafka i dwie szklanki. Na dnie jednej z nich widać było trochę białego proszku.

Po zbadaniu sprawy stwierdzono najpierw, że młody Izydor Beautrelet podał posterunkowemu środek nasenny, następnie, że nie mógł uciec inaczej, jak tylko przez okno,

⁸oratorium — tu: sala przeznaczona do modlitwy; kaplica. [przypis edytorski]

znajdujące się na wysokości dwóch i pół metra, i wreszcie, czarujący szczegół, że nie mógł się dostać do tego okna inaczej, niż po grzbiecie swego dozorca.

ROZDZIAŁ II. IZYDOR BEAUTRELET, UCZEŃ KLASY MATURALNEJ

Wyjątek z Grand Journal:

„*Nocne nowiny. Porwanie doktora Delattre. Szaleńczo odważny zamach.*

W chwili oddawania numeru pod prasę dostarczono nam wiadomość, za której autentyczność nie możemy ręczyć, tak dalece wydaje się nam nieprawdopodobna. Podajemy ją więc z wszelkimi zastrzeżeniami.

Wczoraj wieczór dr Delattre, sławny chirurg, był obecny wraz z żoną i córką na przedstawieniu *Hernaniego* w Comédie Française. Na początku trzeciego aktu, to znaczy koło godziny dziesiątej, otworzyły się drzwi jego łóży; jakiś pan, któremu towarzyszyli dwaj inni, nachylił się do doktora i rzekł do niego szeptem, lecz wystarczająco głośno, żeby usłyszała pani Delattre:

— Doktorze, mam do spełnienia bardzo przykrą misję i byłbym panu niezmiernie zobowiązany, gdyby mi pan ułatwił zadanie.

— Kim pan jest, mój panie?

— Thézard, komisarz policji pierwszego okręgu. Mam rozkaz zaprowadzić pana do pana Dudouis, do prefektury.

— Ale przecież...

— Ani słowa, doktorze, błagam pana, ani jednego gestu... Zaszła fatalna pomyłka i dlatego musimy działać po cichu i nie ściągać niczyjej uwagi. Wróci pan, jestem pewien, przed końcem przedstawienia.

Doktor wstał i poszedł za komisarzem.

Na koniec przedstawienia nie wrócił.

Pani Delattre, bardzo zaniepokojona, udała się na komisariat policji. Zastała tam prawdziwego pana Thézard i dowiedziała się, ku swemu przerażeniu, że osobnik, który zabrał jej męża, był oszustem.

Pierwsze poszukiwania wykazały, że doktor wsiadł do samochodu i że samochód ten oddalił się w kierunku Concorde.

Nasze następne wydanie poda naszym czytelnikom dalsze wiadomości o tej niewiarygodnej przygodzie”.

Chociaż tak nieprawdopodobna, przygoda ta była prawdziwa. Zresztą na rozwiązanie nie trzeba było długo czekać. „Grand Journal”, który powtórzył tę wiadomość w wydaniu południowym, oznajmił w kilku słowach o jej sensacyjnym zakończeniu:

„*Koniec historii i początek przypuszczeń*

Dziś rano o godzinie dziewiątej doktor Delattre został odwieziony przed bramę przy rue Duret 78, automobilem, który natychmiast odjechał z pełną prędkością.

Pod numerem 78 rue Duret znajduje się właśnie klinika doktora Delattre, klinika, do której przybywa co dzień rano o tej samej godzinie. Kiedy się zaanonsowaliśmy, doktor, który prowadził rozmowę z dyrektorem policji, był łaskaw mimo to nas przyjąć.

— Wszystko, co mogę powiedzieć — odrzekł — to, że traktowano mnie z największymi względami. Moi trzej towarzysze byli najmilszymi ludźmi, jakich spotkałem, niezrównanej grzeczności, inteligentni i rozmowni, czego nie należy lekceważyć, zważywszy długość podróży.

— Jak długo ona trwała?

— Około czterech godzin i tyle samo powrót.

— A cel tej podróży?

— Zawieziono mnie do chorego, którego stan wymagał natychmiastowej operacji.

— A ta operacja się udała?

— Tak, ale należy się obawiać następstw. Tu odpowiadałbym za chorego. Tam, w warunkach, w których się znajduje...

— Złe warunki?

— Okropne... izba w karczmie... i praktycznie całkowity brak możliwości pielęgnacji.

— Więc cóż może go ocalić?

— Cud... i jego wyjątkowo silna budowa.
— I nie może pan nic więcej powiedzieć o tym szczególnym pacjencie?
— Nie mogę. Po pierwsze, przysiągłem, a poza tym otrzymałem dziesięć tysięcy franków na swoją klinikę ludową. Jeśli nie zachowam milczenia, odbiorą mi tę sumę.
— Patrzcie! I pan w to wierzy?
— Dalibóg, wierzę. Wszyscy ci ludzie wyglądali na bardzo poważnych.

Takie są objaśnienia, których udzielił nam doktor Delattre. A wiemy skądinąd, że dyrektorowi policji mimo usilnych starań nie udało się dotąd wydobyć z niego dokładniejszych szczegółów co do operacji, którą wykonał, co do chorego, którego leczył, i co do okolic, przez które przejeżdżał automobil. Zatem zdaje się, że będzie trudno dociec prawdy”.

Tę prawdę, której autor wywiadu, jak przyznał, nie był w stanie odgadnąć, umysły cokolwiek jaśniej widzące odgadły przez proste zestawienie z faktami, które miały miejsce poprzedniego wieczora w zamku Ambrumésy, podanymi tego samego dnia z najdrobniejszymi szczegółami przez wszystkie dzienniki. Istniał najwidoczniej zastanawiający związek między zniknięciem zranionego złoczyńcy i porwaniem znakomitego chirurga.

Zresztą śledztwo wykazało słuszność tej hipotezy. Idąc za tropem rzekomego woźnicy, stwierdzono, iż dotarł do oddalonego o piętnaście kilometrów lasu Arques i że stamtąd, rzuciwszy rower do rowu, udał się do wioski Saint-Nicolas, skąd nadał następującą depezę:

A. L. N., urząd pocztowy 45, PARYŻ
Sytuacja rozpacзлиwa. Konieczna operacja. Wysłać znakomitość czternastką.

Dowód był niezaprzeczalny. Zawiadomieni wspólnicy paryscy pośpiesznie załatwili sprawę. O dziesiątej wieczorem wysłali znakomitość drogą krajową numer czternaście, która prowadzi wzdłuż lasu Arques i dochodzi do Dieppe. W tym czasie banda złoczyńców, korzystając z podłożonego przez siebie ognia, uprowadziła swego przywódcę i przemieściła go do karczmy, gdzie po przybyciu doktora, około drugiej rano, miała miejsce operacja.

Co do tego nie było wątpliwości. W Pontoise, w Gournay, w Forges inspektor naczelny Ganimard, wysłany specjalnie z Paryża wraz z inspektorem Folenfantem, stwierdził przejazd automobilu poprzedniej nocy. I to nawet na drodze z Dieppe do Ambrumésy. Chociaż o blisko pół mili⁹ od zamku nagle zgubiono ślad automobilu, zauważono przynajmniej liczne ślady kroków między furtką parku a ruinami klasztoru. Ponadto Ganimard zwrócił uwagę, że zamek w furtce został wyważony.

Zatem wszystko się wyjaśniło. Pozostawała do określenia karczma, o której mówił doktor: głupstwo dla Ganimarda, szczerwanego lisa, cierpliwego starego praktyka policyjnego. Liczba karczm jest ograniczona, a ta właśnie mogła ze względu na stan rannego mogła znajdować się jedynie w pobliżu Ambrumésy. Ganimard i sierżant Quevillon ruszyli na wieś. O pięćset metrów, o tysiąc metrów, o pięć tysięcy metrów wokoło zwiedzili i przetrząsnęli wszystko, co mogło uchodzić za karczmę. Lecz wbrew wszelkiemu oczekiwaniu konającego mężczyzny nie udało się odnaleźć.

Ganimard był wściekły. Wrócił w sobotę wieczorem na nocleg do zamku, z zamiarem przeprowadzenia w niedzielę osobistego śledztwa. W niedzielę rano dowiedział się, że żandarmi zauważyli w nocy postać, która prześlizgnęła się po zagłębionej drodze. Czy to był jeden z winowajców, który wrócił po informację? Czyżby należało przypuszczać, że przywódca bandy nie opuścił klasztoru albo okolic klasztoru?

Wieczorem Ganimard otwarcie wysłał żandarmów do folwarku, a sam, podobnie jak Folenfant, usadowił się wewnątrz murów, w pobliżu furtki.

Tuż po północy jakiś osobnik wyszedł z lasu, przeszedł między nimi, przekroczył bramę i wszedł do parku. Przez trzy godziny patrzyli, jak błędził w prawo i w lewo przez ruiny, schylał się, wdrapywał na stare filary, czasem pozostawał bez ruchu przez długie minuty. Potem zbliżył się do bramy i ponownie przeszedł między oboma inspektorami.

⁹mila — dawna miara odległości o różnej wartości, w Francji licząca ok. 4 km. [przypis edytorski]

Ganimard złapał go za kołnierz, a Folenfant za rękę. Nie stawiał żadnego oporu i najspokojniej w świecie dał sobie skrępować ręce i zaprowadzić do zamku, lecz kiedy próbowali go przesłuchać, odpowiedział po prostu, że nie ma żadnego obowiązku zdawać im sprawy i że będzie czekał na przybycie sędziego śledczego.

Wówczas przywiązali go mocno do nóg łóżka w jednym z dwóch sąsiednich pokoiów, które zajmowali.

W poniedziałek rano o godzinie dziewiątej, kiedy przybył pan Filleul, Ganimard oznajmił mu o dokonanych aresztowaniach. Sprowadzono więźnia. Był to Izydor Beautrelet.

— Pan Izydor Beautrelet! — zawołał pan Filleul z zachwytem, wyciągając do nowo przybyłego rękę. — Jaka miła niespodzianka! Nasz wyborny detektyw amator, tu, do naszej dyspozycji. Ależ to szczęśliwe zdarzenie! Panie inspektorze naczelny, pozwoli pan, że panu przedstawię pana Izydora Beautreleta, ucznia klasy maturalnej w liceum Janson de Sailly.

Ganimard zdawał się trochę strapiiony. Izydor skłonił mu się bardzo nisko, jak współtowarzyszowi, którego się ceni jak należy, i zwrócił się do pana Filleul:

— Zdaje się, panie sędzio śledczy, że otrzymał pan co do mnie dobre informacje?

— Wyborne! Najpierw, był pan istotnie w Veules les Roses w chwili, w której pana na Saint-Véran sądziła, że widzi pana na zagłębionej drodze. Sprawdzimy bez wątpienia tożsamość pańskiego sobowtóra. Następnie, jest pan rzeczywiście uczniem liceum, i to uczniem znakomitym, pracowitym i wzorowym. Ponieważ ojciec pański mieszka na prowincji, wychodzi pan raz na miesiąc do jego korespondenta, pana Bernoda, który nie szczędził panu pochwał.

— Tak, że...

— Tak, że pan jest wolny, panie Beautrelet.

— Absolutnie wolny?

— Absolutnie. Aha, jednak nakładam mały, malutki warunek. Rozumie pan, że nie mogę wypuścić na wolność człowieka, który podaje środki odurzające, wymyka się przez okna, a potem zostaje przyłapany na włóczeniu się po terenie prywatnym, że takiego człowieka nie mogę wypuścić na wolność bez jakiejś rekompensaty.

— Słucham.

— Otóż podejmemy naszą przerwana rozmowę i pan mi powie, dokąd pan doszedł w swych poszukiwaniach... W ciągu dwóch dni wolności musiał je pan posunąć daleko naprzód?

A kiedy Ganimard zbierał się do wyjścia, z wyrazem lekceważenia dla tego rodzaju zabawy, sędzia zawołał:

— O nie, panie inspektorze, pańskie miejsce jest tutaj. Zapewniam pana, że pana Izydora Beautreleta warto posłuchać. Pan Izydor Beautrelet, według moich informacji, wyrobił sobie w liceum Janson de Sailly sławę obserwatora, któremu nic nie umknie, a jego współuczniowie, jak mi doniesiono, uważają go za pańskiego współzawodnika, za rywala Herlocka Sholmesa.

— No proszę! — rzekł ironicznie Ganimard.

— Doprawdy. Jeden z nich napisał do mnie: „Jeśli Beautrelet oświadczy, że coś wie, trzeba mu wierzyć, a to, co powie, proszę o tym nie wątpić, będzie najistotniejszą prawdą”. Panie Izydorze Beautrelet, oto teraz ma pan sposobność usprawiedliwić zaufanie swoich kolegów. Zaklinam pana, niech nam pan powie najistotniejszą prawdę.

Izydor słuchał z uśmiechem i odrzekł:

— Panie sędzio śledczy, jest pan okrutny. Kpi pan z biednych licealistów, którzy bawią się, jak umieją. Ma pan zresztą słuszność i już więcej nie dam panu powodu do wyśmiewania mnie.

— To znaczy, że pan nic nie wie, panie Izydorze Beautrelet.

— Istotnie, wyznaję bardzo pokornie, że nic nie wiem. Gdyż nie nazywam wcale wiedzą odkrycia dwóch czy trzech bardziej precyzyjnych punktów, które zresztą nie mogły, jestem tego pewny, ujść pańskiej uwagi.

— Na przykład?

— Na przykład, przedmiotu kradzieży.

— Ach, więc zdecydowanie zna pan przedmiot kradzieży?

— Tak jak pan, o czym zresztą nie wątpię. Jest to pierwsza rzecz, którą zbadałem, ponieważ to zadanie wydało mi się łatwiejsze.

— Łatwiejsze, doprawdy?

— Ależ tak. To tylko kwestia rozumowania.

— Nic więcej?

— Nic więcej.

— A to rozumowanie?

— Oto ono, ogołocone z wszelkich komentarzy. Z jednej strony *zaszła kradzież*, gdyż obie panny zgadzają się ze sobą i widziały rzeczywiście dwóch ludzi uciekających z jakimiś przedmiotami.

— *Zaszła kradzież.*

— Z drugiej strony, *nic nie zginęło*, gdyż tak twierdzi pan de Gesvres, a on najlepiej może o tym wiedzieć.

— Nic nie zginęło.

— Z tych dwóch twierdzeń wynika nieuchronnie następująca konsekwencja: skoro *zaszła kradzież*, a *nic nie zginęło*, znaczy to, że przedmiot skradziony zastąpiono takim samym. Być może, zaznaczam to wyraźnie, że fakty nie zgadzają się z tym rozumowaniem. Ale uważam, że to jest pierwsza rzecz, którą powinniśmy rozważyć, i że nie mamy prawa jej ignorować, dopóki jej poważnie nie zbadamy.

— Istotnie... istotnie... — mrucał sędzia śledczy, widocznie zainteresowany.

— Otóż — mówił dalej Izydor — co było w tym salonie, co mogło zwrócić uwagę złoczyńców? Dwie rzeczy. Najpierw gobelin. Ale to nie on. Starego gobelinu nie da się imitować i oszustwo wpadłoby zaraz w oczy. Pozostają cztery Rubensy.

— Co pan mówi?

— Powiadam, że cztery Rubensy na tej ścianie są fałszywe.

— To niemożliwe!

— Są fałszywe, *a priori*¹⁰, koniecznie i bez odwołania.

— Powtarzam panu, że to niemożliwe.

— Prawie rok temu, panie sędzio śledczy, młody człowiek, który przedstawiał się jako Charpenais, przybył do zamku Ambrumésy i poprosił o pozwolenie skopiowania obrazów Rubensa. Pan de Gesvres udzielił mu pozwolenia. Co dzień przez pięć miesięcy od rana do wieczora Charpenais pracował w tym salonie. To są wykonane przez niego kopie, ramy i płótna, które zajęły miejsce czterech wielkich oryginalnych obrazów zapisanych panu de Gesvres przez jego wujka, markiza de Bobadillę.

— Dowód!

— Nie potrzebuję dawać dowodów. Obraz jest fałszywy, bo jest fałszywy, i sędzę, że nie ma wcale potrzeby badać tych obrazów.

Panowie Filleul i Ganimard spojrzeli po sobie, nie ukrywając zdumienia. Inspektor nie myślał już wcale o odejściu.

W końcu sędzia śledczy mruknął:

— Należałoby zasięgnąć opinii pana de Gesvres.

A Ganimard potwierdził:

— Tak, należałoby zasięgnąć jego opinii.

Kazali zaprosić hrabiego do salonu.

Było to prawdziwe zwycięstwo młodego licealisty. Zmuszenie dwóch zawodowców, jak panowie Filleul i Ganimard, do wzięcia pod uwagę jego hipotezy była to chluba, którą każdy inny byłby się pysznił. Ale Beautrelet wydawał się niewrażliwy na te drobne satysfakcje miłości własnej i czekał spokojnie, uśmiechając się bez cienia drwiny.

Wszedł pan de Gesvres.

— Panie hrabio — zwrócił się do niego sędzia śledczy — tok naszego dochodzenia stawia nas przed ewentualnością całkowicie nieprzewidzianą, którą panu podajemy z wszelkimi zastrzeżeniami. Jest możliwe... powtarzam: jest możliwe, że złoczyńcy, wdzierając się tutaj, mieli zamiar zrabować pańskie cztery obrazy Rubensa... a przynajmniej

¹⁰*a priori* (łac.) — z góry, z założenia. [przypis edytorski]

zastąpić je czterema kopiami... kopiami, które wykonał rok temu niejaki malarz Charpe-
nais. Czy byłby pan tak uprzejmy, żeby oglądnąć dokładnie te obrazy i powiedzieć nam,
czy uważa je pan za prawdziwe?

Hrabia zdawał się tłumić gest sprzeciwu. Spojrzał na Izydora Beautreleta, potem na
pana Filleul, po czym odpowiedział, nie zadając sobie nawet trudu zbliżenia się do obra-
zów:

— Miałem nadzieję, panie sędzio śledczy, że prawda pozostanie nieznana. Ponieważ
jest inaczej, nie waham się oświadczyć, że te cztery obrazy są fałszywe.

— Więc pan o tym wiedział?

— Od samego początku.

— A czemu pan nie powiedział?

— Właściciel przedmiotu nigdy nie spieszy się z oznajmieniem, że tego przedmiotu
już nie ma... a raczej, że nie jest autentyczny.

— A przecież to był jedyny sposób ich odzyskania.

— Moim zdaniem był inny, lepszy.

— Jaki?

— Nie rozgłaszać tajemnicy, nie płoszyć złodziei i zaproponować im odkupienie ob-
razów, które muszą im sprawić pewien kłopot.

— Jak się z nimi porozumieć?

Hrabia nie odpowiadał, odrzekł za niego Izydor.

— Ogłoszeniem w gazetach. To drobne ogłoszenie, zamieszczone w „Journal”, „l’Echo
de Paris” i „Matin”, brzmi: „Jestem gotów odkupić obrazy”.

Hrabia potwierdził skinieniem głowy. Po raz drugi młodzieniec pouczył starszych.

Pan Filleul znalazł się w kropce.

— Stanowczo, drogi panie — zawołał — zaczynam wierzyć, że pańscy towarzysze
mają zupełną słuszność. Patrzcie, co za oko! Co za intuicja! Jeśli tak dalej pójdzie, pan
Ganimard i ja nie będziemy mieli co robić.

— O, to wcale nie było skomplikowane.

— A reszta jest bardziej skomplikowana, chce pan powiedzieć. Przypominam sobie
rzeczywiście, że od naszego pierwszego spotkania wydawało się, jakby pan wiedział o wiele
więcej. Ejże, o ile sobie przypominam, twierdził pan, że zna pan nazwisko mordercy?

— Istotnie.

— Któż więc zabił Jana Daval? Czy ten człowiek żyje? Gdzie się ukrywa?

— Istnieje między nami nieporozumienie, panie sędzio śledczy, a raczej nieporo-
zumienie między panem a istotą faktów, i to od samego początku. Morderca i ten, co
uciekł, to dwie różne osoby.

— Co pan mówi? — zawołał pan Filleul. — Więc człowiek, którego pan de Gesvres
widział w buduarze i z którym walczył, człowiek, którego panny widziały w salonie i do
którego strzeliła panna de Saint-Véran, człowiek, który upadł w parku i którego szukamy,
ten człowiek nie jest tym, który zabił Jana Daval?

— Nie.

— Czy odkrył pan ślady trzeciego współnika, który zniknął przed przybyciem panien?

— Nie.

— A więc nic już nie rozumiem... Któż jest zatem zabójcą Jana Daval?

— Jana Daval zabił...

Beautrelet przerwał, zamyślił się na chwilę i zaczął mówić dalej:

— Lecz najpierw muszę panom pokazać drogę, po której doszedłem do tej pewności,
i same przyczyny mordu... bez czego oskarżenie moje wydałoby się panom potworne...
A ono nie jest potworne... ono wcale nie jest potworne... Istnieje pewien szczegół, któ-
rego nie zauważono, a który jednak jest ogromnie ważny, mianowicie to, że Jan Daval
w chwili, w której został ugodzony, miał na sobie całe ubranie, łącznie z butami. Słowem,
był ubrany tak, jak w biały dzień, w kamizelkę, kołnierzyk, krawat i szelki. Otóż zbrodnię
popelniono o czwartej rano.

— Zauważyłem ten dziwny fakt — rzekł sędzia śledczy. — Pan de Gesvres powiedział
mi, że Jan Daval spędzał część swych nocy przy pracy.

— Służba twierdzi przeciwnie, że stale kładł się spać bardzo wcześnie. Lecz przypu-
śmy, że nie spał: dlaczego rozburzył pościel, jakby chciał wzbudzić przekonanie, że spał?

A jeśli spał, dlaczego słysząc hałas, zadał sobie trud, żeby ubierać się od stóp do głów, zamiast narzucić na siebie cokolwiek, co było pod ręką? Oglądałem jego pokój pierwszego dnia, kiedy panowie jedliście obiad: jego pantofle stały przy łóżku. Co go powstrzymało, żeby je założyć zamiast ciężkich, podkutych butów?

— Jak dotąd nie widzę...

— Jak dotąd może pan istotnie widzieć tylko anomalie. Jednak wydały mi one się tym bardziej podejrzane, kiedy się dowiedziałem, że malarza Charpenais, kopistę Rubensa, przedstawił i polecił hrabiemu de Gesvres sam Jan Daval.

— Więc?

— Więc od tego do wniosku, że Jan Daval i Charpenais byli współnikami, wystarczy tylko jeden krok. Ten krok poczyniłem podczas naszej rozmowy.

— Zdaje mi się, trochę za prędko.

— Istotnie, brakło materialnego dowodu. Otóż w pokoju Davala odkryłem na jednej z kartek bloczka, na którym pisał, ten adres, który zresztą znajduje się tam jeszcze, odbity w negatywie na bibułce: „Pan A. L. N., urząd pocztowy 45, Paryż”. W poniedziałek wykryto, że telegram wysłany z Saint-Nicolas przez rzekomego woźnicę miał ten sam adres: „A. L. N., urząd pocztowy 45”. Dowód materialny istniał, Jan Daval korespondował z bandą, która zorganizowała kradzież obrazów.

Pan Filleul nie zgłosił sprzeciwu.

— Zgoda. Wspólnictwo udowodnione. I cóż pan stąd wywodzi?

— Najpierw to, że to wcale nie ten, który uciekł, zabił Jana Daval, gdyż Jan Daval był jego współnikiem.

— Więc?

— Panie sędzio śledczy, proszę sobie przypomnieć pierwsze zdanie, które wyrzekł hrabia, kiedy się zbudził z omdlenia. Zdanie to, podane przez pannę de Gesvres, znajduje się w protokole: „Nie jestem ranny... A Daval?... Żyje?... Nóż?”. Proszę je zestawić z tą częścią opowiadania hrabiego de Gesvres, w której opisuje napad: „Mężczyzna rzucił się na mnie i powalił mnie uderzeniem w kark”. Jak pan de Gesvres, który zemdłał, mógł wiedzieć, budząc się, że Daval został zraniony nożem?

Izydor Beautrelet nie czekał na odpowiedź na swoje pytanie. Zdawało się, że spieszy się, żeby podać ją samemu i odciąć się od wszelkich komentarzy. Toteż odrzekł natychmiast:

— Zatem to Jan Daval prowadzi trzech zлочyńców do salonu. Kiedy są tu z tym, którego nazywają swoim przywódcą, w buduarze słychać szmer. Daval otwiera drzwi. Poznawszy pana de Gesvres, rzuca się na niego z nożem. Panu de Gesvres udaje się wyrwać mu nóż, ugodzić go nim, po czym sam pada powalony przez osobnika, którego kilka minut później zobaczyły obie panny.

Pan Filleul i inspektor ponownie spojrzeli po sobie. Ganimard z konsternacją potrzęsął głową.

Sędzia rzekł:

— Panie hrabio, czy mam uwierzyć, że ta wersja jest prawdziwa?

Pan de Gesvres nie odpowiedział.

— Panie hrabio, pańskie milczenie pozwalałoby nam przypuszczać... Proszę pana, niech pan mówi.

Pan de Gesvres rzekł dobitnie:

— Ta wersja jest prawdziwa we wszystkich szczegółach.

Sędzia podskoczył.

— Zatem nie rozumiem, dlaczego pan wprowadził w błąd organa sprawiedliwości. Po cóż zatajać czyn, który pan miał prawo popełnić w usprawiedliwionej obronie własnej?

— Od dwudziestu lat — rzekł pan de Gesvres — Daval pracował przy mym boku. Ufałem mu. Oddał mi nieocenione usługi. Skoro mnie zdradził wskutek nie wiem jakich pokus, chciałem przynajmniej, z uwagi na przeszłość, zachować tę jego zdradę w ukryciu.

— Zgoda, chciał pan, ale nie powinien pan tego robić.

— Jestem innego zdania, panie sędzio śledczy. W chwili, kiedy żaden niewinny nie został oskarżony o tę zbrodnię, moim stanowczym prawem było nie oskarżać tego, który był zarazem winowajcą i ofiarą. On nie żyje. Sądzę, że śmierć jest wystarczającą karą.

— Ale teraz, panie hrabio, teraz, kiedy prawda jest jawna, może pan mówić.

— Tak. Oto dwa brudnopisy listów, napisanych przez niego do jego współników. Wyjąłem je z jego portfela na kilka minut przed jego śmiercią.

— A motyw kradzieży?

— Proszę udać się do Dieppe, pod numer osiemnasty przy rue de la Barre. Mieszka tam niejaka pani Verdier. To dla tej kobiety, którą poznał dwa lata temu, Daval kradł.

W ten sposób wyjaśniło się wszystko. Dramat wychodził z mroków i powoli, powoli ukazywał się w prawdziwym świetle.

— Idźmy dalej — odezwał się pan Filleul, kiedy hrabia wyszedł.

— Dalibóg — powiedział wesoło Beautrelet — ja już jestem prawie u końca swych wyników.

— Ależ zbieg, ranny?

— O tym, panie sędzio śledczy, wie pan tyle, co i ja... Szedł pan po jego śladach przez zarośla i trawy klasztorne... badał pan...

— Dobrze, dobrze, wiem... Ale przecież go zabrali i właśnie chciałbym się dowiedzieć czegoś o tej karczmie.

Izydor Beautrelet wybuchnął śmiechem.

— Karczma! Karczma wcale nie istnieje! To bajka, to sztuczka, żeby zmylić organa sprawiedliwości, sztuczka genialna, bo się udała.

— A przecież doktor Delattre twierdzi...

— Ach, właśnie! — zawołał Beautrelet głosem pełnym przekonania. — Właśnie dlatego, że doktor Delattre twierdzi, nie należy temu wierzyć. Jak to! Doktor Delattre podał o całej swej przygodzie tylko niejasne ogólniki! Nie chciał powiedzieć nic takiego, co mogłoby zagrozić bezpieczeństwu jego pacjenta... I oto nagle ściągałby uwagę na jakąś karczmę? Ależ niech pan będzie pewny, że jeśli wymienił wyraz „karczma”, to dlatego, że mu go narzucono. Niech pan będzie pewny, że cała ta historyjka, którą nas uraczył, została mu podyktowana pod groźbą strasznego odwetu. Doktor ma żonę. Doktor ma córkę. I zbyt je kocha, żeby nie słuchać ludzi, których potęgę doświadczył osobiście. Dlatego też dostarczył pańskim wysiłkom najdokładniejszej wskazówki.

— Tak dokładnej, że karczmy nie można wcale znaleźć.

— Tak dokładnej, że nie przestaje jej pan szukać wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu i że odwrócił pan wzrok od jedyne miejsce, w którym ten człowiek może się znajdować, od tego tajemniczego miejsca, którego nie opuścił, którego nie mógł opuścić od chwili, w której, zraniony przez pannę Saint-Véran, zdołał się tam wśliznąć jak zwierzę do swej nory.

— Ale gdzie, do diabła?... W jakim zakamarku piekła?...

— W ruinach dawnego opactwa.

— Ale przecież już nie ma ruin! Kilka ścian muru!... Kilka zrębów kolumn!

— To tam właśnie się ukrył, panie sędzio śledczy! — zawołał głośno Beautrelet. — Do tego miejsca powinien pan ograniczyć swoje poszukiwania! To tam, nigdzie indziej, znajdzie pan Arsène'a Lupin.

— Arsène'a Lupin! — krzyknął pan Filleul i podskoczył.

Trwała chwila uroczystego prawie milczenia, w którym przedłużało się brzmienie zgłoszek sławnego nazwiska. Arsene Lupin, wielki awanturник, król włamywaczy! Czyżby to było możliwe, żeby to on był tym pokonanym, ale niewidzialnym przeciwnikiem, którego szukano energicznie od wielu dni i na próżno? Jednak Arsene Lupin schwytyany, aresztowany przez sędziego śledczego, toż to natychmiastowy awans, szczęście, sława!

Ganimard ani mruknął. Izydor odezwał się do niego:

— Pan jest mojego zdania, nieprawdaż, panie inspektorze?

— Najzupełniej!

— Pan również nigdy nie wątpił, że to on był organizatorem tej sprawy?

— Ani przez chwilę! Jest na niej jego marka. Sprawka Lupina odróżnia się od każdej innej, jak twarz od twarzy. Trzeba tylko otworzyć oczy.

— Co pan mówi... Co pan mówi... — powtarzał pan Filleul.

— Co mówię! — zawołał młody człowiek. — Niech pan zauważy tylko ten mały fakt: pod jakimi inicjałami korespondują ci ludzie między sobą? A. L. N. to po prostu pierwsza litera imienia Arsene i pierwsza i ostatnia nazwiska: Lupin.

— Ach! — rzekł Ganimard. — Nic nie umknie pańskiej uwagi. Daję słowo, zuch z pana i stary Ganimard składa przed panem broń.

Beautrelet zarumienił się z radości i ścisnął dłoń, którą wyciągnął do niego naczelny inspektor.

Trzej mężczyźni zbliżyli się do balkonu i skupili wzrok na ruinach. Pan Filleul mruknął:

— Więc on byłby tam.

— On tam jest — rzekł Beautrelet głucho. — Jest tam od chwili, w której padł. Logicznie i praktycznie rzecz biorąc, nie mógł wymknąć się niedostrzeżony przez pannę de Saint-Véran i dwóch służących.

— Jaki pan ma na to dowód?

— Dowód... Dali go jego wspólnicy. Tego samego ranka jeden z nich przebrał się za woźnicę i przywiózł pana tutaj...

— Żeby zabrać czapkę, dowód jego tożsamości.

— Zgoda, lecz także i przede wszystkim, żeby zbadać miejsce, zdać sobie sprawę i zobaczyć samemu, co stało się z przywódcą.

— I zdał sobie sprawę?

— Przypuszczam, gdyż znał kryjówkę. I przypuszczam, że powiadomiono go o rozpaczliwym stanie jego przywódcy, gdyż wskutek zaniepokojenia zrobił głupstwo i napisał tę groźbę: „Biada panience, jeśli zabiła pryncypała”.

— Ale jego przyjaciele mogli go potem zabrać?

— Kiedy? Przecież pańscy ludzie nie opuszczali ruin. A następnie: dokąd by go zanieśli? Co najwyżej o kilkaset metrów, gdyż nie podróżuje się z umierającym... I wówczas pan by go znalazł. Nie, powiadam panu, on jest tu. Jego przyjaciele nigdy nie ruszyliby go z najbezpieczniejszej kryjówki. To tam zaprowadzili doktora, podczas gdy żandarmi pobiegli do ognia jak dzieci.

— Ale jakże on żyje? Jak się utrzyma przy życiu? Żeby żyć, trzeba żywności, wody!

— Nie potrafię powiedzieć... Nie wiem, lecz on jest tutaj, przysięgam panu. Jestem tego tak pewien, jak gdybym go widział, jak gdybym go dotykał. On jest tu.

Palcem wyciągniętym ku ruinom kreślił w powietrzu małe kółko, które zmniejszało się powoli, aż stało się punktem. A tego punktu szukali rozpaczliwie obaj jego towarzysze, obaj pochyleni, obaj ożywieni tą samą wiarą, co Beautrelet, i drżący od płomiennego przekonania, które im narzucił. Tak, Arsène Lupin był tam i nie mogli o tym dłużej wątpić.

Było w tym coś przygniatającego i tragicznego: wiedzieć, że w jakimś mrocznym zakątku leży na gołej ziemi, bez pomocy, gorączkujący, wyczerpany, sławny awanturnik.

— A jeśli umrze? — wyrzekł cicho pan Filleul.

— Jeśli umrze — odpowiedział Beautrelet — a jego wspólnicy będą tego pewni, to niech pan czuwa, panie sędzio śledczy, nad bezpieczeństwem panny de Saint-Véran, gdyż zemsta będzie straszna.

W kilka minut później, mimo zabiegów pana Filleul, który bardzo chętnie zgodził się na tego cudownego pomocnika, Izidor Beautrelet, którego wakacje kończyły się tego samego dnia, odjechał do Dieppe. Wsiadł w Paryżu około piątej, a o ósmej wchodził w tym samym czasie, co i jego koledzy, w bramę liceum Janson.

Ganimard po drobiazgowym, ale daremnym przeszukaniu ruin Ambrumésy wrócił wieczornym pociągami pospiesznym. Wszedłszy do swego mieszkania przy rue Pregolese, znalazł czekającą na niego następującą depeszę:

Panie Inspektorze Naczelny!

Mając trochę czasu pod koniec dnia, zdołałem zebrać kilka dodatkowych informacji, które z pewnością pana zainteresują.

Od roku Arsene Lupin żyje w Paryżu pod nazwiskiem Stefana de Vaudreix. Nazwisko to mógł pan nieraz spotkać w gazetach, w kronikach towarzyskich lub w kolumnach sportowych. Jako wielki podróżnik przez dłuższe okresy bywa nieobecny i opowiada, że wówczas poluje na tygrysy w Bengalu lub na niebieskie lisy na Syberii. Podobno prowadzi jakieś interesy, jednak nikt nie wie, jakiego rodzaju.

Jego obecne mieszkanie: rue Marbeuf 36 (Proszę zauważyć, że ulica ta znajduje się w pobliżu urzędu pocztowego nr 45). Od czwartku 23 kwietnia, przedednia napadu na Ambrumésy, nie było żadnych wieści o Stefanie de Vaudreix.

Proszę przyjąć, Panie Inspektorze Naczelny, z całą moją wdzięcznością za okazaną mi życzliwość wyrazy najgłębszego poważania.

Izydor Beautrelet

P.S. Proszę nie przypuszczać, że mi zebranie tych informacji sprawiło wiele kłopotu. W sam rano zbrodni, kiedy pan Filleul prowadził swe śledztwo przed kilkoma uprzywilejowanymi osobami, miałem szczęśliwą myśl, żeby przyjrzeć się czapce zbiega, zanim rzekomy woźnica przybył ją wymienić. Nazwisko kapelusznika wystarczyło mi, łatwo pan to zrozumie, do znalezienia nitki, po której doszedłem jak do kłębka do nazwiska kupca i jego mieszkania.

W poniedziałek rano Ganimard udał się pod numer 36 przy rue Marbeuf. Zebrawszy wiadomości od stróżki, kazał sobie otworzyć mieszkanie parterowe z prawej strony, mieszkanie wytworne, eleganckie, gdzie zresztą znalazł tylko popiół na kominku. Przed czterema dniami jacyś dwaj przyjaciele przyszli spalić wszystkie kompromitujące papiery.

Lecz w chwili wyjścia Ganimard zetknął się z listonoszem, który przyniósł list dla pana de Vaudreix.

Po południu zawiadomiona o tym prokuratura zarekwirowała list. Był opatrzony amerykańskim stemplem pocztowym i zawierał następujące słowa w języku angielskim:

Szanowny Panie,

Potwierdzam Panu odpowiedź, którą dałem Pańskiemu agentowi. Kiedy tylko Pan będzie miał w swym posiadaniu cztery obrazy pana de Gesvres, proszę je wysłać zwykłym sposobem.

Może Pan dołączyć do nich resztę, jeśli się Panu uda, w co zresztą bardzo wątpię.

Ponieważ pewna niespodziewana sprawa zmusza mnie do wyjazdu, przybędę równocześnie z tym listem. Znajdzie mnie Pan w Grand Hotelu.

Podpisano:

Harlington

Tego samego dnia Ganimard, uzbrojony w nakaz aresztowania, sprowadził do aresztu pana Harlingtona, obywatela amerykańskiego, oskarżonego o paserstwo i współnictwo w kradzieży.

Tak więc w ciągu dwudziestu czterech godzin dzięki rzeczywiście niespodziewanym wskazówkom siedemnastoletniego młodzieńca rozwiązano wszystkie węzły intrygi. W ciągu dwudziestu czterech godzin to, co wydawało się niewytłumaczalne, stało się proste i jasne. W ciągu dwudziestu czterech godzin plan współników, mający na celu ocalenie ich przywódcy został zniweczony. Schwywanie Arsene'a Lupin rannego, konającego nie ulegało już wątpliwości, jego banda była zdezorganizowana, poznano jego paryskie mieszkanie, maskę, pod którą się ukrywał, a jedną z jego najzręczniejszych i najdłużej przygotowanych sprawek po raz pierwszy wydobyto na jaw, zanim zdołał ją w pełni przeprowadzić.

Wywołało to wśród publiczności niezmierny okrzyk zdumienia, podziwu i ciekawości. Już dziennikarz z Rouen opisał w bardzo udanym artykule pierwsze badanie młodego licealisty, podnosząc jego naiwny wdzięk i spokojną pewność siebie.

Niedyskrecja Ganimarda i pana Filleul, niedyskrecja, którą popełnili wbrew swej woli, wiedzeni porywem szlachetniejszym od ich zawodowej pychy, oświeciła nagle publiczność co do roli Izydora Beautreleta w ostatnich wydarzeniach. To on sam wszystko zrobił. Zwycięstwo było wyłącznie jego zasługą.

...Wybuchła ekscytacja. Izidor Beautrelet stał się bohaterem, tłum w nagłym przy-
pływie zauroczenia żądał najdrobniejszych szczegółów o swym nowym ulubieńcu. Re-
porterów nie brakło. Rzucili się na wyścigi do liceum Janson de Saily, czatowali na
uczniów wychodzących ze szkoły i zbierali wszystko, co choćby odlegle dotyczyło Beau-
treleta. W ten sposób dowiedziano się o reputacji, jaką cieszył się wśród współuczniów
ten, którego nazywali rywalem Herlocka Sholmesa. Dzięki rozumowaniu, logice i bez
żadnych innych danych prócz tego, co przeczytał w gazetach, kilkakrotnie podawał roz-
wiązanie bardzo zawiłych spraw, z którymi organa sprawiedliwości zdołały się z trudem
uporać dopiero długo po nim.

W liceum Janson powszechną rozrywką stało się zadawanie Beautreletowi trudnych
pytań, zawiłych problemów i zdumiewano się, widząc, z jaką pewnością analizy, za pomocą
jakich genialnych dedukcji radził sobie wśród największych ciemności. Na dziesięć dni
przed aresztowaniem sklepiarza Jorisse wskazał wnioski, które można było wyciągnąć ze
sławnego parasola. Tak samo twierdził od początku w sprawie tragedii z Saint-Cloud, że
stróż był jedynym możliwym mordercą.

Lecz najciekawsze było dziełko, które znaleziono w obiegu między wychowankami
liceum, podpisane przez niego, napisane na maszynie do pisania i odbite w dziesięciu
egzemplarzach. Tytuł brzmiał:

ARSÈNE LUPIN, jego metoda, w czym on jest klasyczny, a w czym
oryginalny. Z dodaniem porównania angielskiego humoru i francuskiej iro-
nii.

Było to głębokie studium każdego z wyczynów Lupina, w którym sposoby sławne-
go włamywacza występują nadzwyczaj plastycznie, gdzie nawet jest wykazany sam me-
chanizm jego działania, jego zupełnie odrębna taktyka; dalej: jego listy do dzienników,
groźby, zapowiedzi kradzieży, słowem ogół sztuczek, których używał do „urządzenia” wy-
branej ofiary i postawienia jej w takim stanie umysłu, że się prawie sama wystawiała na
zgotowany dla niej cios i że wszystko spełniało się, żeby tak rzec, za jej własną zgodą.

A wszystko to było tak słuszne jako krytyka, tak przenikliwe, tak żywe i z tak dowcip-
ną, a zarazem okrutną ironią, że od razu wszyscy kpiarze przeszli na jego stronę, że sym-
patia tłumów odwróciła się bezpowrotnie od Lupina do Izidora Beautreleta i że w walce,
która zawiązała się między nimi, z góry obwołano zwycięstwo młodego licealisty.

Wobec możliwości tego zwycięstwa pan Filleul, tak samo jak prokuratura paryska
zdawali się zazdrośni, radzi zachować je dla siebie.

Z jednej strony istotnie nie udało się stwierdzić tożsamości pana Harlingtona ani
dostarczyć niezbitego dowodu jego związków z bandą Lupina. Wspólnik, tajemny czy nie,
milczał uparcie. Co więcej, po zbadaniu jego pisma nie można było dalej twierdzić, że to
on był autorem przechwyconego listu. Niejaki pan Harlington, posiadacz małej walizki
i portfela nabitego banknotami, zajechał do Grand Hotelu, oto wszystko, co można było
stwierdzić.

Z drugiej strony, w Dieppe pan Filleul tkwił na pozycjach, które zdobył mu Beau-
trelet. Nie uczynił ani jednego kroku naprzód. Wokół osobnika, którego panna de
Saint-Véran wzięła za Beautreleta w przeddzień zbrodni, rozciągała się ta sama tajemni-
ca. Te same mroki panowały również nad tym wszystkim, co dotyczyło zabrania czterech
Rubensów. Co stało się z tymi obrazami? Jaką drogą odjechał automobil, który wywiózł
je w nocy?

Dowody jego przejazdu zebrano w Luneray, w Yerville, w Yvetot, jak również w Cau-
debec-en-Caux, gdzie o świcie musiał przekroczyć Sekwanę na promie parowym. Lecz
kiedy zbadano sprawę dokładnie, okazało się, że automobil był odkryty i niemożliwe by-
łoby umieszczenie w nim czterech wielkich obrazów, żeby ich nie zauważyli pracownicy
promu.

Był to najprawdopodobniej ten sam automobil, lecz wówczas na nowo nasuwało się
pytanie: co stało się z czterema Rubensami?

Tyle nagromadziło się zagadnień, które pan Filleul pozostawił bez odpowiedzi. Co
dzień jego podwładni przetrząsali czworobok ruin. Prawie co dzień sam kierował poszu-
kiwaniami. Lecz stąd do odnalezienia kryjówki, w której konał Lupin — o ile zdanie

Beautreleta było słuszne — stąd do odkrycia tej kryjówki była przepaść, o której przebyciu znakomitemu urzędnikowi nawet śnić się nie mogło.

Było więc naturalną rzeczą, że zwrócono się do Izydora Beautreleta, gdyż jemu jednemu udało się rozproszyć ciemności, które poza nim gromadziły się jeszcze gęstsze i bardziej nieprzeniknione. Czemu się nie zapalił do tej sprawy? Od punktu, do którego ją doprowadził, wystarczyłoby mu tylko trochę wysiłku, żeby dojść do końca.

Pytanie to postawił mu jeden z redaktorów „Grand Journal” w dniu, w którym wszedł do liceum Janson pod fałszywym nazwiskiem Bernoda, korespondującego z Beautreletem.

Na to Izydor odparł bardzo mądrze:

— Drogi panie, na tym świecie istnieje nie tylko Lupin, nie tylko historie włamywaczy i detektywów, lecz istnieje także rzeczywistość, która nazywa się egzaminem dojrzałości. Otóż ja zdaję go w lipcu. Mamy maj, a nie chciałbym przepaść. Bo cóż by powiedział mój szanowny ojciec?

— Lecz co by powiedział, gdyby pan wydał sprawiedliwości Arsène’a Lupin?

— Ba! Jest czas na wszystko. W najbliższe ferie...

— Zielonych Świąt?

— Tak. Pojadę w sobotę szóstego czerwca najbliższym pociągiem.

— I w sobotę wieczór Arsène Lupin zostanie ujęty.

— Da mi pan czas do niedzieli? — zapytał, śmiejąc się Beautrelet.

— Po co to opóźnienie? — odparł dziennikarz tonem zupełnie poważnym.

To niewytłumaczalne zaufanie, zrodzone od wczoraj, a już tak silne, odczuwali w stosunku do młodego człowieka wszyscy, chociaż w istocie rzeczy wydarzenia usprawiedliwiały je tylko do pewnego stopnia. Mniejsza o to! Wierzono. Wszystko wydawało się dla niego łatwe. Oczekiwano od niego tego, czego by można było oczekiwać co najwyżej od jakiegoś fenomenu jasnowidztwa i intuicji, doświadczenia i zdolności. Data 6 czerwca przewijała się przez wszystkie gazety. Beautrelet wsiadł 6 czerwca do pociągu pospiesznego jadącego do Dieppe, a wieczorem Arsène Lupin zostanie aresztowany.

— Chyba że do tego czasu stamtąd umknie — przeciwstawiali się ostatni stronnicy awanturnika.

— To niemożliwe! Wszystkie wyjścia są strzeżone.

— A może zginął od ran — podnosili zwolennicy, którzy woleliby raczej śmierć niż ujęcie swego bohatera.

I następowała natychmiastowa replika:

— Ejże! Gdyby Lupin zmarł, jego współpracownicy wiedzieliby o tym i pomściliby go. Tak powiedział Beautrelet.

Nadszedł 6 czerwca. Pół tuzina dziennikarzy czatowało na Izydora na dworcu Saint-Lazare. Dwaj z nich chcieli mu towarzyszyć w drodze. Błagał ich, żeby tego nie robili.

Zatem pojechał sam. Jego przedział był pusty. Zmęczony szeregiem nocy poświęconych pracy, zasnął zaraz głębokim snem. We śnie miał wrażenie, że zatrzymywali się na różnych stacjach i że ludzie wsiadali i wysiadali. Zbudziwszy się w Rouen, był jeszcze sam. Lecz na oparciu przeciwległej ławki zobaczył dużą kartkę papieru przymocowaną za pomocą szpilki do szarego materiału. Napisano na niej:

Każdy niech pilnuje swego. Niech się pan zajmuje swoimi sprawami. Jeśli nie, tym gorzej dla pana.

— Doskonale! — zawołał, zacierając ręce. — Widocznie źle w obozie wrogów. Ta groźba jest tak samo głupia i tak samo ordynarna, jak groźba rzekomego woźnicy. Co za styl! Od razu widać, że nie Lupin to pisał.

Pociąg wjechał w tunel, który poprzedza stare miasto normandzkie. Na dworcu Izydor przeszedł się dwa czy trzy razy po peronie, żeby wyprostować nogi. Właśnie miał wrócić do swego przedziału, gdy wtem wymknął mu się okrzyk. Przechodząc obok stoiska księgarskiego, przeczytał z roztargnieniem kilka linijek na pierwszej stronie specjalnego wydania „Journal de Rouen” i nagle dostrzegł ich straszliwe znaczenie:

Z ostatniej chwili. Dowiadujemy się telefonicznie z Dieppe, że tej nocy złoczyńcy wtargnęli do zamku d'Ambrumésy, związali i zakneblowali pannę de Gesvres i porwali pannę de Saint-Véran. Ślady krwi odnaleziono o pięćset metrów od zamku, tuż obok znaleziono bandaż, również zakrwawiony. Można obawiać się, że biedną dziewczynę zamordowano.

Aż do Dieppe Izydor Beautrelet siedział nieruchomo. Skulony we dwoje, z łokciami na kolanach i z twarzą ukrytą w dłoniach, rozmyślał.

W Dieppe wynajął dorozkę. W bramie Ambrumésy spotkał sędziego śledczego, który potwierdził mu straszną wiadomość.

— Nic więcej pan nie wie? — zapytał Beautrelet.

— Nic.

W tej samej chwili sierżant żandarmerii podszedł do pana Filleul i podał kawałek pogniecionego, poszarpanego, poźółkłego papieru, znalezione niedaleko miejsca, w którym leżał bandaż. Pan Filleul ogłędął go, a potem podał Beautreletowi, mówiąc:

— To chyba nam niewiele pomoże w naszych poszukiwaniach.

Izydor obracał kawałek papieru na wszystkie strony. Pokryty cyframi, kropkami, literami i znakami, przedstawiał on dokładnie rysunek, który tu podajemy:

. 1 . 1 . . 6 . 6 . 3 . . 3 . 1 .

. 6 . 6 . . . 1 . 5 3 . . . 5

. 6 . . 6 . . 3 . . . 3 . 6 . . 3

P \overline{PF}  19 F + 44  357 

. 8 . . 2 . 6 . 1 . . 5 . . 5 . 1

ROZDZIAŁ III. TRUP

Okolo godziny szóstej wieczorem, po skończeniu swej pracy, pan Filleul w towarzystwie swego pisarza, pana Brédoux, czekał na powóz, który miał go zawieźć do Dieppe. Był wzburzony i zdenerwowany. Dwukrotnie zapytał:

— Czy nie widział pan młodego Beautreleta?

— Dalibóg, nie, panie sędzio śledczy.

— Gdzież on może być, do diabła? Nie widziano go cały dzień.

Nagle przysłała mu do głowy jakaś myśl. Przekazał swoją teczkę pisarzowi, obiegnął zamek i ruszył w stronę ruin.

W pobliżu wielkiej arkady, na ziemi usłanej sosnowymi szpilkami, twarzą w dół, z ręką podłożoną pod głowę, leżał Izydor. Zdawał się drzemać.

— Ejże, co pan robi, młody człowieku? Śpi pan?

— Nie śpię. Rozmyślam.

— Od rana?

— Od rana.

— Dobrze jest rozmyślać! Ale trzeba naprzód obejrzeć. Trzeba badać fakty, szukać poszlak, ustalać punkty wyjścia. Dopiero potem, przez rozmyślanie, porządkuje się to wszystko i odkrywa prawdę.

— Tak, wiem... to zwykła metoda... bez wątpienia dobra. Ale ja mam inną... Najpierw się zastanawiam, staram się przede wszystkim znaleźć, że się tak wyrażę, ogólny pomysł na

sprawę. Potem wyobrażam sobie rozsądną i logiczną hipotezę zgodną z tą główną myślą. A potem dopiero sprawdzam, czy fakty pasują do mojej hipotezy.

— Dziwna metoda! I piekielnie skomplikowana.

— Metoda pewna, panie Filleul, podczas gdy pańska nie jest pewna.

— Ależ przecież fakty są faktami.

— Wobec byle jakich przeciwników, tak. Ale jeśli nieprzyjaciel jest sprytny, fakty bywają takie, jakie on wybierze. Te wspaniałe poszlaki, na których pan opiera swoje śledztwo, mógł swobodnie ułożyć po swojej myśli. I o ile chodzi o takiego człowieka jak Lupin, widzi pan, dokąd to może doprowadzić, do jakich błędów i głupstw! Sam Herlock Sholmes wpadł w pułapkę.

— Arsene Lupin nie żyje.

— Zgoda. Lecz zostaje jego banda, a uczniowie takiego mistrza są sami mistrzami.

Pan Filleul ujął Izydora za ramię i rzekł, prowadząc go:

— Słowa, młody człowieku. Oto, co jest ważniejsze. Niech pan dobrze posłucha. Ganimard, zatrzymany na razie w Paryżu, przybędzie dopiero za kilka dni. Z drugiej strony hrabia de Gesvres telegrafował do Herlocka Sholmesa, który przyrzekł swój przyjazd na przyszły tydzień. Młody człowieku, czy nie sądzi pan, że przyniosłoby to trochę sławy, gdyby powiedzieć tym dwóm znakomitościom w dniu ich przybycia: „Bardzo nam przykro, drodzy panowie, ale nie mogliśmy dłużej czekać. Sprawa już skończona”?

Nie można było bardziej otwarcie wyznać swojej bezsilności. Beautrelet powstrzymał uśmiech i udając, że dał się zwieść, odrzekł:

— Przyznam się panu, panie sędzio śledczy, że jeśli od razu nie byłem obecny przy pańskim śledztwie, to tylko dlatego, że miałem nadzieję, iż mi pan zechce powiedzieć o swoich rezultatach. Więc cóż panu wiadomo?

— Proszę bardzo. Wczoraj wieczór o godzinie jedenastej trzech żandarmi, których sierżant Quevillon zostawił na straży w zamku, otrzymali od sierżanta kartkę z krótką wiadomością, wzywającą ich czym najprędzej do Ouville, gdzie znajduje się ich oddział. Wsiedli natychmiast na koń i kiedy przybyli do Ouville...

— Stwierdzili, że z nich zadrwiono, że rozkaz był fałszywy i że nie pozostało im nic innego, jak wrócić do Ambrumésy.

— Tak właśnie zrobili, pod dowództwem sierżanta Quevillona. Ale ich nieobecność trwała półtorej godziny i w tym czasie dokonano zbrodni.

— W jakich okolicznościach?

— W okolicznościach najprostszych. Drabinę, wziętą z zabudowań folwarcznych, przystawiono do drugiego piętra zamku. Wycięto szybę, otwarto okno. Dwaj mężczyźni, uzbrojeni w ślepą latarkę, wtargnęli do pokoju panny de Gesvres i zakneblowali ją, zanim miała czas krzyknąć. Potem, związawszy ją sznurami, otwarli cicho drzwi do pokoju, w którym spała panna de Saint-Véran. Panna de Gesvres usłyszała stłumiony jęk, później szamotanie broniącej się osoby. Po minucie spostrzegła obu mężczyzn niosących jej kuzynkę, również związaną i zakneblowaną. Przeszli obok niej i wyszli przez okno. Wyczerpana, przerażona, panna de Gesvres zemdląła.

— A psy? Czy pan de Gesvres nie kupił dwóch prawie dzikich, wielkich psów, które puszczano na noc?

— Znalaziono je martwe, otrute.

— Przez kogo? Nikt nie śmiał się do nich zbliżyć.

— Tajemnica! W każdym razie jest faktem, że obaj mężczyźni przeszli bez przeszkód przez ruiny i wyszli znaną furtką. Przedarli się przez strzyżony szpaler, ominęli dawny kamieniołom. Nie dalej jak o pięćset metrów od zamku, u stóp tak zwanego Wielkiego Dębu zatrzymali się... i wykonali swój plan.

— Czemu, jeśli przyszli z zamiarem zabicia panny de Saint-Véran, nie zrobili tego w jej pokoju?

— Nie wiem. Możliwe, że zdarzenie, który ich do tego popchnęło, zaszło dopiero wtedy, gdy opuścili zamek. Możliwe, że dziewczynie udało się uwolnić z więzów. Otóż moim zdaniem znaleziony bandaż służył do związania jej dłoni. W każdym razie zabili ją u stóp Wielkiego Dębu. Dowody, które znalazłem, są niezaprzeczalne.

— A ciało?

— Ciała nie znaleziono, co zresztą nie powinno nas zbytnio dziwić. Prawdę mówiąc, ślad, za którym szedłem, zaprowadził mnie aż do kościoła w Varengeville, do dawnego cmentarza, położonego na szczycie skalistego brzegu. Jest tam urwisko, przepaść na przeszło sto metrów. A w dole skały i morze. Za dzień lub dwa mocniejszy przypyływ wyrzuci ciało na brzeg.

— Oczywiście. To wszystko jest bardzo proste.

— Tak, wszystko to jest bardzo proste i nie sprawia mi żadnego kłopotu. Lupin zmarł, jego współnicy dowiedzieli się o tym i chcąc się zemścić, jak to napisali, zamordowali pannę de Saint-Véran. Wszystko to są fakty, których nawet nie trzeba było sprawdzać. Ale Lupin?

— Lupin?

— Tak, co z nim się stało? Najprawdopodobniej jego towarzysze zabrali jego ciało w tym samym czasie, w którym porwali młodą dziewczynę, ale jaki mamy na to dowód? Żadnego. Nie więcej wiemy o tym niż o jego pobycie w ruinach, nie więcej niż o jego śmierci lub życiu. I w tym leży cała tajemnica, drogi panie Beautrelet. Zabójstwo panny Rajmundy nie jest żadnym rozwiązaniem. Przeciwnie, jest komplikacją. Co wydarzyło się w ciągu ostatnich dwóch miesięcy w zamku Ambrumésy? Jeśli nie rozszyfrujemy tej zagadki, młody człowieku, to przyjdą inni i sprzątną nam gratkę sprzed nosa.

— Którego dnia przyjadą tamci?

— We środę... może w czwartek...

Beautrelet zdawał się coś obliczać w myślach, potem oświadczył:

— Panie sędzio śledczy, mamy dziś sobotę. Muszę wrócić do liceum w poniedziałek wieczorem. Otóż w poniedziałek rano, jeśli pan będzie łaskaw zjawić się tu punktualnie o dziesiątej, postaram się pokazać panu klucz do tej zagadki.

— Doprawdy, panie Beautrelet... tak pan myśli? Jest pan pewny?

— Przynajmniej spodziewam się tego.

— A teraz dokąd pan pójdzie?

— Pójdę badać, czy fakty zechcą zgodzić się z ogólną ideą, którą zaczynam już dostrzegać.

— A jeśli się nie zgodzą?

— O, panie sędzio śledczy, to one nie będą miały racji — rzekł Beautrelet, śmiejąc się — a ja poszukam sobie innych, uleglejszych. Do widzenia w poniedziałek, czy tak?

— W poniedziałek.

W kilka minut później pan Filleul jechał do Dieppe, podczas gdy Izydor wsiadł na bcykl¹¹, którego użył mu hrabia de Gesvres, i pomknął drogą do Yerville i Caudebec-en-Caux.

Istniał jeden punkt, co do którego młodzieniec pragnął wyrobić sobie zupełnie jasne zdanie, gdyż właśnie ten punkt wydał mu się najsłabszy u nieprzyjaciela. Przedmiotów o rozmiarach z czterech obrazów Rubensa nie da się zataić. Musiały gdzieś być. Jeśli na razie nie można było ich znaleźć, to czy nie dało się przynajmniej dojść do tego, jaką drogą zginęły?

Hipoteza Beautreleta była następująca: cztery obrazy rzeczywiście przewieziono automobilem, lecz przed przybyciem do Caudebec przeładowano je na inny automobil, który przekroczył Sekwanę powyżej lub poniżej Caudebec.

Pierwszy prom poniżej znajdował się w Quillebeuf, na drodze ruchliwej, zatem niebezpiecznej. Powyżej był prom w Maillerais, dużej, ale odizolowanej wiosce, z dala od głównych dróg.

Do północy Izydor przebył osiemnaście mil, które dzieliły go od Maillerais, i zapukał do drzwi położonej nad wodą gospody. Przespał się tam, a rano wypytywał przewoźników na promie.

Przejrano księgę pasażerów. Żaden automobil nie przejechał w czwartek 23 kwietnia.

— A więc wóz z końmi? — poddawał Beautrelet. — Wózek? Furgon?

— Także nie.

¹¹bicykl — nazwa pierwszych rowerów. [przypis edytorski]

Izydor kontynuował poszukiwania przez przez cały ranek. Miał już wyjeżdżać do Quillebeuf, kiedy kelner z gospody, w której nocował, powiedział mu:

— Tamtego ranka wróciłem z ćwiczeń wojskowych i widziałem wózek, ale on nie przejechał przez rzekę.

— Co proszę?

— Nie. Wyładowano go na barkę, która była przycumowana przy nabrzeżu.

— A ten wózek skąd przyjechał?

— O, poznałem go zaraz. To jeden z wozów furmana, ojca Vatinel.

— Który mieszka?

— W wiosce Louvetot.

Beautrelet zajrzał do swojej mapy sztabowej. Wioska Louvetot leżała na skrzyżowaniu drogi z Yvetot do Caudebec z małą, krętą drożyną, która szła przez lasy do Maillerais!

Dopiero o szóstej wieczór Izydorowi udało się znaleźć w knajpie ojca Vatinel, jednego z tych starych wilków normandzkich, którzy zawsze mają się na baczości, nie dowierzają obcym, lecz nie potrafią oprzeć się urokowi sztuki złota i wpływowi kilku szklaneczek.

— Tak, mój panie, ludzie z samochodu umówili się ze mną tego ranka na spotkanie o piątej na skrzyżowaniu. Dali mi cztery wielkie sztuki, takie wysokie. Jeden z nich pojechał ze mną i zanieśliśmy te rzeczy na barkę.

— Mówi pan o nich, jakby ich pan już znał.

— Ja myślę, że ich znał! Pracowałem dla nich już szósty raz.

Izydor zadrżał.

— Powiada pan, szósty raz?... A od kiedy?

— Ależ każdego dnia przed tamtym, jak Boga kocham! Ale wtenczas to były inne kawalki... duże kamieniska, a nawet mniejsze, podłużne, które pozawijali w gazety i przynosili jak sakrament. O! Tych to nie wolno było tknąć... Ale co to panu? Tak pan zbladł.

— To nic... duszno w tej sali.

Beautrelet wyszedł, chwycając się. Radość z powodu niespodziewanego odkrycia oszołomiła go. Wrócił zupełnie spokojnie, wieczorem położył się spać we wsi Varengeville, następnego dnia rano spędził godzinę w merostwie¹² z nauczycielem i wrócił do zamku. Oczekiwał go tam list „z listami J. W. Pana hr. de Gesvres”. Zawierał te słowa:

Drugie ostrzeżenie. Milcz. Inaczej...

— Ejże — mruknął — trzeba się jakoś zabezpieczyć. Inaczej, jak oni piszą...

Była godzina dziewiąta. Izydor przeszedł się wśród ruin, potem wyciągnął się w pobliżu wielkiej arkady i zamknął oczy.

— Cóż, młody człowieku, zadowolony pan ze swojej wycieczki?

Był to pan Filleul, który przybył o oznaczonej godzinie.

— Zachwycony, panie sędzio śledczy.

— To znaczy?

— To znaczy, że jestem gotów dotrzymać obietnicy... mimo tego listu, który mnie wcale nie zachęca.

Pokazał list panu Filleul.

— Ba, głupstwo! — zawołał sędzie śledczy. — Mam nadzieję, że to pana nie powstrzyma...

— Od opowiedzenia panu tego, co wiem? Nie, panie sędzio śledczy. Przrzekłem i dotrzymam słowa. Przed upływem dziesięciu minut będziemy znali część prawdy.

— Część?

— Tak, moim zdaniem kryjówka Lupina nie stanowi całego problemu. Daleko do tego. Ale zresztą zobaczymy.

— Nic ze strony pańskiej, panie Beautrelet, nie zdołałoby mnie wprawić w większe zdumienie. Lecz jak pan mógł odkryć?...

— O, całkiem po prostu. Jest w liście pana Harlingtona do pana Stefana Vaudreix, a raczej do Lupina...

¹²merostwo — we Francji: siedziba *mera*, odpowiednika wójta, burmistrza lub prezydenta miasta. [przypis edytorski]

— Mówi pan o tym przejętym liście?

— Tak. Jest tam zdanie, które mnie zawsze intrygowało. Mianowicie następujące: „Do wysyłki obrazów może Pan dołączyć resztę, jeśli się Panu uda, w co bardzo wątpię”.

— Istotnie, przypominam sobie.

— Co to była za reszta? Dzieło sztuki, jakaś osobliwość? W zamku nie było nic kosztownego prócz Rubensów i gobelinów. Klejnoty? Jest ich mało i miernej wartości. Więc cóż? A z drugiej strony, czy można było przypuszczać, żeby ludzie jak Lupin, tak nadzwyczajnie zdolni, nie byli w stanie wysłać tej reszty, którą najwidoczniej zaproponowali? Przedsięwzięcie trudne, zapewne, wyjątkowe, nieprzewidziane, zgoda, ale możliwe, więc pewne, ponieważ tego chciał Lupin.

— Tymczasem nie udało mu się: nic nie zginęło.

— Przeciwnie, udało mu się: coś zniknęło.

— Tak, Rubensy, ale...

— Rubensy i jeszcze coś innego... coś, co zastąpiono rzeczą identyczną, jak to zrobiono z Rubensami. Coś bardziej wyjątkowego, coś rzadszego i cenniejszego od Rubensów.

— Więc co takiego? To staje się męczące.

Idąc wciąż wzdłuż ruin, obaj mężczyźni zwrócili się ku furtce i doszli do kaplicy. Beautrelet zatrzymał się.

— Chce pan wiedzieć, panie sędzio śledczy?

— Czy chcę wiedzieć!

Beautrelet miał w ręku mocną, sękatą łaskę.

Gwałtownie, jednym uderzeniem laski roztrzaskał jedną ze statuetek, które zdobiły portal kaplicy.

— Ależ pan zwariował! — krzyknął pan Filleul, wytrącony z równowagi, i rzucił się ku szczątkom statuetki. — Pan zwariował! Ten stary święty był cudowny...

— Cudowny! — rzekł Izydor, robiąc młynka, którym trącił Matkę Boską.

Pan Filleul chwycił go za ramię.

— Ależ nie pozwolę panu popełniać...

Podskoczył jeszcze jeden z magów, potem żłobek z dzieciątkiem Jezus...

— Jeszcze jeden ruch, a strzelę!

To hrabia de Gesvres nadszedł i wyciągnął rewolwer.

Beautrelet wybuchnął śmiechem.

— Niechże pan do nich strzela, panie hrabio... Niech pan do nich strzela... jak na jarmarku... Dalej... w tego człowieka, co trzyma głowę w dłoniach...

Święty Jan podskoczył w górę.

— Ach! — zawołał hrabia, mierząc w niego z rewolweru. — Taka profanacja takich arcydzieł!

— Tandeta, panie hrabio!

— Co? Co pan mówi? — zawołał pan Filleul, usiłując rozbroić hrabiego de Gesvres.

— Tandeta! — powtarzał Beautrelet. — Masa papierowa!

— Ach!... Czyż to możliwe?...

— Pianka! Pustka, nic!

Hrabia schylił się i podniósł kawałek statuetki.

— Niech się pan dobrze przypatrzy, panie hrabio... Gips! Gips patynowany, pokryty sztuczną pleśnią, pozieleniały jak stary kamień... Ale gips, odlewy z gipsu... Oto, co zostało z doskonałego arcydzieła... Oto, co zrobili w ciągu kilku dni!... Oto, co sporządził imć pan Charpenais, kopista Rubensa, rok temu.

Z kolei chwycił za ramię pana Filleul.

— Co pan o tym myśli, panie sędzio śledczy? Czyż to nie piękne? Nie ogromne? Nie gigantyczne? Kaplica skradziona! Cała kaplica skradziona, kamień po kamieniu! Cały ludek posążków wzięty w niewolę i zastąpiony przez pocziwców ze stiuku¹³! Jeden z najwspanialszych okazów z epoki niezrównanej sztuki skonfiskowany! Słowem, kaplica skradziona! Czyż to nie straszne? Ach, panie sędzio śledczy, cóż to za genialny człowiek!

— Daje się pan ponieść emocjom, panie Beautrelet.

¹³stiuk — materiał zdobniczy z masy gipsowo-wapiennej zmieszanej z drobnym piaskiem lub ze sproszkowanym marmurem, używany do tworzenia dekoracji architektonicznych (sztukaterii). [przypis edytorski]

— Nie da się nazbyt ponieść się emocjom, proszę pana, kiedy chodzi o takich ludzi. Wszystko, co przerasta przeciętność, godne jest uwielbienia. A ten przerasta wszystko. Jest w tej kradzieży bogactwo koncepcji, siła i potęga, spryt i swoboda, które wywołują we mnie dreszcz.

— Szkoda, że nie żyje — szydził pan Filleul — inaczej byłby skończył na kradzieży wież Notre Dame.

Izydor wzruszył ramionami.

— Niech pan nie szydzi. Ten człowiek, choć martwy, sprawia panu sporo kłopotu.

— Ależ nie przeczę... ależ nie przeczę, panie Beautrelet, i przyznaję, że nie bez pewnego wzruszenia przygotowuję się do podziwiania go... jeśli tylko jego towarzysze nie zabrali jego ciała.

— I przede wszystkim — zauważył hrabia de Gesvres — jeśli to jego zraniła moja siostrzenica.

— To był z pewnością on, panie hrabio — stwierdził Beautrelet. — To z pewnością on, proszę wierzyć, padł wśród ruin od kuli, którą ugodziła go panna de Saint-Véran. To z pewnością jego widziała, jak się podniósł i upadł ponownie, i powłókł się do wielkiej arkady, żeby się podnieść po raz ostatni — a to za pomocą cudu, który panu zaraz wyjaśnię — żeby się podnieść po raz ostatni i dotrzeć aż do tej kamiennej kryjówki, która miała stać się jego grobowcem.

I Beautrelet uderzył laską w próg kaplicy.

— Co? Jak? — krzyknął zdumiony pan Filleul. — Jego grobowcem?... Więc pan sądzi, że ta niedocieczona kryjówka...

— Znajduje się tutaj, tutaj... — powtórzył Izydor.

— Ależ myśmy ją przeszukali.

— Żle.

— Tu nie ma żadnej kryjówki — zaprotestował hrabia de Gesvres. — Znam tę kaplicę.

— Przeciwnie, panie hrabio, jest tu jedna kryjówka. Proszę pójść do merostwa w Varengeville, gdzie zebrano wszystkie dokumenty, które znajdowały się w dawnej parafii Ambrumésy, a dowie się pan z tych dokumentów, pochodzących z osiemnastego wieku, że pod kaplicą istniała krypta. Ta krypta należała bez wątpienia do kaplicy romańskiej, na której miejscu zbudowano tę właśnie.

— Lecz skąd Lupin mógłby znać ten szczegół? — zapytał pan Filleul.

— Całkiem po prostu, dzięki pracom, jakie musiał wykonać, żeby ukraść kaplicę.

— Ej, panie Beautrelet, pan przesadza. Przecież nie ukrał całej kaplicy. Nie tknął przecież żadnego kamienia z tego muru.

— Oczywiście podrobił i wymienił tylko to, co miało wartość artystyczną: obrobione kamienie, rzeźby, posążki, cały skarbiec małych kolumniek i cyzelowanych okien ostrołukowych. Nie zajmował się samą podstawą budynku. Fundamenty zostały.

— A zatem, panie Beautrelet, Lupin nie mógł dotrzeć aż do krypty.

W tej chwili pan de Gesvres, który zawołał jednego ze swych służących, wrócił z kluczem do kaplicy. Otworzył drzwi i wszyscy trzej weszli.

Po chwili badania Beautrelet zaczął:

— Płyty posadzki zostały oczywiście nietknięte. Lecz łatwo spostrzec, że główny ołtarz jest odlewem. Otóż zazwyczaj schody wiodące do krypt zaczynają się przed głównym ołtarzem i idą pod nim.

— Z czego pan to wnosi?

— Wnoszę z tego, że właśnie tu pracując, Lupin znalazł kryptę.

Przy pomocy kilofa, który kazał przynieść hrabia, Beautrelet zabrał się do ołtarza. Kawaleczki gipsu odsłaniały na prawo i lewo.

— Do kroćset — mruknął pan Filleul — strasznie chciałbym wiedzieć...

— I ja też — rzekł Beautrelet, którego oblicze było blade z niepokoju.

Podwoił szybkość ciosów. I nagle kilof, który dotąd nie napotykał żadnego oporu, natknął się na coś twardego i odbił się. Rozległ się dźwięk, jakby coś się pękło, i to, co pozostało z ołtarza, zapadło się w pustkę po kamiennym bloku, w który uderzył kilof.

Beautrelet nachylił się. Uderzył go w twarz powiew zimnego powietrza. Zapalił zapałkę i przesuwał ją nad szczeliną.

— Schody zaczynają się bardziej od przodu, niż sądziłem, prawie pod płytami u wejścia. Widzę tam, na dole, ostatnie stopnie.

— Głęboko?

— Trzy czy cztery metry... Stopnie są bardzo wysokie... i brakuje niektórych.

— To nieprawdopodobne — rzekł pan Filleul — żeby podczas krótkiej nieobecności żandarmów, kiedy porwano pannę de Saint-Véran, żeby wówczas wspólnicy mieli czas wyciągnąć ciało z tej krypty. A zresztą, po cóż by to robili?... Nie, moim zdaniem, on tam jest.

Służący przyniósł im drabinę, którą Beautrelet wsunął w otwór i po omacku osadził w zwałonym gruzie. Potem energicznie ujął poręcz drabiny.

— Czy chce pan zejść, panie Filleul?

Sędzia śledczy, ze świecą w dłoni, odważył się wejść. Za nim poszedł hrabia de Gesvres. Z kolei Beautrelet postawił nogę na pierwszym szczeblu.

Było ich osiemnaście. Liczył je machinalnie, podczas gdy jego wzrok badał kryptę, w której światło świecy walczyło z gęstymi ciemnościami. Na dole uderzył go gwałtowny, potworny zapach, jeden z tych zapachów padliny, których samo wspomnienie dręczy.

Och, ten zapach! Jakże go zemdlili!

I nagle drżąca ręka schwyciła go za ramię.

— Tak? Co takiego?

— Beautrelet... — wyjąkał pan Filleul. — Beautrelet...

Nie mógł mówić, zdjęty przerażeniem.

— Ależ, panie sędzio śledczy, niech się pan opanuje...

— Beautrelet... on tu jest...

— Co?

— Tak... Coś było pod wielkim kamieniem, który oderwał się od ołtarza... Odsunąłem kamień... i dotknąłem... Brr... nie zapomnę nigdy...

— Gdzie on jest?

— Z tej strony... Czy pan czuje ten zapach?... A dalej... Niech pan patrzy...

Ujął świecę i skierował ją w stronę jakiegoś nieruchomego kształtu leżącego na ziemi.

— Och! — wykrzyknął Beautrelet z akcentem grozy.

Trzej mężczyźni pochylili się gwałtownie. Trup leżał półnagi, chudy, przerażający. Przez podarte ubranie przebierało miejscami ciało o zielonkawym odcieniu wosku. Lecz najstraszniejszą rzeczą, która wydarła młodzieńcowi z ust okrzyk grozy, była głowa, głowa, którą zmiażdżył blok kamienny, bezkształtna, ohydna masa, w której nie można było już niczego rozróżnić... A kiedy przywykli do ciemności, zobaczyli, że całe to ciało roilo się w okropny sposób...

Trup

Beautrelet kilkoma susami dostał się na szczyt drabiny i wymknął się na światło dzienne i świeże powietrze.

Pan Filleul znalazł go znowu leżącego na brzuchu, z twarzą ukrytą w dłoniach. Odezwwał się do niego:

— Moje pełne uznanie, Beautrelet. Poza odkryciem kryjówki były dwa punkty, na których mogłem skontrolować ścisłość pańskich twierdzeń. Najpierw, człowiekiem, do którego strzeliła panna de Saint-Véran, był istotnie Arsene Lupin, jak pan twierdził od początku. A po drugie, rzeczywiście mieszkał on w Paryżu jako Stefan de Vaudreix. Bielizna jest oznaczona inicjałami S. V. Zdaje mi się, nieprawdaż, że ten dowód wystarcza...

Izydor nie poruszył się.

— Hrabia poszedł, żeby kazać zaprząć. Pojadą po doktora Jouet, który dokona zwykłych oględzin. Co do mnie, sądzę, że śmierć nastąpiła co najmniej osiem dni temu. Stan rozkładu ciała... Ale zdaje się, że mnie pan nie słucha?

— Przeciwnie, przeciwnie.

— To, co mówię, opiera się na stanowczych danych. Tak na przykład...

Pan Filleul rozwijał swój wywód, nie spotykając się jednak z żadnymi wyraźnymi oznakami uwagi. Lecz powrót pana de Gesvres przerwał jego monolog.

Hrabia wrócił z dwoma listami. Jeden oznajmiał mu przybycie Herlocka Sholmesa następnego dnia.

— Cudownie — zawołał pan Filleul, ogromnie ucieszony. — Inspektor Ganimard również przyjeżdża. To będzie wspaniałe.

— Ten drugi list jest dla pana, panie sędzio śledczy — rzekł hrabia.

— Coraz lepiej — powiedział pan Filleul po przeczytaniu. — Ci panowie stanowczo nie będą mieli wiele do roboty. Panie Beautrelet, donoszą mi z Dieppe, że znaleźli dziś rano na skałach zwłoki młodej kobiety.

Beautrelet podskoczył.

— Co pan mówi? Zwłoki...

— Młodej kobiety... Zwłoki okropnie zmienione, dodają, których tożsamości nie udałoby się wcale stwierdzić, gdyby nie został na prawym ramieniu mały złoty łańcuszek, bardzo cienki, który się wpił w nabrzmiałą skórę. Otóż panna de Saint-Véran nosiła na prawym ramieniu złoty łańcuszek. Najwidoczniej więc chodzi tu, panie hrabio, o pańską nieszczęśliwą siostrzenicę, którą tam wyrzuciło morze. Co pan o tym myśli, panie Beautrelet?

— Nic... nic... a raczej tak... wszystko się wiąże, jak pan widzi i niczego już nie brak mojej argumentacji. Wszystkie fakty, jeden po drugim, nawet najsprzeczniejsze, najbardziej zbijające z tropu, ostatecznie popierają hipotezę, którą pomyślałem od pierwszej chwili.

— Nie rozumiem pana dobrze.

— Niebawem pan zrozumie. Niech pan nie zapomina, że przyrzekłem panu całą prawdę.

— Ale mnie się zdaje...

— Trochę cierpliwości, panie sędzio śledczy. Jak dotąd nie mógł się pan na mnie skarżyć. Jest ładny dzień. Niech się pan przejdzie, zje śniadanie w zamku, wypali fajeczkę. Ja zaś wrócę za cztery do pięciu godzin. A co do mego liceum, to trudno, pojedę o północy.

Dotarli do zabudowań wiejskich za zamkiem. Beautrelet wskoczył na rower i oddalił się.

W Dieppe zatrzymał się w redakcji dziennika „La Vigie” i kazał sobie pokazać numery z ostatnich piętnastu dni. Następnie odjechał do Envermeu, oddalonego o dwanaście kilometrów. W Envermeu porozmawiał się z merem, z proboszczem i z posterunkowym. Na wieży kościelnej wybiła trzecia. Jego badania były skończone.

Wracając, śpijąc i radości. Jego nogi naciskały w równym i silnym rytmie na pedały, pierś wchłaniała głęboko świeży powiew idący od morza. Od czasu do czasu rzucał ku niebu okrzyki tryumfu, myśląc o celu, do którego dążył, i o swych szczęśliwych wysiłkach.

Ukazało się Ambrumésy. Puścił się największym pędem po stoku, który opadał ku zamkowi. Stuletnie drzewa obrzeżające drogę podwójnym szeregiem jakby biegły naprzeciw niego i ginęły natychmiast za nim.

I nagle krzyknął. Spozstrzegł linię ciągnącą się od jednego drzewa do drugiego, w poprzek drogi.

Pojazd zatrzymał się w jednej chwili. Beautrelet z niesłychaną gwałtownością wyleciał na trzy metry do przodu. Miał wrażenie, że jedynie przypadkiem, cudownym przypadkiem uniknął sterty kamieni, gdzie, logicznie rzecz biorąc, byłby rozbił głowę.

Przez kilka sekund leżał oszolomiony. Potem, cały potłuczony, z poranionymi kolanami, zbadał miejsce. Z prawej strony rozciągał się laszek, przez który bez wątplenia uciekł napastnik. Beautrelet odwiązał linę. Na drzewie po lewej, wokół którego była obwiązana, wisiał przymocowany sznurkiem kawałek papieru. Rozłożył go i przeczytał:

Trzecie i ostatnie ostrzeżenie.

Niebezpieczeństwo

Wróciwszy do zamku, zadał kilka pytań służącym i wyszukał sędziego śledczego w pokoju na parterze, na końcu prawego skrzydła, gdzie pan Filleul zwykł przebywać podczas swych czynności. Pan Filleul pisał, a jego pisarz siedział naprzeciw niego. Na dany znak pisarz wyszedł, a sędzia zawołał:

— Co się panu stało, panie Beautrelet? Ma pan całkiem zakrwawione ręce.

— To nic, to nic — rzekł młody człowiek. — Zwykły upadek spowodowany przez linę, rozpiętą przed moim rowerem. Poproszę pana tylko o zwrócenie uwagi na to, że ta lina pochodzi z zamku. Nie więcej niż przed dwudziestoma minutami służyła do suszenia bielizny przed pralnią.

— Czy to możliwe?

— Panie sędzio śledczy, nawet tu czuwa nade mną ktoś, kto się znajduje w samym sercu tego miejsca, kto mnie widzi, słyszy i kto minuta po minucie jest obecny przy moich działaniach i zna moje zamiary.

— Sądzi pan?

— Jestem tego pewny. To pańska rzecz go odkryć i nie będzie pan z tym miał kłopotu. A co do mnie, to chcę skończyć i dać panu obiecane wyjaśnienia. Posuwałem się przódzej, niż przypuszczali nasi przeciwnicy, i jestem przekonany, że będą działali energicznie. Krąg wokół mnie się zacieśnia. Zbliża się niebezpieczeństwo, przeczuwam je.

— No, zobaczymy, panie Beautrelet.

— Ba, zobaczymy. Tymczasem spieszymy się. A najpierw pytanie o coś, co chciałbym od razu odrzucić. Nie mówił pan nikomu o tym dokumencie, który podniósł sierżant Quevillon i oddał panu w mojej obecności?

— Dalibóg, nikomu. Przywiązuje pan do niego jakąkolwiek wagę?

— Wielką wagę. To pomysł, pomysł, który zresztą, wyznaję to, nie opiera się na żadnym dowodzie, bo dotychczas nie zdołałem odszyfrować tego dokumentu. Otóż wspominał panu o nim... żeby do niego już nie wracać.

Beautrelet oparł rękę na rękę pana Filleul i rzekł cicho:

— Proszę zamilknąć... ktoś nas podsłuchuje... na zewnątrz...

Zaskrzypiał piasek. Beautrelet pobiegł do okna i wychylił się.

— Nie ma już nikogo... ale grządka jest podeptana... łatwo będzie zbadać odcisk obuwia...

Zamknął okno, wrócił i usiadł na krześle.

— Widzi pan, panie sędzio śledczy, nieprzyjaciel porzucił już środki ostrożności... Nie ma już więcej czasu... On także czuje, że czas nagli... Spieszymy się więc i mówmy, ponieważ oni nie chcą, żebym mówił.

Położył na stole dokument i trzymał go rozłożony.

— Przede wszystkim jedna uwaga, panie sędzio śledczy. Nie ma na tym papierze poza kropkami nic prócz cyfr. A w trzech pierwszych liniach i w piątej — tylko tymi powinniśmy się zająć, gdyż czwarta wydaje mi się zupełnie innego rodzaju — żadna z cyfr nie przekracza ósemki. Mamy więc sporo szans, że każda z tych cyfr przedstawia jedną z ośmiu samogłosek, i to w porządku alfabetycznym. Wypiszmy rezultat.

I na kartce papieru napisał:

.a.a .o.o.e..e.a.
.o.o .a.ie...i
.o. o..e...e.o..e
.y..ą.o.a i..i.a

Potem mówił dalej:

— Jak pan widzi, niewiele to nam dało. Klucz jest równocześnie bardzo łatwy, gdyż zadowolono się zastąpieniem samogłosek cyframi, a spółgłosek kropkami, i bardzo trudny, gdyż nie zadano sobie więcej trudu, żeby skomplikować problem.

— Jest rzeczywiście wystarczająco niejasny.

— Spróbujmy go rozjaśnić. Druga linia jest podzielona na dwie części, a druga część wygląda tak, że prawdopodobnie stanowi jedno słowo. Jeśli teraz spróbujemy zastąpić kropki spółgłoskami, po pewnym poszukiwaniu dojdziemy do tego, że jedyne spółgłoski, które logicznie mogą pasować do samogłosek, tworzą słowo: „zamijski” albo „panieński”.

— A zatem chodziłoby może o pannę de Gesvres i pannę de Saint-Véran.
— Z całą pewnością.
— I nie widzi pan nic więcej?
— Owszem. Widzę jeszcze przerwę ciągłości w ostatniej linii i jeśli zastosuję takie samo rozumowanie do początku tej linii, spostrzegam, że między znajdującymi się tam samogłoskami można umieścić jedynie spółgłoski tworzące razem z nimi wyraz „wydrążona”.

— Istotnie, ten wyraz się narzuca — potwierdził pan Filleul.

— Zaś co do ostatniego słowa możliwe są dwie kombinacje: „iglica” lub „izbica”. Odrzucam „izbica” jako niewiążące się z przymiotnikiem wydrążenia i zostaje mi „iglica”.

— To razem stanowi „wydrążona iglica”. Do kroćset! Przypuszczam, że pańskie rozwiązanie jest słuszne, a przypuszczam tak, bo inaczej być nie może, ale w czym nas to posuwa naprzód?

— W niczym — odrzekł zamyślony Beautrelet. — W niczym, jak na razie... Później zobaczymy... Zdaje mi się, że wiele rzeczy zawiera się w zagadkowym skojarzeniu tych dwóch słów: „wydrążona iglica”. Co mnie na razie zajmuje, to raczej materiał dokumentu, papier, którego użyto... Czy jeszcze się wytwarza ten rodzaj trochę chropowatego pergaminu? A potem ta barwa kości słoniowej... i wreszcie, proszę uważać, te ślady czerwonego wosku z tyłu...

W tej chwili Beautreletowi przerwano. To pisarz Brédoux otworzył nagle drzwi i oznajmił, że przybył naczelny prokurator.

Pan Filleul wstał.

— Coś nowego? Czy pan prokurator naczelny jest na dole?

— Nie, panie sędzio śledczy. Pan prokurator naczelny nie wysiadł z powozu. Przejeżdża tylko przez Ambrumésy i prosi, żeby pan był łaskaw zobaczyć się z nim przed bramą. Ma panu powiedzieć tylko słówko.

— To dziwne — mrucał pan Filleul. — Cóż... zobaczymy. Panie Beautrelet, przepraszam, idę i zaraz wrócę.

I wyszedł. Słysząc było, jak się oddalał. Wówczas pisarz Brédoux zamknął drzwi, obrócił klucz i włożył go do kieszeni.

— O, cóż to? — zawołał zdumiony Beautrelet. — Co pan robi? Po co nas pan zamyka?

— Czy nie będzie nam lepiej rozmawiać? — odparł Brédoux.

Beautrelet rzucił się ku drugim drzwiom, które wiodły do sąsiedniego pokoju. Zrozumiał. Wspólnikiem był Brédoux, pisarz sędziego śledczego!

Brédoux szydził:

— Niech pan sobie nie kaleczy palców, mój młody przyjacielu, mam także klucz do tych drzwi.

— Zostaje okno! — krzyknął Beautrelet.

— Za późno — rzekł Brédoux, który rozparł się przed oknem, z rewolwerem w ręku.

Wszystkie drogi były odcięte. Nie pozostawało nic innego, jak bronić się przeciw nieprzyjacielowi, który zdemaskował się z tak brutalną odwagą. Izydora, którego zdjęło uczucie nieznanego lęku, skrzyżował ramiona.

— Dobrze — mruknął pisarz — a teraz sprawmy się krótko.

Wyciągnął zegarek.

— Ten pocziwiec Filleul dojdzie do bramy. U bramy ani śladu prokuratora. Wówczas wróci. To daje około czterech minut. Jednej potrzeba mi na ucieczkę przez to okno, przemknęciem się przez furtkę przy ruinach i dopadnięciem motocyklu, który na mnie czeka. Zatem zostają trzy minuty. To wystarczy.

Była to figura dziwaczna, szpetna, której długie, wątłe nogi utrzymywały w równowadze ogromny tors, okrągły jak ciało pająka i opatrzone ogromnymi rękami. Kościasta twarz i niskie, małe czoło wskazywały na nieco ograniczoną zawziętość osobnika.

Pod Beautreletem zachwiały się nogi. Musiał usiąść.

— Proszę mówić. Czego pan chce?

— Kartki. Trzy dni jej szukam.

— Nie mam jej.

— Kłamiesz. Kiedy wszedłem, widziałem, jak wkładałeś ją do portfela.

— A potem?

— Potem? Przrzekniesz, że będziesz grzeczny. Denerwujesz nas. Daj nam spokój i zajmij się swoimi sprawami. Tracimy już cierpliwość.

Postąpił naprzód, z rewolwerem wciąż wymierzonym do młodzieńca, i mówił głucho, energicznie akcentując zgłoski. Spojrzenie jego było twarde, uśmiech okrutny.

Beautrelet zadrżał. Po raz pierwszy doznał uczucia niebezpieczeństwa, i to jakiego niebezpieczeństwa! Stał wobec nieubłaganego wroga, wobec ślepej, niepowstrzymanej siły.

— A potem? — powiedział zdławionym głosem.

— Potem? Nic... Będziesz wolny... Zapomnimy...

Milczenie. Brédoux zaczął dalej:

— Została tylko minuta. Trzeba się zdecydować. Dalej, kochany, tylko bez głupstw... Jesteśmy silniejsi, zawsze i wszędzie... Prędko, kartka...

Izydor nie ruszał się. Błady, przerażony, panował jednak nad sobą, mimo rozstroju nerwów miał jasny umysł. Dwadzieścia centymetrów od jego oczu otwierała się mała czarna paszcza rewolweru. Zgięty palec ciążył wyraźnie na spuście. Wystarczyłby lekki wysiłek...

— Kartka — powtórzył Brédoux. — Inaczej...

— Oto ona — rzekł Beautrelet.

Wyciągnął z kieszeni portfel i podał pisarzowi, który chwycił go gwałtownie.

— Doskonale! Jesteś rozsądny, stanowczo, można z tobą coś zrobić... Trochę kłopotliwy, ale rozsądny. Powiem o tym towarzyszom. A teraz zmykam. Bądź zdrów.

Schował rewolwer i zaczął otwierać okno.

W korytarzu rozległ się hałas.

— Bądź zdrów — powiedział znowu. — Najwyższy czas.

Jednak wstrzymała go jakaś myśl. Przejrzał portfel.

— Do diabła!... — zgrzytnął. — Tu nie ma kartki... Oszukałeś mnie!

Wskoczył do pokoju.

Rozległy się dwa strzały. Z kolei Izydor wyjął swój rewolwer i strzelił.

— Chybiłeś, kochany! — ryknął Brédoux. — Ręka ci drży... Boisz się...

Chwycili się w pół i potoczyli na podłogę.

Ktoś gwałtownie dobijał się do drzwi.

Izydor osłabł, jego przeciwnik natychmiast nad nim zapanował. Nadszedł koniec. Uzbrojona w nóż ręka podniosła się nad nim i opadła. Uczuł ostry ból pod łopatką. Legł bezwładny.

Miał wrażenie, że szukano w wewnętrznej kieszeni jego surduta i że zebrano dokument. Potem jak przez mgłę widział mężczyznę wyskakującego przez okno.

Dzienniki, które następnego dnia rano doniosły o ostatnich wydarzeniach w zamku Ambrumésy, o okradzeniu kaplicy, o odkryciu ciała Arsène'a Lupin i Rajmundy, a w końcu o zamordowaniu Beautreleta przez Brédoux, pisarza sędziego śledczego, podały również następujące dwie wiadomości: o zniknięciu Ganimarda oraz o porwaniu w biały dzień w samym sercu Londynu Herlocka Sholmesa, w chwili gdy miał wsiąść do pociągu do Dover.

Tak więc banda Lupina, na chwilę zdeorganizowana za sprawą genialnego siedemnastolatka, podjęła ofensywę i od razu wszędzie i pod każdym względem odniosła zwycięstwo. Dwaj wielcy przeciwnicy Lupina, Sholmes i Ganimard, uwięzieni. Izydor Beautrelet wyłączony z walki. Sprawiedliwość bezsilna. Nikt nie był w stanie walczyć z takimi nieprzyjaciółmi.

ROZDZIAŁ IV. TWARZĄ W TWARZ

Sześć tygodni później pewnego wieczora pozwoliłem wyjść swemu służącemu. Był to wieczór 13 lipca. Gorąco było jak przed burzą, a myśl o wyjściu wcale mi się nie uśmiechała. Otworzywszy okna balkonowe i zaświeciwszy lampę, rozsiadłem się wygodnie w fotelu. Nie czytałem jeszcze dzienników, więc postanowiłem je przerzucić.

Oczywiście pisano tam o Arsène Lupin. Od czasu morderczego zamachu, którego ofiarą padł biedny Izydor Beautrelet, nie było dnia, by nie wspomniano o aferze z Ambrumésy. Poświęcano jej co dzień stałą rubrykę. Nigdy opinia publiczna nie była do tego stopnia podniecona taką serią nagłych, nieprzewidywanych i niepokojących wypadków. Pan Filleul, który z najwidoczniejszą dobrą wolą zgodził się na swoją podrzędną rolę, wyjawiał przeprowadzającym wywiady czyny swego młodego doradcy podczas trzech pamiętnych dni, tak że można było na ich podstawie wysuwać najbardziej śmiało przypuszczenia.

Nie żalowano też sobie. Specjaliści i fachowcy w zakresie zbrodni, powieściopisarze i dramaturdzy, urzędnicy i byli dyrektorzy policji, emerytowani Lecocqowie¹⁴ i początkujący Herlockowie Scholmesi, każdy miał swoją teorię i rozwijał ją w długich artykułach w prasie. Każdy podejmował i uzupełniał śledztwo.

A to wszystko z powodu słów jednego młodzieńca, z powodu słów Izydora Beautreleta, ucznia klasy maturalnej w liceum Janson de Sailly.

Bo rzeczywiście trzeba przyznać, wszystkie pierwiastki prawdy były dane. Na czym polegała tajemnica?... Znano kryjówkę, w której Arsène Lupin schronił się i konał, co do tego nie było żadnej wątpliwości. Doktor Delattre, który się zaslaniał ustawicznie tajemnicą zawodową i odmówił składania jakichkolwiek zeznań, zwierzał się jednak zaufanym znajomym — a pierwszym ich staraniem było to rozgadać — że został zaprowadzony właśnie do krypty, do rannego, którego towarzysze przedstawili mu jako Arsène'a Lupin. A ponieważ w tej samej krypcie odnaleziono ciało Stefana Vaudreix, więc Stefan Vaudreix był właśnie Arsène'em Lupin, co wykazało śledztwo, zatem tożsamość Arsène'a Lupin i owego rannego zyskiwała dodatkowy dowód.

Zatem, skoro Lupin nie żył, a ciało panny de Saint-Véran poznano dzięki łańcuszkowi, który nosiła na ręce, dramat dobiegł końca.

A jednak tak nie było. Nikt nie uważał dramatu za zakończony, skoro Beautrelet powiedział inaczej. Nie wiadano, dlaczego miałby się nie skończyć, ale wskutek orzeczenia młodego człowieka tajemnica trwała dalej. Świadczenie rzeczywistości nie przeważało twierdzenia Beautreleta. Było coś, o czym nie wiadano, nikt jednak nie wątpił, że Beautrelet zdoła to wyjaśnić.

Z jakim więc niepokojem wyczekiwano z początku biuletynów o stanie zdrowia Izydora ogłaszanych przez dwu lekarzy z Dieppe, którym hrabia de Gesvres powierzył chorego! Jakież panowało przygnębienie podczas pierwszych dni, kiedy obawiano się o jego życie! A cóż za radość nastąpiła tego ranka, w którym dzienniki ogłosiły, że nie ma się już czego obawiać!

Tłumy ekscytowały się najdrobniejszymi szczegółami. Rozczulano się na wieść, że pielęgnuje go stary ojciec, wezwany depeszą, i podziwiano poświęcenie panny Zuzanny de Gesvres, która spędzała całe noce przy łóżku chorego.

Potem nastąpił szybki i radosny powrót do zdrowia. W końcu wszystko zostanie wyjaśnione. W końcu będzie wiadomo, co Beautrelet obiecał wyjawić panu Filleul, znane ostateczne słowa, których wypowiedzeniu przeszkodził nóż zbrodniarza! Będzie także wiadome to wszystko, co poza samym dramatem było w dalszym ciągu niezbadane i niedostępne dla wszelkich wysiłków władzy.

Wobec tego, że Beautrelet był wolny i wyleczony ze swej rany, spodziewano się stanowczych wyjaśnień co do pana Harlingtona, tajemniczego współnika Arsène'a Lupin, którego nadal trzymano w więzieniu de la Sante. Tak samo spodziewano się wiadomości, co stało się po zbrodni z pisarzem Brédoux, drugim współnikiem, którego zuchwałstwo było zdumiewające.

Skoro Beautrelet wolny, można będzie wyrobić sobie ścisłe zdanie o zniknięciu Ganimarda i porwaniu Sholmesa. Jak można było dokonać takich dwóch zamachów? Detektywi angielscy, jak również ich francuscy koledzy nie mieli żadnych przesłanek w tej sprawie. W niedzielę Zielonych Świąt Ganimard nie wrócił do domu, w poniedziałek tak samo, i tak dalej już od szczęści tygodni. W Londynie w poniedziałek Zielonych Świąt Herlock Sholmes o godzinie czwartej po południu wsiadł do kabrioletu, żeby udać się na

¹⁴Lecocq — postać literacka, detektyw policyjny, bohater kilku powieści francuskiego pioniera literatury kryminalnej Émile'a Gaboriau, wydanych w latach 1867–1871. [przypis edytorski]

dworzec kolejowy. Zaledwie wsiadł, a już usiłował wysiąść, prawdopodobnie spostrzegłszy niebezpieczeństwo. Lecz dwaj osobnicy wskoczyli do powozu z prawej i lewej strony, przewrócili go i trzymali między sobą, a raczej pod sobą, zważywszy szczupłość pojazdu. I to na oczach dziesięciu świadków, niemających czasu na niesienie pomocy. Powóz odjechał cwałem. Potem? Potem nic. Nie wiedzano nic a nic.

I może Beautrelet wyjaśni także do końca zagadkę tego dokumentu, tego tajemniczego papieru, do którego pisarz Brédoux musiał przywiązywać znaczną wagę, skoro, żeby odebrać go posiadaczowi, nie wahał się użyć noża. Niezliczeni Edypowie¹⁵, zaintrygowani tym, jak to nazywali, problemem Wydrążonej Iglicy, ślęczeli nad cyframi i kropkami, usiłując znaleźć w nich jakieś znaczenie... Wydrążona Iglica! Zbijające z tropu skojarzenie dwóch słów! Cóż za niezrozumiałe zagadnienie stawiał ten kawałek papieru nieznanego pochodzenia. Wydrążona Iglica! Czy to było nic nieznaczące wyrażenie, rebus uczniaka, gryzmołacego atramentem w rogu kartki papieru, czy też dwa magiczne słowa, przez które cała wielka przygoda awanturника Lupina nabrała właściwego znaczenia? Nie wiedzano nic.

Lecz miano się dowiedzieć. Od szeregu dni dzienniki zapowiadały rychłe przybycie Beautreleta. Walka miała rozpocząć się na nowo i tym razem miała być nieubłagana ze strony młodego człowieka, który płonął pragnieniem odwetu.

I oto właśnie jego nazwisko, wydrukowane wielkimi czcionkami, zwróciło moją uwagę. Dziennik „Grand Journal” zamieścił na stronie tytułowej następującą notatkę:

Otrzymaliśmy od pana Izzydora Beautreleta przyrzeczenie, że nam pierwszym udzieli swych rewelacji. Jutro, w środę, zanim jeszcze zostaną poinformowane organa sprawiedliwości, „Grand Journal” opublikuje całą prawdę o dramacie w Ambrumésy.

— Nie lada obietnica, he? Co pan o tym myśli, drogi panie?

Podskoczyłem na fotelu. Obok mnie na sąsiednim krześle siedział ktoś, kogo nie znałem. Zerwałem się i szukałem wzrokiem broni. Lecz ponieważ jego zachowanie się wydało mi się zupełnie pokojowe, uspokoiłem się i podszedłem do niego.

Był to młody człowiek, o energicznej twarzy, z długimi, jasnymi włosami i rudawą, rozdwojoną bródką. Jego ubranie przypominało skromny strój angielskiego księdza, zresztą cała jego postać miała w sobie coś surowego i poważnego, co wzbudzało szacunek.

— Kim pan jest? — zapytałem.

A ponieważ się nie odezwał, powtórzyłem:

— Kim pan jest? Jak pan tutaj wszedł? Czego pan tu szuka?

Spojrzał na mnie i rzekł:

— Nie poznaje mnie pan?

— Nie... nie.

— Ach, to rzeczywiście ciekawe. Niech pan dobrze poszuka w pamięci... jeden z pańskich przyjaciół... przyjaciel trochę osobliwszego rodzaju... jednak...

Chwyciłem go gwałtownie za ramię:

— Pan kłamie!... Pan kłamie!... Nie... pan nie jest tym, za kogo pan chce uchodzić...

To nieprawda!

— A więc dlaczego myśli pan raczej właśnie o tym niż o kimś innym? — zapytał, śmiejąc się.

Ach, ten śmiech! Ten młodzieńczy, pogodny śmiech, którego miła ironia tak często mnie bawiła!... Przebiegł mnie dreszcz. Czy to możliwe?

— Nie! Nie! — protestowałem z pewnym przerażeniem. — To niemożliwe...

— To niemożliwe, żebym to był ja, ponieważ ja nie żyję, nieprawdaż, a pan nie wierzy w duchy?

I zaśmiał się znowu.

¹⁵Edyp (mit. gr.) — rozwiązał zagadkę Sfinksa, skrzydlatego potwora o głowie kobiety i tułowiu lwa, który czatował na podróżnych zmierzających do Teb i zadawał im trudne pytanie-zagadkę, a gdy nie umieli odgadnąć odpowiedzi, pożerał ich. Edyp udzielił poprawnej odpowiedzi, a wtedy Sfinks rzucił się w przepaść. [przypis edytorski]

— Czy należą do tych, co umierają? Umrzeć w taki sposób, od kuli strzelonej w plecy przez dziewczynę! Doprawdy, źle mnie pan ocenia! Tak jakbym zgodził się na podobny koniec!

— Więc to pan! — bełkotałem, wciąż jeszcze nie wierząc, a jednak cały wzruszony.
— Więc to pan!... Nie mogę pana poznać...

— A zatem — rzekł wesoło — jestem spokojny. Jeśli jedyny człowiek, któremu pokazałem, jak naprawdę wyglądam, dzisiaj mnie nie poznaje, to każdy, kto mnie odtąd zobaczy takiego, jaki dzisiaj jestem, też mnie nie rozpozna, tym bardziej jeśli zobaczy mój prawdziwy wygląd, jeżeli ja w ogóle mam prawdziwy wygląd...

Przypomniałem sobie teraz jego głos, ponieważ nie zmieniał właściwego brzmienia, przypomniałem sobie także jego oczy, wyraz jego twarzy i całą jego postać i jego istotę poprzez pozór, którym się osłonił.

— Arsène Lupin — szepnąłem.

— Tak, Arsène Lupin — zawołał, wstając. — Jeden jedyny Arsène Lupin, który powrócił z królestwa cieni, ponieważ, zdaje się, konałem i zmarłem w jakiejś krypcie. Arsène Lupin, całkiem żywy, działający najzupełniej wedle własnej woli, szczęśliwy i wolny, i bardziej niż kiedykolwiek gotów radować się tą szczęśliwą niezależnością na świecie, na którym spotykał się jedynie z przychylnością i przywilejami.

Teraz ja z kolei zacząłem się śmiać.

— O, to naprawdę pan, i tym razem o wiele weselszy niż tego dnia, w którym miałem przyjemność widzieć pana zeszłego roku... Winszuję panu.

Uczyniłem aluzję do jego ostatniej wizyty, wizyty, która nastąpiła po sławnej przygodzie z diademem, po zerwaniu przez niego małżeństwa, po jego ucieczce z Sonią Krisznow i strasznej śmierci młodej Rosjanki. Owego dnia widziałem Arsène'a Lupin, którego nie znałem, słabego, przygnębionego, z oczyma zmęczonymi płaczem, szukającego odrobiny współczucia i sympatii...

— Niech pan o tym nie mówi — rzekł. — Przeszłość jest daleko.

— To było rok temu — zauważyłem.

— Dziesięć lat temu — powiedział. — Lata Arsène'a Lupin są dziesięć razy dłuższe od innych.

Nie upierałem się i zmieniłem temat rozmowy.

— Jakże więc pan tu wszedł?

— Mój Boże, jak wszyscy ludzie, drzwiami. Potem, nie widząc nikogo, przeszedłem przez salon, wszedłem na balkon i oto jestem.

— No dobrze, ale klucz do drzwi?

— Dla mnie nie istnieją drzwi, przecież pan wie. Potrzebowałem pańskiego mieszkania i wszedłem.

— Do usług. Czy mam pana opuścić?

— O bynajmniej, nie będzie pan wcale zbyteczny. Mogę panu nawet powiedzieć, że wieczór będzie zajmujący.

— Czy pan kogoś oczekuje?

— Tak, wyznaczyłem tutaj spotkanie na dziesiątą...

Wyjął zegarek.

— Dziesiąta. Jeśli telegram doszedł, to ten człowiek się nie spóźni...

Odezwał się dzwonek w przedpokoju.

— Co powiedziałem? Nie, niech się pan nie trudzi... Pójdę sam.

Z kim, do diabła, mógł się umówić? I jakiej sceny, dramatycznej czy komicznej, mam zostać świadkiem? Skoro sam Lupin uważa ją za interesującą, sytuacja musiała być cokolwiek wyjątkowa.

Po chwili wrócił i odsunął się na bok, żeby zrobić miejsce młodemu człowiekowi, szczupłemu, wysokiemu i bardzo blademu.

Bez jednego słowa, z pewną uroczystością w ruchach, która mnie niepokoiła, Lupin zapalił wszystkie lampki elektryczne. Pokój zalała powódź światła. Wówczas obaj mężczyźni spojrzeli sobie w głęboko oczy, jakby całym wysiłkiem swych płomiennych oczu starali się przeniknąć jeden drugiego.

Był to niezrównany widok: ci dwaj ludzie, stojący naprzeciw siebie, poważni i milczący. Lecz kim mógł być ten nowo przybyły?

Już się domyślałem, dzięki jego podobieństwu do świeżo opublikowanej fotografii, kiedy Lupin zwrócił się do mnie:

— Mój drogi przyjacielu, przedstawiam panu pana Izydora Beautreleta.

A zaraz potem, zwracając się do młodego człowieka:

— Powiniennem panu podziękować, panie Beautrelet. Po pierwsze za to, że pan zechciał wskutek mego listu odłożyć swe rewelacje na czas po obecnym spotkaniu, a następnie, że pan był łaskaw nie odmówić mi tego spotkania.

Beautrelet uśmiechnął się.

— Tylko zechce pan zauważyć, że moja łaskawość polega przede wszystkim na posłuszeństwie wobec pańskich rozkazów. Groźba, którą mi pan przesłał w tym liście, była tym bardziej rozstrzygająca, że nie odnosiła się do mnie, tylko godziła w mego ojca.

— Dalibóg — odparł Lupin, śmiejąc się — działa się, jak się może, i używa środków działania, które się posiada. Wiedziałem z doświadczenia, że pańskie osobiste bezpieczeństwo jest panu obojętne, ponieważ oparł się pan argumentom imć pana Brédoux. Został pański ojciec, którego pan tak gorąco kocha... Zagrałem na tej strunie...

— I oto jestem — potwierdził Beautrelet.

Zaprosiłem ich gestem, by usiedli. Zajęli miejsca i Lupin mówił dalej tym tonem nieuchwytniej ironii, który mu był właściwy.

— W każdym razie, panie Beautrelet, jeśli pan nie przyjmuje moich podziękowań, nie odtrąci pan przynajmniej moich przeprosin.

— Przeprosin! I czemuż to, panie?

— Z powodu brutalności, z którą zachował się wobec pana imć pan Brédoux.

— Przyznaję, że ten postępek był dla mnie zaskoczeniem. To nie był sposób właściwy Lupinowi. Pchnięcie nożem...

— Toteż ja nie jestem temu winien. Imć pan Brédoux to nowy rekrut. Moi przyjaciele w czasie, kiedy kierowali naszymi sprawami, sądzili, że mogłoby być pożyteczne pozyskać dla naszej sprawy samego pisarza sędziego śledczego.

— Pańscy przyjaciele mieli zupełną słuszość.

— Istotnie, Brédoux, którego specjalnie przydzielono do pańskiej osoby, był dla nas nieoceniony. Lecz w tym zapale, właściwym wszystkim neofitom¹⁶, pragnącym się wyróżnić, posunął się trochę za daleko i sprzeciwił się moim planom, pozwalając sobie w własnej inicjatywy ugodzić pana nożem.

— Och, przecież to drobny wypadek.

— Ależ przeciwnie, ależ przeciwnie, i udzieliłem mu za to surowej nagany. Muszę jednak dodać na jego obronę, że zaskoczyła go naprawdę nieoczekiwana nagłość pańskich dociekań. Byłby pan nam przyczynił jeszcze nieco trudów, gdyby pan uniknął tego haniebnego zamachu.

— I byłby mnie bez wątpienia spotkał los panów Ganimarda i Herlocka Sholmesa?

— Istotnie — rzekł Lupin z głośnym śmiechem. — A ja nie doznałbym przykrych obaw, które mi sprawiła pańska rana. Przeszedłem z tego powodu, przysięgam panu, bardzo ciężkie godziny i dziś jeszcze pańska bladeść jest dla mnie bolesnym wyrzutem. Nie gniewa się pan już na mnie?

— Dowód zaufania — odparł Beautrelet — który mi pan daje, przyszedłszy tutaj — a przecież byłoby mi tak łatwo przyprowadzić ze sobą kilku przyjaciół Ganimarda — ten dowód zaufania zmazuje wszystko.

Czy mówił to serio? Wyznaję, że byłem zbity z tropu. Zmagania tych dwóch ludzi zaczynały się w sposób dla mnie zupełnie niezrozumiały. Ja, który byłem obecny przy pierwszym spotkaniu Lupina i Holmesa w kawiarni dworca Montparnasse, nie mogłem nie przypomnieć sobie dumnego zachowania się obu walczących, strasznego zderzenia się pychy pod pozorem grzeczności w zachowaniu, chytrych ciosów, które sobie zadawali, ich zwodów, ich arogancji.

Tutaj nic podobnego. Lupin się nie zmienił. Lecz na jakże dziwnego natknął się przeciwnika! Czy to w ogóle był przeciwnik? Naprawdę nie miał ani odpowiedniego tonu,

¹⁶neofita — osoba, która niedawno przyjęła jakąś wiarę; przen.: osoba, która zmieniła poglądy i od niedawna stała się zwolennikiem czegoś. [przypis edytorski]

ani wyglądu. Bardzo spokojny, lecz prawdziwym spokojem, który nie maskował porywczości człowieka hamującego się, bardzo grzeczny, lecz bez przesady, uśmiechający się, lecz bez szyderstwa, stanowił wobec Arsène'a Lupin zupełny kontrast, tak doskonały, że nawet sam Lupin wydał mi się zbity z tropu, tak samo jak ja.

Nie, doprawdy, Lupin nie miał wcale wobec tego wątłego młodzieniaszka, z różowymi policzkami młodej dziewczyny, z szczerymi, czarującymi oczami, nie, Lupin, nie miał swej zwykłej pewności siebie. Kilkakrotnie zauważyłem w nim ślady zakłopotania. Wahał się, nie atakował śmiało, tracił czas na słodkie słówka i żarty.

Można by rzec, że czegoś mu brakowało. Wyglądał tak, jakby czegoś szukał, wyczerkiwał. Czego? Jakiej pomocy?

Ponownie odezwał się dzwonek. Pobiegł prędko sam otworzyć.

Wrócił z listem.

— Panowie pozwolicie? — zapytał nas.

Rozpieczętował list. Zawierał telegram. Przeczytał go.

Zaszła w nim jakby przemiana. Jego twarz się rozjaśniła, wyprostował się i widziałem, jak nabrzmiały żyły na jego skroni. Zobaczyłem w nim znowu atleteę, pogromcę, pewnego siebie pana wypadków i ludzi.

Położył telegram na stole i uderzając go pięścią, zawołał:

— Teraz gra między nami dwoma, panie Beautrelet!

Beautrelet wyteńczył uwagę, a Lupin zaczął głosem umiarkowanym, lecz suchym i stanowczym:

— Zrzucmy maski i przestańmy bawić się w hipokryzję. Jesteśmy dwoma przeciwnikami, którzy wiedzą doskonale, co o sobie myśleć. Działamy wobec siebie jako nieprzyjaciele i konsekwentnie powinniśmy jako nieprzyjaciele prowadzić ze sobą układy.

— Układy? — zapytał zaskoczony Beautrelet.

— Tak, układy. Nie powiedziałem tego słowa na wiatr i powtarzam je, choć mnie to dużo kosztuje. Pierwszy raz używam go wobec przeciwnika. Lecz także, mówię to panu od razu, po raz ostatni. Proszę z tego korzystać. Nie wyjdę stąd bez pewnej obietnicy z pana strony. Inaczej: wojna.

Beautrelet zdawał się coraz to bardziej zdziwiony. Rzekł uprzejmie:

— Nie spodziewałem się tego, mówi pan ze mną tak dziwnie. To tak się różni od tego, co przypuszczałem!... Tak, wyobrażałem sobie pana zupełnie inaczej... Na co gniew, groźby? Czyż więc jesteśmy wrogami, ponieważ okoliczności stawiają nas przeciwko sobie? Wrogowie... Dlaczego?

Lupin zachwiał się na chwilę, lecz zaraz zaśmiał się szyderczo, nachylając się nad młodzieńcem:

— Ależ, kawalerze, nie chodzi wcale o dobór wyrażen. Chodzi o jeden fakt, pewny i niezaprzeczony. Mianowicie ten: od dziesięciu lat nie na tknąłem się ani razu na przeciwnika tej siły, co pan. Z Ganimardem, z Herlockiem Scholmesem grałem jak z dziećmi. Wobec pana muszę się bronić, powiem więcej, muszę się cofać. Tak, w obecnej chwili obaj wiemy dobrze, i pan, i ja, że muszę się uważać za zwyciężonego. Izidor Beautrelet pokonał Arsène'a Lupin. Moje plany są zniweczone. To, co ja usiłuję zachować w mroku, pan wydobywa na światło dzienne. Pan mi przeszkadza, pan mi zagradza drogę. Otóż mam tego dosyć... Brédoux powiedział to panu bezskutecznie. Ja panu to powtarzam i bardzo proszę, żeby się pan z tym liczył. Mam tego dosyć.

Beautrelet potrząsnął głową.

— Ale w końcu czegoż pan sobie życzy?

— Pokoju! Niech każdy zostanie na swoim poletku.

— To znaczy, pan będzie włamywał się wedle woli, a ja mam wrócić do nauki.

— Do nauki... Do czego pan chce... Nic mnie to nie obchodzi... Ale da mi pan spokój, żądam spokoju.

— A w czym mogę teraz go zamącić?

Lupin chwycił go gwałtownie za rękę.

— Pan dobrze wie, proszę nie udawać, że pan nie wie. Jest pan teraz w posiadaniu tajemnicy, do której przywiązuję ogromną wagę. Tajemnicę tę miał pan prawo odgadnąć, ale nie ma pan żadnego prawa ogłaszać jej publicznie.

— Czy pan jest pewny, że ją znam?

— Pan ją zna, jestem tego pewny: z dnia na dzień, z godziny na godzinę śledziłem bieg pańskiej myśli i postęp pańskich badań. W chwili, w której Brédoux ugodził pana, miał pan wszystko powiedzieć. Jedyne z troski o swego ojca odroczył pan następnie swe rewelacje. Lecz teraz zostały one przyrządzone temu oto dziennikowi. Artykuł jest gotów. Za godzinę będzie złożony. Jutro się pojawi.

— To prawda.

Lupin w stał i przeciął powietrze ruchem ręki.

— On się nie pojawi! — zawołał.

— Pojawi się! — powiedział Beautrelet, który zerwał się nagle.

W końcu obaj mężczyźni stanęli naprzeciw siebie. Poczuli się jak w szoku, jak gdyby się pochwycili w pól. Beautreleta rozognił nagły przypływ energii. Rzekłbyś, że jakaś iskra rozpalila w nim nowe uczucia, odwagę, miłość własną, rozkosz walki, upojenie niebezpieczeństwem.

Zaś co do Lupina poczułem z blasku jego spojrzenia radość szermierza, który nareszcie spotyka się z szablą znieawidzonego rywala.

— Artykuł oddany?

— Jeszcze nie.

— Ma pan go tu, przy sobie?

— Nie jestem taki głupi! Już bym go nie miał.

— Więc?

— Ma go jeden z redaktorów, zapieczętowany, w podwójnej kopercie. Jeśli o północy nie wrócę do dziennika, każe go złożyć.

— Ach, gałgan! Wszystko przewidział — mruknął Lupin.

Burzył się w nim gniew, widoczny, straszny.

Beautrelet zaśmiał się szyderczo, oszołomiony swym tryumfem.

— Milcz, szczeniaku! — zawołał Lupin. — Nie wiesz, kim jestem? I że gdybym chciał... Dalibóg, on się śmieje!

Zapanowało między nimi głębokie milczenie.

Potem Lupin postąpił naprzód i głuchym głosem, z oczyma utkwionymi w oczach Beautreleta, rzekł:

— Pobiegniesz do „Grand Journal”...

— Nie.

— Zniszczysz swój artykuł.

— Nie.

— Zobaczysz się z redaktorem naczelnym.

— Nie.

— Powiesz mu, żeś się pomylił. I napiszesz inny artykuł, w którym podasz o Ambrumésy wersję oficjalną, tę, którą wszyscy przyjęli do wiadomości.

— Nie.

Lupin chwycił stalową linijkę, leżącą na mym biurku, i złamał ją bez najmniejszego wysiłku. Był strasznie błądy. Ścierał krople potu, które pokryły mu czoło. Jego, który nie znał oporu dla swej woli, opór tego dzieciaka doprowadzał do szaleństwa.

Oparł ręce na barkach Beautreleta i podkreślając każdą zgłoskę, mówił:

— Zrobisz to wszystko, Beautrelet, powiesz, że twoje ostatnie odkrycia przekonały cię o mojej śmierci, że co do tego nie ma najmniejszej wątpliwości. Powiesz to, ponieważ tego chcę, ponieważ trzeba, żeby wierzono w moją śmierć. Powiesz to przede wszystkim dlatego, że jeśli nie powiesz...

— Jeśli nie powiem?

— Twój ojciec zostanie porwany tej nocy, tak samo, jak zostali porwani Ganimard i Herlock Sholmes.

Beautrelet uśmiechnął się.

— Nie śmieję się... Odpowiadaj.

— Odpowiadam, że mi bardzo przykro sprzeciwiać się panu, lecz przyrzekłem powiedzieć, więc powiem.

— Powiedz tak, jak ci wskazałem.

— Powiem szczerą prawdę — zawołał z zapalem Beautrelet. — Jest to rzecz, której pan nie jest w stanie zrozumieć, rozkosz, a raczej potrzeba mówienia tego, jak jest, i to głośno. Prawda jest tu, w tej głowie, która ją odgadła i odkryła, i wyjdzie z niej cała, naga i drżąca. Artykuł pójdzie taki, jak go napisałem. Będzie wiadomo, że Lupin żyje, będzie wiadomy powód, dla którego chciał uchodzić za martwego, będzie wiadome wszystko.

I dodał spokojnie:

— A mój ojciec nie zostanie porwany.

Obaj zamilkli raz jeszcze, nie odrywając od siebie oczu. Obserwowali się nawzajem. Szable były po rękojeść zaangażowane w zacieklą walkę. Było to ciężkie milczenie, które wyprzedza śmiertelny cios. Kto go zada?

Lupin powiedział cicho:

— Tej nocy o trzeciej rano, jeśli nie pošlę przeciwnego rozkazu, dwaj moi przyjaciele mają wtargnąć do pokoju twego ojca, zabrać go łagodnie lub przemocą i dowieźć do Ganimarda i Herlocka Sholmesa.

Odpowiedział mu wybuch przenikliwego śmiechu.

— Więc nie pojmujesz tego, zbójcu, że się zabezpieczyłem? — zawołał Beautrelet. — Więc wyobrażasz sobie, że jestem na tyle naiwny, żeby głupio, idiotycznie odesłać ojca do jego samotnego domku na wsi?

Ach, ten pyszny, drwiący śmiech, który ożywił twarz młodego człowieka. Śmiech nowy na jego wargach, śmiech, w którym czuć było wpływ samego Lupina... I to nagle tykanie, które od razu stawiało go na poziomie przeciwnika!...

Zaczął mówić.

— Widzisz Lupin, twoim wielkim błędem jest, że uważasz swoje kombinacje za niezawodne. Oświadczasz, że jesteś zwyciężony? Jakaż bлага! Jesteś przekonany, że w końcowym rozrachunku i w ogóle zawsze wygrasz... i zapominasz, że inni mogą także mieć swoje małe kombinacje. Moja jest bardzo prosta, mój drogi przyjacielu...

Słuchanie go było prawdziwą rozkoszą: chodził tam i z powrotem z rękami w kieszeniach, z tupetem i swobodą łobuza, który droczy dzikiego zwierza w klatce. Naprawdę w tej chwili mścił w najstraszniejszy sposób wszystkie ofiary wielkiego awanturnika.

Mówił dalej:

— Lupin, mojego ojca nie ma w Sabaudii. Znajduje się na drugim końcu Francji, w centrum wielkiego miasta, strzeżony przez dwudziestu naszych przyjaciół, którzy mają rozkaz nie spuszczać go z oczu przed ukończeniem naszej walki. Chcesz szczegółów? Jest w Cherbourg, w domu jednego z pracowników arsenału, arsenału, który, nie zapominaj o tym, jest zamknięty w nocy i dokąd nie można za dnia dostać się inaczej, jak tylko z upoważnieniem i w towarzystwie przewodnika.

Staął naprzeciw Lupina i drwił z niego jak dziecko, które pokazuje język koledze.

— Cóż ty na to, mistrzu?

Lupin od kilku minut stał nieruchomo. Ani jeden mięsień nie drgnął na jego twarzy. O czym myślał? Do czego zamierzał się uciec? Kto znał jego dziką gwałtowność i pychę, widział jedno możliwe rozwiązanie: zupełne i ostateczne pognębienie wroga. Jego palce zacisnęły się. Po raz drugi miałem wrażenie, że rzuci się na niego i udusi go.

— Cóż ty na to, mistrzu? — powtórzył Beautrelet.

Lupin wziął leżący na stole telegram, wyciągnął go przed siebie i powiedział całkiem spokojnie:

— Masz, mały, przeczytaj to.

Beautrelet pod wrażeniem łagodności tego gestu nagle spoważniał. Rozwinął papier i zaraz, podniósłszy oczy, szepnął:

— Co to znaczy?... Nie rozumiem.

— W każdym razie rozumiesz pierwsze słowo — rzekł Lupin. — Pierwszy wyraz depeszy... oznacza miejsce, z którego ją wysłano... Patrz... „Cherbourg”.

— Tak... tak... — jąkał się Beautrelet. — Tak... rozumiem... „Cherbourg”... a potem?

— A potem?... Zdaje mi się, że dalszy ciąg jest nie mniej jasny: „Zabranie pakunku zakończone... towarzysze odjechali z nim i będą czekali na instrukcje do ósmej rano. Wszystko w porządku”. Więc cóż ci się tu zdaje niejasne? Wyraz „pakunek”? Ba! Trudno było pisać „pan Beautrelet ojciec”. Więc cóż? Sposób w jaki dokonano tej operacji? Cud,

dzięki któremu twój ojciec został porwany z arsenału mimo swych dwudziestu gwardzistów? Ba, to było dziecinnie proste. I koniec końców pakunek został wysłany. Co ty na to, mały?

Izydor z całą wyteżoną siłą, z całym rozpaczliwym wysiłkiem starał się zachować dobrą minę. Ale widać było, jak drżą mu usta, ściskają się szczęki, oczy daremnie usiłują skupić się na jednym punkcie. Wyjąkał kilka słów, zamilkł, a potem nagle skulił się i z twarzą ukrytą w dłoniach wybuchnął płaczem:

— Och, tato!... Tato!...

To niespodziewane rozwiązanie, załamanie, którego domagała się miłość własna Lupina, miało w sobie też coś innego, coś nieskończenie wzruszającego i nieskończenie szczerzego.

Lupin uczynił ruch zniecierpliwienia i wziął kapelusz, jakby zmęczony tym wybuchem czułości. Lecz u progu zatrzymał się i zawahał, a potem wrócił powoli krok za krokiem.

Cichy odgłos łkań narastał jak smutna skarga małego dziecka przygniecione go zmartwieniem. Ramiona poruszały się rozdzierającym serce rytmem. Pomiędzy splecionymi palcami pojawiły się lzy. Lupin nachylił się i nie dotykając Beautreleta, odezwał się do niego głosem, w którym nie było najmniejszego śladu szyderstwa, ani nawet tej dotkliwej litości zwycięzców:

— Nie płacz, mały. To są ciosy, na które trzeba być przygotowanym, kiedy się rzucamy w wir walki na oślep, jak to zrobiłeś... Czekają cię najgorsze nieszczęścia... Taki los, nas, zapaśników. Trzeba go dzielnie znosić.

Potem łagodnie mówił dalej:

— Widzisz, miałeś rację, nie jesteśmy nieprzyjaciółmi. Wiem o tym od dawna... Od pierwszej chwili czułem dla ciebie, dla istoty inteligentnej, którą jesteś, mimowolną sympatię... nawet podziw... I dlatego chciałbym ci to powiedzieć... Przede wszystkim nie zamartwiaj się... Smutno by mi było, gdybyś się martwił... Muszę ci to powiedzieć... Wiesz co? Lepiej przestań walczyć ze mną... Nie mówię ci tego z próżności... Nie mówię tym bardziej z pogardy... Ale widzisz... ta walka jest zbyt nierówna... Ty nie znasz... nikt nie zna wszystkich sił, którymi rozporządzam... Uważasz, ta tajemnica Wydrążonej Iglicy, którą tak bezskutecznie starasz się odszyfrować, przypuść na chwilę, że to jest skarb ogromny, niewyczerpany... albo kryjówka niewidzialna, cudowna, fantastyczna, albo też jedno i drugie naraz... Pomyśl o nadludzkiej potędze, którą z nich mogę czerpać! A nie wiesz też, jakie siły są we mnie... Nie wiesz, co moja wola i wyobraźnia pozwalają mi podejmować i wykonywać. Pomyśl, że moje życie, mógłbym powiedzieć, od urodzenia jest skierowane ku jednemu celowi, że pracowałem jak galernik, zanim zostałem tym, czym jestem, żeby zrealizować w całej jego doskonałości typ, który chciałem stworzyć... który zdołałem stworzyć... Więc cóż zrobisz? W tej samej chwili, w której będziesz sądził, żeś zwyciężył, zwycięstwo wymknie ci się... Znajdzie się coś, o czym nie pomyślisz... głupstwo, ziarenko piasku, które umieszczę w odpowiednim miejscu bez twojej wiedzy... Proszę cię, przestań... Będę zmuszony zrobić ci coś złego i to mnie smuci...

I kładąc rękę na jego czole, powtórzył:

— Jeszcze raz, mały, przestań. Zrobię ci coś złego. Któż wie, czy pułapka, w którą nieuchronnie wpadniesz, nie jest już rozwarta pod twymi stopami?

Beautrelet wyprostował się. Już nie płakał. Czy słyszał słowa Lupina? Zdaje się, że nie, bo wyglądał na bardzo roztargnionego.

Przez dwie czy trzy minuty milczał. Zdawał się rozmyślać nad decyzją, którą miał powziąć, badać wszystkie za i przeciw, wyliczać szanse przychylne i szanse nieprzychylne.

W końcu powiedział do Lupina:

— Jeśli zmienię treść swojego artykułu, jeśli potwierdzę wersję o pańskiej śmierci i jeśli się zobowiązę, że nigdy nie zaprzeczę fałszywej wersji, którą teraz podam jako prawdziwą, czy przysięga mi pan, że mój ojciec będzie wolny?

— Przysięgam ci to. Moi przyjaciele udali się w samochodzie wraz z twoim ojcem do innego miasta prowincjonalnego. Jutro rano o siódmej, jeśli artykuł w „Grand Journal” będzie taki, jakiego od ciebie żądam, zatelefonuję do nich i wypuszczą twojego ojca na wolność!

— Zgoda — rzekł Beautrelet — poddaję się pańskim warunkom.

Nagle, jakby zauważył, że po pogodzeniu się z porażką jego obecność jest tu zbyteczna, wstał, wziął swój kapelusz, pożegnał mnie, pożegnał Lupina i wyszedł.

Lupin patrzył na odchodzącego, wysłuchiwał hałasu zamykających się drzwi i szepnął: — Biedaczek...

Następnego dnia o ósmej rano posłałem służącego po „Grand Journal”. Przyniósł mi gazetę dopiero po dwudziestu minutach, gdyż w większości kiosków zabrakło już egzemplarzy.

Gorączkowo rozłożyłem gazetę. Na czele widniał artykuł Beautreleta. Podaję go tu tak, jak go powtórzyły wszystkie dzienniki świata:

„DRAMAT W AMBRUMÉSY

Celem tych niewielu wierszy nie jest drobiazgowo wytłumaczenie pracy refleksyjnej i poszukiwań, dzięki którym udało mi się zrekonstruować dramat, a raczej dwa dramaty w Ambrumésy. Moim zdaniem ten rodzaj pracy i komentarze, które się z nim wiążą, dedukcje, indukcje, analizy itd., wszystko to jest niezbyt interesujące, a w każdym razie mocno banalne. Nie, zadowolę się wyłożeniem dwu wiodących idei, którymi się kierowałam, a kiedy to zrobię, okaże się, że wykładając je i rozwiązując oba problemy, które podnoszą, opowiem całą tę sprawę całkiem po prostu, jak ona miała miejsce, z zachowaniem nawet porządku faktów, które się na nią złożyły.

Może ktoś zauważy, że niektóre z tych faktów nie są udowodnione i że sporą część zostawiam hipotezie. To prawda. Lecz sądzę, że moja hipoteza jest ugruntowana na dosyć znacznej liczbie pewników, wystarczających, żeby następstwo faktów, nawet nieudowodnionych, narzuciło się stanowczo. Źródło gubi się często pod łożyskiem kamiennym, a mimo to jest to to samo źródło, które się widzi w przerwach odzwierciedlających błękit nieba...

Podaję najpierw pierwszą zagadkę — zagadkę dotyczącą nie szczegółu, lecz ogółu — która mnie zastanowiła: jak się to stało, że Lupin, śmiertelnie ranny, można rzec, żyje co najmniej czternaście dni, bez opieki, bez lekarstw, bez żywności, na dnie ciemnej jamy?

Zacznijmy od początku. W czwartek 16 kwietnia Arsène Lupin, przyłapany podczas jednego ze swych najśmielszych włamań, ucieka pomiędzy ruinami i pada zraniony kulą. Wlecze się z trudem, upada i dźwiga się z rozpaczliwą nadzieją dojścia do kaplicy. Tam znajduje się krypta, którą mu wskazał przypadek. Jeśli zdoła tam wśliznąć się, może ocalić. Zebrawszy wszystkie siły, zbliża się do niej, jest już o kilka metrów od niej, gdy wtem słyszy odgłos kroków. Wyczerpany, poddaje się. Nieprzyjaciel nadchodzi. To panna Rajmunda de Saint-Véran.

Taki jest prolog, a raczej pierwsza scena dramatu.

Co zaszło pomiędzy nimi? Można to tym łatwiej odgadnąć wobec tego, że dalszy ciąg przygody podaje nam wszelkie wskazówki. U stóp młodej dziewczyny leży zraniony człowiek, którego dręczy ból i który za dwie minuty zostanie schwytyany. *Tego człowieka ona zraniła*. Czy go także wyda?

Jeśli to jest zabójca Jana Davał, tak, pozwoli przeznaczeniu dopełnić się. Lecz on w szybkich zdaniach podaje jej prawdę o usprawiedliwionym zabójstwie, dokonanym przez jej wuję, pana de Gesvres.

Ona mu wierzy. Co zrobi?

Nikt ich nie widzi. Służący Wiktor czuwa nad furtką. Drugi, Albert, zostawiony przy oknie salonu, stracił z oczu oboje. *Czy wyda człowieka, którego zraniła?*

Nieprzeparte uczucie litości, które zrozumieją wszystkie kobiety, porywa młodą dziewczynę. Idąc za wskazówkami Lupina, kilkoma ruchami zawiązuje ranę chusteczką, żeby uniknąć śladów, które zostawiłaby krew. Potem kluczem, który on jej daje, otwiera bramę kaplicy. On wchodzi, podtrzymywany przez dziewczynę. Ona zamyka, oddała się. Nadchodzi Albert.

Gdyby przeszukano kaplicę w tej chwili, a przynajmniej w ciągu następnych minut, Lupin, który nie miał jeszcze czasu na odzyskanie sił do podniesienia płyty i zejścia po schodach do krypty, zostałby schwytyany. Ale kaplicę przeszukano dopiero po sześciu godzinach, i to zupełnie powierzchownie. Lupin ocalony, i to ocalony przez kogo? Przez tę, która go omal nie zabiła.

Odtąd panna de Saint-Véran, chcąc nie chcąc, jest jego współniczką. Nie tylko nie może go już wydać, lecz musi kontynuować swoje dzieło, bo bez tego ranny zginie w kryjówce, do której go zaprowadziła. I kontynuuje je.

Jej kobiecy instynkt nie tylko zobowiązuje ją do tego dzieła, lecz także ułatwia jej zadanie. Jest pełna finezji, wszystko przewiduje. To ona podaje sędziemu śledczemu fałszywy opis Arsène'a Lupin (proszę sobie przypomnieć sprzeczne pod tym względem zeznania obu kuzynek). To oczywiście ona po pewnych wskazówkach, których nie znam, odgaduje współnika Lupina pod przebraniem woźnicy. To ona go uprzedza. Ona przedstawia mu konieczność operacji. Ona bez wątpienia podstawia czapkę. Ona każe pisać ten sławny liścik, w którym jej osobiście grożono — jakże potem można by było ją podejrzać?

To ona w chwili, w której mam wyjawić sędziemu śledczemu swe pierwsze wrażenia, twierdzi, że widziała mnie poprzedniego dnia na drodze, czym wprowadza w zaniepokojenie pana Filleul co do mojej osoby, a mnie zmusza do milczenia. Manewr niebezpieczny, prawda, bo budzi moją uwagę i zwraca ją na nią, na tę, która mnie obarcza oskarżeniem, wedle mojej wiedzy fałszywym, ale manewr skuteczny, bo chodzi głównie o zyskanie na czasie i zamknięcie mi ust.

To ona przez czternaście dni karmi Lupina, przynosi mu lekarstwa (proszę zapytać aptekarza z Ouville, pokaże recepty, które wykonywał dla panny de Saint-Véran), ona wreszcie pielęgnuje chorego, zmienia mu bandażę, czuwa nad nim i *doprowadza go do zdrowia*.

I oto pierwszy z naszych dwu problemów rozwiązany, a równocześnie dramat z Ambrumésy wyjaśniony. Arsène Lupin znalazł pod ręką, w samym zamku, pomoc, która była dla niego niezbędna, najpierw, żeby się ukryć, a potem, żeby przeżyć.

Otóż żyje. I teraz właśnie nasuwa się drugi problem, którego badanie posłużyło mi za nic przewodnią, odpowiadający drugiemu dramatowi z Ambrumésy. Czemu Lupin, żywy, wolny znowu stojący na czele swej bandy, wszechpotężny jak niegdyś, czemu ten Lupin czyni rozpaczliwe wysiłki, wysiłki, na które ustawicznie się natykam, żeby narzucić organom sprawiedliwości i publiczności myśl o swej śmierci.

Trzeba sobie przypomnieć, że panna de Saint-Véran była bardzo piękna. Fotografie, które reprodukowały dzienniki po jej zniknięciu, dawały tylko słabe wyobrażenie o jej piękności. Staje się więc to, co się nie mogło nie wydarzyć. Lupin, który przez czternaście dni widuje tę piękną dziewczynę, który pragnie jej obecności, kiedy jej nie ma, który podczas jej obecności ulega jej urokowi i wdziękowi, który wdycha świeżą woń tchnienia pochylonej nad sobą, zakochuje się w swej opiekunce. Wdzięczność staje się miłością, podziw namiętnością. Ona jest jego zdrowiem, ale zarazem i radością jego oczu, marzeniem jego samotnych godzin, jego światłem, jego nadzieją, po prostu jego życiem.

On szanuje ją do tego stopnia, że nie wykorzystuje poświęcenia dziewczyny i nie używa jej do kierowania swymi współnikami. Rzeczywiście w działaniach jego bandy widać niepewność. Lecz on ją także kocha, jego skrupuły ustępują, a wobec tego, że panna de Saint-Véran nie dopuszcza do siebie miłości, która by ją obrażała, wobec tego, że jako mniej niezbędna coraz rzadziej przychodzi, ostatecznie zaprzestaje swych odwiedzin, w dniu, w którym wyzdrowiał... zrozpaczony, oszalały z żalu, podejmuje straszne postanowienie. Wychodzi z kryjówki, przygotowuje zamach i w sobotę, 6 czerwca, przy pomocy swych współników uprowadza młodą dziewczynę.

To nie koniec. Nikt nie może wiedzieć o tym porwaniu. Trzeba przeciąć wszelkie poszukiwania, przypuszczenia, nawet nadzieje; panna de Saint-Véran będzie uchodziła za zmarłą. Symuluje się mord, poddaje się śledztwu dowody. Zbrodnia jest pewna. Zbrodnia zresztą przewidziana, zbrodnia zapowiedziana przez współników, dokonana jako zemsta za śmierć przywódcy i tym samym, proszę zauważyć, cudowny spryt takiej koncepcji tym samym budzi wiarę w tę śmierć.

Nie wystarczy wzbudzić wiarę, trzeba narzucić pewność. Lupin przewiduje moją interwencję. Odgadnę okradzenie kaplicy, odkryję kryptę. A jeśli krypta będzie pusta, całe rusztowanie zawali się.

Krypta nie będzie pusta!

Tak samo śmierć panny de Saint-Véran nie będzie definitywna, jeśli morze nie wyrzuci jej ciała.

Morze wyrzuci ciało panny de Saint-Véran!

Trudność jest ogromna. Podwójna przeszkoda nie do przebycia.

Tak, dla każdego innego, ale nie dla Lupina...

Otóż, tak jak przewidział, odgaduję okradzenie kaplicy, odkrywam kryptę i schodzę do jamy, w której skrył się Lupin. Jest tam jego ciało!

Każdy, kto przyjmował śmierć Lupina za możliwą, byłby się dał zwiesić. Lecz ja nawet przez sekundę nie przyjmowałem tej ewentualności (zrazu przez intuicję, potem drogą rozumowania). Wybieg stał się zatem bezużyteczny, a wszelkie kombinacje daremne. Powiadam sobie od razu, że strącony kilofem blok kamienny został tam umieszczony ze szczególną precyzją, tak że najłżejsze potrącenie musiało go zwalić, a padając, musiał nieuchronnie zmiążyć głowę rzekomego Arsène'a Lupin i sprawić, że stała się nierozpoznawalna.

Drugie odkrycie. W pół godziny później dowiaduję się, że odnaleziono ciało panny de Saint-Véran na skałach w Dieppe... a raczej ciało, które uchodziło za ciało panny de Saint-Véran z tej przyczyny, że na ramieniu znajdowała się bransoletka podobna do jednej z bransoletek młodej dziewczyny. Jest to zresztą jedyna oznaka tożsamości, gdyż ciała nie da się rozpoznać.

Wówczas przypominam sobie pewną rzecz i rozumiem. Kilka dni wcześniej czytałem w numerze „Vigie de Dieppe”, że pewne młode małżeństwo amerykańskie zamieszkałe w Envermeu otruło się dobrowolnie i że tej samej nocy zniknęły ich ciała. Pędzę do Envermeu. Powiadają mi, że historia jest prawdziwa z wyjątkiem owego zniknięcia, gdyż to sami bracia obu ofiar upomnieli się o ciała i zabrali je ze sobą po zwykłych ustaleniach.

Ci bracia nazywali się bez najmniejszej wątpliwości Arsène Lupin i towarzysze.

Zatem dowód przeprowadzony. Znamy powód, dla którego Lupin upozorował zamordowanie dziewczyny i uwiarygodnił pogłoską o swej własnej śmierci. Kocha i nie chce, żeby o tym wiadano. A żeby o tym nie wiadano, nie cofa się przed niczym do tego stopnia, że podejmuje się nieprawdopodobnej kradzieży dwóch ciał, które są mu potrzebne do odegrania roli jego i panny de Saint-Véran. Tak zdobywa spokój. Nikt nie może go niepokoić. Nikt nie będzie podejrzewał prawdy, którą chce zdławić.

Nikt? Tak... Trzej przeciwnicy w ostateczności mogliby nabrać pewnych wątpliwości. Ganimard, który ma przybyć lada godzina, Herlock Sholmes, który ma przyjechać przez kanał La Manche, i ja, który jestem na miejscu. Zachodzi potrójne niebezpieczeństwo.

Usuwa je. Porywa Ganimarda. Porywa Herlocka Sholmesa, a mnie częstuje nożem Brédoux.

Jeden punkt pozostaje niejasny. Czemu Lupin dołożył tylu usilnych starań, żeby zrabować mi dokument Wydrążonej Iglicy? Przecież nie sądził, że zrabowawszy go, zatrze w mojej pamięci tekst pięciu linijek, z których się składa? Więc czemu? Czy bał się, że sama natura papieru lub jakakolwiek inna poszlaka udzieli mi jakiejś wskazówki?

Jakkolwiek rzecz się ma, taka jest prawda o wypadkach w Ambrumésy. Powtarzam, że w wyjaśnieniu, które przedkładam, pewną rolę odgrywa hipoteza, tak samo jak odgrywała wielką rolę w moim osobistym badaniu. Ale gdyby czekać na dowody i fakty do pokonania Lupina, albo czekałoby się na nie w nieskończoność, albo odnalazło takie, które przygotowane przez Lupina, doprowadziłyby do wręcz przeciwnych prawdziwych wniosków.

Wierzę, że kiedy będą znane wszystkie fakty, potwierdzą moją hipotezę we wszystkich punktach”.

Tak więc Izidor Beautrelet, na chwilę opanowany przez Arsène'a Lupin, wyprowadzony z równowagi porwaniem swego ojca i pogodzony z klęską, nie mógł ostatecznie zgodzić się na milczenie. Prawda była zbyt piękna i zbyt osobliwa, dowody, którymi mógł ją poprzeć, zbyt logiczne i przekonujące, żeby zgodził się ją ukryć. Cały świat czekał na jego rewelacje. Przemówił.

Tego samego dnia, w którym ukazał się jego artykuł, wieczorem dzienniki oznajmiły o porwaniu ojca Beautreleta. Izydora powiadomiono o tym depeszą z Cherbourga, którą otrzymał o trzeciej.

ROZDZIAŁ V. NA TROPIE

Gwałtowność ciosu oszołomiła młodego Beautreleta. W gruncie rzeczy, chociaż ogłaszając swój artykuł, usłuchał jednego z tych nieprzemyślanych popędów, które każą lekceważyć wszelkie rady roztropności, w gruncie rzeczy, powtarzam, nie wierzył w możliwość porwania. Zbyt przezornie wszystko urządził. Przyjaciele z Cherbourga mieli nie tylko strzec ojca Beautreleta, lecz mieli także czuwać nad jego wszelkimi ruchami, nie pozwalać mu wychodzić samemu, a nawet nie oddawać mu żadnego listu bez uprzedniego rozpieczętowania. Nie, nie było żadnego niebezpieczeństwa. Lupin blefował. Pragnąc zyskać na czasie, usiłował zastraszyć swego przeciwnika.

Cios był zatem prawie nieprzewidywany i przez całą resztę dnia Izidor, niezdolny do działania, odczuwał jego dotkliwość. Podtrzymywała go jedna, jedyna myśl: pojechać tam, zobaczyć samemu, co się stało, i podjąć ofensywę.

Posyłał telegram do Cherbourga. O ósmej przybył na dworzec Saint-Lazare. Kilka minut później jechał ekspresem.

Dopiero w godzinę później, rozkładając kupioną na dworcu wieczorną gazetę, zauważył sławetny list, w którym Lupin pośrednio odpowiadał na jego poranny artykuł.

Szanowny Panie Redaktorze Naczelnny!

Nie mogę udawać, że moja skromna osoba, która z pewnością w bardziej bohaterskich czasach przeszłaby zupełnie niezauważona, zyskała pewne znaczenie w naszej epoce tandety i przeciętności. Lecz istnieje granica, której chorobliwa ciekawość tłumu nie powinna przekraczać pod grozą hańbiącej niedyskrecji. Jeśli się już więcej nie szanuje muru życia prywatnego, gdzież mają schronić się obywatele?

Powoła się ktoś na inny interes prawdy? Marny pretekst, jeśli chodzi o mnie, albowiem prawda co do mnie jest znana i wcale nie wzbraniam się otwarcie przyznać się do niej. Tak, panna de Saint-Véran żyje. Tak, kocham ją. Tak, smuci mnie brak wzajemności. Tak, śledztwo małego Beautreleta jest godne podziwu z powodu precyzji i trafności. Tak, zgadzamy się we wszystkich punktach. Nie ma już zagadki. Nie ma już tajemnicy. No dobrze! Więc?...

Zraniony do głębi duszy, cały jeszcze krwawiący od najokrutniejszych ran moralnych, proszę, żeby więcej nie wystawiano na złośliwość ludzką mych najosobistszych uczuć i mych najtajniejszych nadziei. Proszę o spokój, o spokój, który mi jest niezbędny do pozyskania serca panny de Saint-Véran i zatarcia w jej pamięci tysiąca małych przykrości i upokorzeń, które ją spotykały ze strony jej wujka i kuzynki — ale o tym nie mówmy — zatarcia w jej pamięci pozycji ubogiej krewnej. Panna de Saint-Véran zapomni o tej przykrych przeszłości. Wszystko, czego by mogła zapragnąć, choćby to był najpiękniejszy klejnot świata albo najnieodostępniejszy skarb, złożę u jej stóp. Będzie szczęśliwa i pokocha mnie.

Lecz, żeby mi się to powiodło, raz jeszcze powtarzam, trzeba mi spokoju. Dlatego to składam broń i dlatego przynoszę swym wrogom gałązkę oliwną — uprzedzając ich jak najuprzejmiej, że odmowa z ich strony może pociągnąć za sobą jak najprzykrzejsze dla nich skutki.

Jeszcze słówko w sprawie imię pana Harlingtona. Pod tym nazwiskiem ukrywa się świetny chłopak, sekretarz amerykańskiego miliardera Cooley'a, upoważniony przez niego do zdobywania w Europie wszelkich dzieł sztuki, jakie tylko można znaleźć. Pech chciał, że natknął się na mego przyjaciela Stefana de Vaudreix, *alias* Arsène'a Lupin, *alias* mnie. W ten sposób dowiedział się, co zresztą było fałszem, że niejaki pan de Gesvres chce pozbyć się czterech Rubensów, pod warunkiem, że zostaną zastąpione kopiami i że nikt nie dowie się o sprzedaży, na którą on się zgadza. Mój przyjaciel Vaudreix twierdził również, że zdoła nakłonić pana de Gesvres do sprzedania kaplicy. Układy toczyły się dalej z najlepszą wiarą ze strony mego przyjaciela Vaudreix, z czarującą naiwnością ze strony imię pana Harlingtona aż do

dnia, w którym cztery Rubensy i rzeźby z kaplicy znalazły się w bezpiecznym miejscu... a pan Harlington we więzieniu. Nie pozostaje więc nic innego, jak wypuścić niefortunnego Amerykanina, gdyż zadowolili się skromną rolą naiwnego, napiętnować miliardera Cooley'a, ponieważ z obawy przed możliwymi nieprzyjemnościami nie protestuje przeciw aresztowaniu swego sekretarza, i powinszować memu przyjacielowi Stefanowi Vaudreix, *alias* mnie, ponieważ mści moralność publiczną, zachowując sto tysięcy franków, które otrzymał jako zadatek od mało sympatycznego Cooley'a.

Proszę mi wybaczyć długość tego listu, drogi Panie Redaktorze, i przyjąć wyrazy najgłębszego szacunku.

Arsène Lupin

Izydor zapewne rozważał słowa tego listu z tą samą skrupulatnością, z jaką badał dokument Wydrążonej Iglicy. Wyszedł ze słusznego założenia, że Lupin nigdy nie wysłał ani jednego ze swych dowcipnych listów do dzienników bez absolutnej konieczności, bez jakiegoś powodu, którego by wydarzenia nie ujawniły pewnego pięknego dnia.

Jaki był powód tego listu? Dla jakiej tajemnej przyczyny wyznawał swą miłość i niepowodzenie w tej miłości? Czy to tu należało szukać, czy też w wyjaśnieniach dotyczących imię pana Harlingtona, czy jeszcze dalej, między wierszami, poza wszystkimi słowami, których widoczne znaczenie miało może tylko ten cel, żeby narzucić drobną, złośliwą, przebiegłą, zbijającą z tropu myśl?

Młody człowiek długie godziny siedział zamyślony w swym przedziale, pełen niepokojem. List rozbudził w nim nieufność, jak gdyby był napisany dla niego, po to, żeby jego osobiście wprowadzić w błąd. Po raz pierwszy znalazłszy się nie w obliczu bezpośredniego ataku, lecz niejednoznacznego, niekreślonego sposobu prowadzenia walki, doznał wyraźnego uczucia strachu. Myśląc o swym pocziwym ojcu, porwanym z jego winy, zadawał sobie z niepokojem pytanie, czy nie byłoby szaleństwem prowadzić dalej tak nierówną walkę. Czyż wynik nie był pewny? Zresztą, czyż Lupin już nie wygrał?

Krótką chwilą słabości! Kiedy wysiadł ze swego przedziału o szóstej rano, wzmocniony kilkugodzinnym snem, odzyskał całą swą wiarę.

Na dworcu urzędnik portu wojennego, Froberval, który gościł ojca Beautreleta, oczekiwał go w towarzystwie swej córki Karoliny, dwunasto- czy trzynastoletniej dziewczynki.

— I cóż? — zawołał Beautrelet.

Pocziwiec zaczął wzdychać, lecz Izydor przerwał mu, zaciągnął do pobliskiej kawiarni, kazał podać kawę i zaczął spokojnie wypytywać, nie pozwalając swemu rozmówcy na najmniejsze dygresje:

— Mojego ojca nie porwano, prawda? To było niemożliwe.

— Niemożliwe. A jednak zniknął.

— Od kiedy?

— Nie wiemy.

— Jak to?!

— Nie wiemy. Wczoraj rano o szóstej, nie widząc, żeby schodził, jak zazwyczaj, otworzyłem jego drzwi. Już go nie było.

— Ale przedwczoraj wieczorem był jeszcze?

— Tak. Przedwczoraj nie wychodził wcale ze swego pokoju. Był trochę zmęczony i Lola zaniósła mu w południe śniadanie, a obiad o siódmej wieczór.

— Więc zniknął między siódmą wieczorem przedwczoraj a szóstą rano wczoraj?

— Tak, poprzedniej nocy. Tylko...

— Tylko?

— No, widzi pan... W nocy nie można wyjść z arsenału.

— Zatem nie wyszedł?

— To niemożliwe. Ja i koledzy przetrząsnęliśmy cały port wojenny.

— A więc wyszedł.

— To niemożliwe. Wszędzie stoją strażę.

Beautrelet zamyślił się, następnie rzekł:

— A potem?
 — Potem pobiegłem do komendy i zawiadomiłem komisarza.
 — Przyszedł do pana?
 — Tak i jakiś pan z prokuratury także. Cały ranek szukano, a kiedy zobaczyłem, że wszystko na nic i nie ma już żadnej nadziei, zatelegrafowałem do pana.
 — Czy łóżko w jego pokoju było rozrzucone?
 — Nie.
 — A pokój był w porządku?
 — Tak. Znalazłem jego fajkę na zwykłym miejscu, także tytoń i książkę, którą czytał. W środku książki była nawet ta pańska mała fotografia, którą założono stronicę.
 — Proszę mi ją pokazać.
 Froberval podał mu fotografię. Beautrelet zdumiał się. Na fotografii rozpoznał siebie, stojącego z rękami w kieszeniach, na trawniku między drzewami a ruinami.
 Froberval dodał:
 — Musi to być ostatnia pańska fotografia, którą mu pan posłał. Widzi pan, z tyłu jest data: trzeciego kwietnia, nazwisko fotografa: R. de Val, i nazwa miasta: Lion... może Lion-sur-Mer...

Izydor odwrócił fotografię i odczytał krótką notatkę, napisaną jego własnym pismem:

R. de Val. — 3.4. — Lion.

Przez kilka minut milczał, a potem zapytał:

— Czy mój ojciec nie pokazywał panu tej fotografii?
 — Dalibóg, nie... Zdziwiłem się, kiedy ją wczoraj zobaczyłem... bo pański ojciec tak często mówił nam o panu!

Zapadło nowe, długie milczenie. Froberval przerwał je.

— Mam pracę w biurze... Czy nie moglibyśmy wrócić?... — Zamilkł.

Izydor nie spuszczał oczu z fotografii i badał ją na wszystkie strony. Wreszcie zapytał:

— Czy niedaleko za miastem jest karczma Lion d'Or?

— Tak, ależ tak, jest.

— Czy po drodze do Valognes?¹⁷

— Rzeczywiście, po drodze do Valognes.

— Otóż mam wszelkie powody, by przypuszczać, że ta karczma była główną kwaterą przyjaciół Lupina. Stamtąd nawiązali kontakt z moim ojcem.

— Co za pomysł! Pański ojciec z nikim nie rozmawiał. Nikogo nie widywał.

— Nie widywał nikogo, lecz użyto pośrednika.

— Jaki pan ma na to dowód?

— Tę fotografię.

— Ależ to pańska?

— Tak, moja, ale nie przeze mnie posłana. Ja sam nawet jej nie znałem. Została zrobiona bez mojej wiedzy w ruinach Ambrumésy. Zdjęcie wykonał bez wątpienia pisarz sędziego śledczego, który był, jak panu wiadomo, współnikiem Lupina.

— Więc?

— Więc ta fotografia była paszportem, talizmanem, dzięki któremu pozyskano zaufanie mego ojca.

— Ale kto? Kto mógł się dostać do mojego domu?

— Nie wiem, lecz mój ojciec wpadł w pułapkę. Powiedziano mu i uwierzył, że jestem w okolicy, że chcę się z nim widzieć i że wyznaczyłem mu spotkanie w karczmie Lion d'Or.

— Ależ to wszystko jest szaleństwo! Jak pan może utrzymywać?...

— Całkiem po prostu. Podrobiono moje pismo na odwrotnej stronie fotografii i wyznaczono spotkanie. „R. de Val”, droga do Valognes, trzy kilometry, czterysta metrów, karczma Lion. Mój ojciec przybył, złapano go, to wszystko.

— Zgoda — mruknął przygnębiony Froberval. — Zgoda... Przypuszczam, że tak było, lecz wszystko to nie wyjaśnia, jak mógł wyjść w nocy.

— Wyszedł na spotkanie w biały dzień, nie czekając nocy.

¹⁷po drodze do Valognes? — po francusku: *route de Valognes*, stąd skrót: *R. de Val*. [przypis tłumacza]

— Ależ do kroćset, przedwczoraj nie opuszczał swego pokoju przez cały dzień.
— Jest sposób, żeby się o tym przekonać. Niech pan pobiegnie do portu i znajdzie jednego z tych ludzi, którzy przedwczoraj po południu pełnili staż... Tylko niech się pan spieszy, jeśli pan chce mnie jeszcze tutaj zastać.

— Więc pan wyjeżdża?

— Tak, następnym pociągiem.

— Jak to! Ależ pan nie wie... Pańskie poszukiwania...

— Już skończone. Wiem już prawie wszystko, co chciałem wiedzieć. Za godzinę wyjeżdżam z Cherbourga.

Froberval wstał. Popatrzył na Beautreleta z wyrazem oszołomienia, zawahał się chwilę, a potem wziął czapkę.

— Idziesz, Lolu?

— Nie — rzekł Beautrelet — będę jeszcze potrzebował kilku wyjaśnień. Niech pan ją zostawi ze mną, porozmawiamy. Znałem ją, kiedy była mała.

Froberval odszedł. Beautrelet i dziewczynka zostali sami w sali kawiarni. Mijały minuty, wszedł kelner, przyniósł filiżanki i zniknął. Oczy młodego człowieka i dziecka spotkały się, Beautrelet bardzo delikatnie położył dłoń na dłoni dziewczynki. Patrzyła na niego dwie czy trzy sekundy przerażona, jakby bez tchu. Potem, schowawszy nagle twarz w ramionach, wybuchnęła płaczem.

Dał jej się wyplakać, a po chwili powiedział:

— To ty wszystko zrobiłaś, prawda, to ty pośredniczyłaś? To ty zaniosałaś fotografię? Przyznajesz się, tak? Kiedy mówiłaś, że mój ojciec był przedwczoraj w swoim pokoju, wiedziałaś dobrze, że to nieprawda, bo pomogłaś mu wyjść, czy tak?...

Nic nie odpowiedziała. Mówił dalej:

— Czemu to zrobiłaś? Pewnie dali ci pieniądze... na wstążki... na sukienkę...

Rozprostował ramiona Loli i podniósł jej głowę. Zobaczył biedną, splakaną twarzyczkę, wdzięczną, niepokojącą i ruchliwą twarzyczkę dziewczątek skazanych na wszelkie pokusy i upadki.

— No — rzekł Beautrelet — to już skończone, nie mówmy o tym... Nie pytam cię o to, jak to się stało... Powiesz mi tylko wszystko, co może mi się przydać... Czy coś zauważyłaś, dosłyszałaś choć jedno słowo tych ludzi? Jak go zabrali?

— Automobilem... Słyszałam, jak o tym mówili.

— A jaką drogą?

— Ach, tego nie wiem.

— Nie mówili przy tobie niczego, co mogłoby nam pomóc?

— Niczego... Ale jeden z nich powiedział: „Nie ma czasu do stracenia... jutro rano o ósmej przywódca tam do nas zatelefonuje...”

— Gdzie: tam?

— Nie wiem... nie potrafię sobie...

— Próbuj... przypomnij sobie... To była nazwa miasta, tak?

— Tak, nazwa, jakby Chateau...

— Chateaubriant? ... Chateau Thierry?

— Nie, nie...

— Châteauroux?

— Tak... Châteauroux.

Beautrelet nie czekał, aż dziewczynka skończy ostatnią zgłoskę. Już wstał i nie troszcząc się o Frobervala, a nawet o małą, patrzącą na niego ze zdumieniem, otworzył drzwi i pobiegł na dworzec.

— Châteauroux, proszę pani... proszę o bilet do Châteauroux.

— Przez Le Mans i Tours? — zapytała urzędniczka.

— Naturalnie... najkrótszą drogą... Czy dotrę na śniadanie?

— O, nie...

— Na obiad? Na noc?...

— O, nie, na to trzeba by jechać przez Paryż... Ekspres do Paryża odjeżdża o ósmej... Już za późno...

Nie było za późno. Beautrelet jeszcze zdołał go dopaść.

— No — powiedział do siebie, zacierając ręce — spędziłem w Cherbourgu tylko dwie godziny, ale dobrze je wykorzystałem.

Ani przez chwilę nie przyszło mu na myśl podejrzewać Loli o kłamstwo. Słabe, niepewne, zdolne do najgorszych zdrad, te małe istotki ulegają również porywom szczerości i Beautrelet widział w jej przerażonych oczach wstyd z powodu zła, które uczyniła, i radość, że zdołała je bodaj w części naprawić. Zatem nie wątpił, że Châteauroux było tym drugim miastem, o którym napomknął Lupin i z którego jego wspólnicy mieli mu telefonować.

Przybywszy do Paryża, Beautrelet przedsięwziął wszelkie potrzebne środki ostrożności, żeby nie być szpiegowanym. Odczuwał powagę chwili. Szedł właściwą drogą, która go wiodła do ojca; jedna pomyłka mogła zniszczyć wszystko.

Zaszedł do jednego ze swych kolegów licealnych i wyszedł po godzinie zmieniony nie do poznania. Był to trzydziestoletni Anglik, w brązowym ubraniu w kratkę, w krótkich spodniach, w wełnianych pończochach i w podróżnej czapeczce, różowy na twarzy, z rudawą brodą okalającą podbródek. Jechał na rowerze, do którego przyczepiono przybory malarskie, i skierował się w stronę dworca Austerlitz.

Noc przespał w Issoudun. Następnego dnia o świcie wsiadł na rower, o siódmej zjawił się urzędzie pocztowym miasta Châteauroux i zażądał połączenia z Paryżem. Zmuszony czekać, nawiązał rozmowę z urzędnikiem i dowiedział się, że przedwczoraj w tym samym czasie jakiś człowiek w kostiumie automobilisty zażądał również połączenia z Paryżem.

Miał dowód i dużej nie czekał.

Po południu wiedział już na pewno, że jakiś automobil jadący drogą do Tours przejechał przez osadę Buzançais, potem przez Châteauroux i zatrzymał się z drugiej strony miasta, na skraju lasu. Około dziesiątej kabriolet, którym powoził jakiś osobnik, zatrzymał się obok automobilu, a potem oddalił się na południe ku dolinie Bouzanne. I wówczas obok woźnicy znajdowała się jeszcze jakaś osoba. Zaś automobil udał się w stronę wręcz przeciwną, na północ, w kierunku Issoudun.

Beautrelet bez trudu odnalazł właściciela kabrioletu. Niestety właściciel nie umiał mu nic powiedzieć. Wynajął swój wózek i konia jakiemś człowiekowi, który następnego dnia zwrócił mu cały ekwipaż¹⁸.

Wreszcie tego samego wieczoru Izidor stwierdził, że automobil przejechał tylko przez Issoudun i pojechał dalej w stronę Orleanu, to znaczy do Paryża.

Z tego wszystkiego wynikało bezwarunkowo, że ojciec Beautrelet znajduje się w okolicy. Inaczej, jakżeby można było przypuszczać, żeby ci ludzie przejechali prawie pięćset kilometrów w poprzek Francji, żeby zatelefonować z Châteauroux, a następnie pod kątem ostrym zawrócić do Paryża?

Ta szalona jazda miała bardziej określony cel: przewieźć starego Beautreleta na przeznaczone mu miejsce.

— I to miejsce znajduje się na wyciągnięcie ręki — mówił do siebie Izidor, drżąc od nadziei. — O dziesięć, o piętnaście mil stąd mój ojciec czeka, aż go uratuję. On tam jest. Oddycha tym samym powietrzem, co ja.

Natychmiast wyruszył na wieś. Wziął mapę sztabową i podzielił ją na małe kwadraty, które odwiedzał po kolei, zachodząc do gospodarstw, wyciągając na rozmowę wieśniaków, zwracając się do nauczycieli, do merów, księży, gawędząc z kobietami. Zdawało się mu, że bezzwłocznie dotrze do celu i jego marzenia rosły: spodziewał się uwolnić już nie tylko swego ojca, lecz także tych wszystkich, których więził Lupin: Rajmundę de Saint-Véran, Ganimarda, może Herlocka Sholmesa i wielu, wielu innych. A docierając do nich, równocześnie dotrze do samego serca fortecy Lupina, do niedosięgłej kryjówki, w której składał on skarby, skradzione światu.

¹⁸ekwipaż (z fr.; przest.) — ogół rzeczy potrzebnych do wygodnej podróży, w szczególności zaprzęg, pojazd, wyposażenie, bagaż. [przypis edytorski]

Jednak po dwóch tygodniach daremnych poszukiwań jego entuzjazm osłabł i bardzo szybko stracił pewność siebie. Wobec tego, że powodzenie opóźniało się z dnia na dzień, zaczął uważać je za niemożliwe i chociaż w dalszym ciągu przeprowadzał swój plan, byłby doznał prawdziwej niespodzianki, gdyby jego usiłowania doprowadziły do choćby najmniejszego odkrycia.

Mijały dalej dni monotonne i zniechęcające. Dowiedział się z gazet, że hrabia de Gesvres i jego córka wyjechali z Ambrumésy i zamieszkali w okolicy Nicei. Dowiedział się również o oswobodzeniu imię pana Harlingtona, którego niewinność wyszła na jaw, zgodnie z oświadczeniem Arsène'a Lupin.

Zmienił swą główną kwaterę i stanął na dwa dni w La Châtre, na dwa dni w Argenton. Te same wyniki.

Wówczas był prawie gotów dać za wygraną. Najwidoczniej kabriolet, który zabrał jego ojca, posłużył tylko do przebycia części drogi, której dalszy ciąg przemierzono innym pojazdem. A jego ojciec był daleko.

Myślał już o odwrocie.

Aż pewnego poniedziałku rano spostrzegł na kopercie nieopłaconego listu, który odesłano mu z Paryża, pismo, które go do głębi wzruszyło. Wzruszenie jego było tak wielkie, że przez kilka minut nie odważał się otworzyć listu, obawiając się zawodu. Ręka mu drżała. Czyż to było możliwe? Czy nie była to pułapka, którą założył na niego jego piekielny wróg?

Jednym ruchem rozdarł kopertę. To był rzeczywiście list od jego ojca, napisany przez niego samego. Pismo odznaczało się wszystkimi osobliwościami ojcowskiego pisma, które znał tak dobrze.

Zaczął czytać:

Czy te słowa dotrą do ciebie, mój drogi synu? Nie śmiem w to wierzyć.

Przez całą noc porwania jechaliśmy automobilem, potem rano powozem.

Nic nie widziałem. Miałem na oczach przepaskę. Zamek, w którym mnie trzymają, musi znajdować się w centrum Francji, wnosząc z jego konstrukcji i z roślinności parku. Pokój, który zajmuję, znajduje się na drugim piętrze. Ma dwa okna, z których jedno jest prawie zarośnięta glicyniami. Po południu w pewnych godzinach wolno mi przechadzać się w tym parku, lecz pod dozorem, który nigdy nie ustaje.

Na wszelki wypadek piszę do ciebie ten list i przywiązuję go do kamienia. Być może zdołam któregoś dnia przetrząść go przez mur, a jakiś wieśniak go podniesie.

Ale nie martw się. Obchodzą się tu ze mną z wielkim szacunkiem.

Twój stary, kochający cię i smutny, że ci sprawia tyle zmartwienia, ojciec.

BEAUTRELET

Izydor zaraz spojrzął na stempel pocztowy. Nosił napis: „Cuzion, Indre”.

Indre? Departament, który tak zaciekle przetrząsał od tygodni!

Zajrzał do małego przewodnika, który miał zawsze przy sobie. Cuzion, kanton Eguzon. Tak, tam też był.

Dla ostrożności wyzbył się swej angielskiej osobowości, którą zaczęto już znać w okolicy, przebrał się za robotnika i udał się w kierunku Cuzion. Była to niewielka wieś. Łatwo mu będzie odnaleźć nadawcę listu.

Zaraz zresztą sam los mu dopomógł.

— List wysłany w zeszlą środę?... — zawołał mer, zacny obywatel, któremu Izydor się zwierzył i który oddał się na jego usługi. — Ależ panie, sądzę, że udzielę cennej wskazówki... W sobotę rano ojciec Charel, stary szlifierz, który włóczy się po wszystkich jarmarkach departamentu, ojciec Charel, napotkawszy mnie na końcu wsi, zapytał mnie: „Panie merze, czy list, który nie ma znaczka, też zostanie przesłany?” — „Ależ tak!” — „I dojdzie?” — „Dalibóg, tylko trzeba dopłacić i tyle”.

— A ojciec Charel mieszka?...

— Mieszka tam dalej, zupełnie sam... na pagórku... w chałupie za cmentarzem... Chce pan, żebym pana zaprowadził?

Była to osamotniona chałupka, stojąca w środku sadu, który otaczały wysokie drzewa. Kiedy tam weszli, trzy sroki wyfrunęły z budy, do której uwiązany był pies. Pies nie zaszczekał ani się ruszył na ich przyście.

Zdumiony Beautrelet poszedł bliżej. Zwierzę leżało na boku, z zeszywniałymi łapami, martwe.

Pospiesznie pobiegli do drzwi. Były otwarte. Weszli. W głębi wilgotnej, niskiej izby, na lichym sienniku, rzuconym wprost na ziemię, leżał człowiek, zupełnie ubrany.

— Ojciec Charel! — zawołał mer. — Czy on także nie żyje?

Ręce pocziwca były zimne, twarz straszliwie blada, lecz serce jeszcze biło powolnym, słabym rytmem. Zdawało się, że nie ma żadnej rany.

Starali się go ocucić, a kiedy to się nie udało, Beautrelet poszedł po lekarza. Ale i lekarzowi także nie się powiodło. Starzec wyglądał tak, jakby nic nie cierpiał. Można by powiedzieć, że po prostu śpi, ale snem sztucznym, tak jakby go uśpiono hipnozą albo jakimś środkiem nasennym.

W połowie następnej nocy Izydor, który przy nim czuwał, zauważył, że oddech leżącego staje się coraz silniejszy, a cała jego istota jakby uwalniała się z niewidzialnych więzów, które go paraliżowały.

O świcie zbudził się i wrócił do normalnych funkcji. Jadł, pił i ruszał się. Lecz przez cały dzień nie był w stanie odpowiadać na pytania, które zadawał mu młody człowiek, jak gdyby jego umysł wciąż jeszcze paraliżowała niewytłumaczona tępota.

Następnego dnia zapytał Beautreleta:

— Co pan tu robi, panie?

Po raz pierwszy wprawiła go w zdumienie obecność jakiegoś obcego człowieka.

Powoli, powoli wrócił do pełnej świadomości. Mówił, miał plany. Jednak kiedy Beautrelet zapytał go o wydarzenia, które poprzedziły jego sen, wyglądał tak, jakby nic nie rozumiał.

I naprawdę Beautrelet czuł, że on nic nie rozumie. Starowina stracił pamięć wszystkiego, co zaszło od poprzedniego piątku. Była to przepaść w zwyczajnym toku jego życia. Opowiedział o piątkowym ranku i popołudniu, o interesach jarmarcznych, o posiłku w karczmie. Potem... już nic. Zdawało mu się, że zbudził się nazajutrz po owym piątku.

Dla Beautreleta było to straszne. Prawda była tu, w tych oczach, które widziały mury parku, za którymi oczekiwał jego ojciec, w tych rękach, które podniosły list, w tej zmęczonej głowie, która zachowała miejsce tej sceny, dekorację, mały zakątek świata, w którym rozegrał się dramat. I z tych oczu, z tych rąk, z tej głowy nie mógł wydobyć najsłabszego echa prawdy tak bliskiej!

Och, ta nieuchwytna i straszna przeszkoda, na którą natknęły się jego wysiłki, przeszkoda złożona z milczenia i zapomnienia, jakże wyraźnie miała na sobie piętno Lupina! On jeden mógł, poinformowany bez wątpienia o wybiegu ojca Beautreleta, porazić częściową śmiercią tego, którego świadectwo mogło mu zawadzać. Beautrelet nie czuł, żeby go odkryto, i nie przypuszczał, żeby Lupin wiedział coś o jego zamachu i o tym, że list do niego dotarł, i żeby w ten sposób bronił się przed nim osobiście. Nie. Tylko podziwiał przeczność i prawdziwą inteligencję, o której mówiło to zdławienie możliwego oskarżenia ze strony przechodnia! Teraz już nikt nie wiedział, że w murach pewnego parku znajduje się więzień wzywający pomocy.

Nikt? Owszem: Beautrelet. Ojciec Charel nie może powiedzieć? Zgoda. Jednak można by przynajmniej się dowiedzieć, na jakim jarmarku był starzec i jaką drogą mógł stamtąd wracać. A wzdłuż tej drogi może wreszcie uda się znaleźć...

Izydor, który zresztą chodził do chaty ojca Charela, zachowując jak największą ostrożność, żeby nie wzbudzić najmniejszego podejrzenia, postanowił zaprzestać tych odwiedzin. Zasięgnąwszy języka, dowiedział się, że w piątek odbył się jarmark w Fresselines, w wielkiej osadzie, odległej o kilka mil, że można było dostać się tam albo dosyć krętym gościńcem, albo krótszymi drogami.

W piątek wybrał się tam gościńcem, ale nie zauważył nic, co by zwróciło jego uwagę, żadnych wysokich murów, żadnej sylwety starego zamku.

Zjadł obiad w jednej z oberży we Fresselines i już miał wychodzić, kiedy zobaczył ojca Charel, który przecinał plac, popychając przed sobą swój szlifierny wózek. Poszedł zaraz za nim, trzymając się jednak w znacznej odległości.

Pocziwina dwukrotnie przystawał i w czasie tych długich postojów tuzinami ostrzył noże. Potem ruszył nareszcie dalej, ale zupełnie inną drogą, wiodącą ku Crozant i Eguzon.

Beautrelet poszedł za nim. Nie upłynęło pięć minut, a już doznał uczucia, że nie tylko on śledzi tego pocziwca. Szedł między nimi jakiś człowiek, który zatrzymywał się w tym samym czasie co ojciec Charel i w tym samym co on czasie ruszał dalej, zresztą bynajmniej nie starając się ukrywać.

„Pilnują go — pomyślał Beautrelet. — Może chcą się dowiedzieć, czy nie zatrzyma się przed murem...”

Serce mu biło. Zbliżało się ważne wydarzenie.

Wszyscy trzej jeden za drugim wchodzili i schodzili po spadzistych pagórkach, aż przybyli do Crozant. Tam ojciec Charel zatrzymał się na godzinę. Potem zszedł do rzeki i przeszedł przez most.

Potem zdarzyło się coś, co zaskoczyło Beautreleta. Drugi mężczyzna nie przeszedł przez rzekę. Patrzył, jak stary się oddala, a kiedy stracił go z oczu, ruszył ścieżką wiodącą w otwarte pola.

Co zrobić? Beautrelet wahał się kilka sekund, a potem nagle powziął decyzję. Poszedł śledzić nieznajomego.

— Musiał zauważyć — pomyślał — że ojciec Charel poszedł prosto. Jest spokojny i odchodzi. Dokąd? Do zamku?

Był bliski celu. Czuł to po jakiejś bolesnej radości, która go przeniknęła.

Nieznajomy wszedł do ciemnego lasu, leżącego nad rzeką, a potem zjawił się znowu na horyzoncie.

Kiedy z kolei Beautrelet wyszedł z lasu, zdziwił się, że już nie widzi tego osobnika. Rozglądał się za nim, gdy wtem omal nie krzyknął i jednym susem cofnął się w las. Z prawej strony widniały ogromne mury zamku.

To tam! To tam! Te mury więżą jego ojca! Znalazł tajemne miejsce, w którym Lupin trzyma swe ofiary!

Nie odważył się już opuszczać kryjówek, którą oferowało gęste listowie lasu. Powoli, prawie pełzając, przemieścił się na prawo i w ten sposób dotarł na szczyt pagórka, który sięgał wierzchołków pobliskich drzew. Mury wznosiły się jeszcze wyżej. Spostrzegł też dach, który je pokrywał, stary dach z czasów Ludwika XIII¹⁹, z wieżyczkami otaczającymi jedną, ostro wystzielającą ponad inne.

Na ten dzień Beautrelet miał dosyć. Musiał się zastanowić i przygotować jak najstaranniej plan ataku. Górował teraz nad Lupinem i do niego należał wybór godziny i sposobu walki.

Odszedł.

W pobliżu mostu napotkał dwie wieśniaczki, które niosły wiadra pełne mleka. Zapytał je:

— Jak się nazywa ten zamek, tam, za drzewami?

— To, panie, to jest zamek Iglica.

Zadał pytanie, nie przywiązując do niego żadnej wagi. Odpowiedź poruszyła go.

— Zamek Iglica?... Ach!... A gdzie jesteście? W departamencie Indre?

— Dalibóg, nie. Indre jest z tamtej strony rzeki. Tu jest departament Wydrążona²⁰.

Izydora ołśniło. Zamek Iglica! Departament Wydrążona! Wydrążona Iglica! Klucz do dokumentu! Zwycięstwo pewne, ostateczne, zupełne!

Bez słowa odwrócił się od kobiet i poszedł, potykając się jak pijany.

¹⁹Ludwik XIII (1601–1643) — król Francji (od 1610), syn Henryka IV z dynastii Burbonów; do czasu jego pełnoletności realne rządy sprawowała jego matka, Maria Medycejska, potem kardynał Richelieu, który stał się twórcą systemu rządów absolutnych. [przypis edytorski]

²⁰departament Wydrążona — po francusku *Creuse*. Podajemy tu nazwę departamentu w przekładzie, gdyż tego wymaga gra słów, na której powieść osnuto. [przypis tłumacza]

TOM II

ROZDZIAŁ VI. TAJEMNICA HISTORYCZNA

Beautrelet natychmiast postanowił działać samemu. Powiadamianie władz było zbyt niebezpieczne. Wobec tego, że mógł podać tylko przypuszczenia, obawiał się powolności władz, pewnych niedyskrecji i całego uprzedniego śledztwa, podczas którego Lupin, niewątpliwie ostrzeżony, miałby możliwość swobodnego odwrotu.

Następnego dnia o ósmej rano z pakieczkiem pod pachą opuścił oberżę, w której mieszkał w okolicy Cuzion, wszedł w najbliższe krzaki, zrzucił ze siebie ubranie robotnika, stał się znowu młodym malarzem angielskim, którym był przedtem, i poszedł do notariusza w Eguzon.

Powiedział, że okolica mu się podoba i że chętnie zamieszkałby tu z rodzicami, gdyby znalazł odpowiednie mieszkanie.

Notariusz wskazał mu kilka posiadłości. Beautrelet napomknął, że mówiono mu o zamku Iglica, leżącym w tym departamencie.

— Istotnie, ale zamek Iglica, który od pięciu lat należy do jednego z mych klientów, nie jest na sprzedaż.

— Więc on tam mieszka?

— Mieszkał, a raczej mieszkała jego matka. Lecz zamek wydał jej się zbyt smutny i nie podobał się jej. Wyprowadzili się w zeszłym roku.

— A teraz nikt w nim nie mieszka?

— Mieszka jakiś Włoch, baron Anfredi, któremu mój klient wynajął zamek na lato.

— Ach, baron Anfredi, człowiek młody jeszcze, taki sztywny...

— Doprawdy, nic o nim nie wiem... Mój klient umawiał się z nim osobiście. Nie było żadnego kontraktu... zwykły list...

— Ale pan zna barona?

— Nie, on nigdy nie opuszcza zamku... Zdaje się, że czasami w nocy, i to autodemem. Zakupy robi stara kucharka, która z nikim nie rozmawia. Dziwni ludzie...

— Czy myśli pan, że pański klient zgodziłby się sprzedać zamek?

— Sądzę, że nie. To zamek historyczny, w najczystszej formie Ludwika Trzynastego²¹. Mój klient przywiązywał do tego wielką wagę i jeśli nie zmienił zdania...

— Nie mógłby mi pan podać jego nazwiska i adresu?

— Ludwik Valmérias, rue du Mont-Thabor, numer trzydzieści sześć.

Beautrelet na najbliższej stacji wsiadł do pociągu do Paryża. Nazajutrz, po trzech bezskutecznych wizytach, zastał nareszcie Ludwika Valmérias. Był to mężczyzna trzydziestoletni, o twarzy otwartej i sympatycznej. Beautrelet, sądząc, że nie ma potrzeby udawać, dał się poznać i opowiedział mu o swych wysiłkach i celu swej wyprawy.

— Mam wszelkie dane — dodał — żeby przypuszczać, że mój ojciec jest uwięziony wraz z innymi ofiarami w zamku Iglica. Proszę więc, żeby mi pan zechciał powiedzieć, co pan wie o swym najemcy, baronie Anfredim.

— Niewiele. Spotkałem barona Anfredi ostatniej zimy w Monte Carlo. Dowiedziałem się przypadkiem, że jestem właścicielem zamku Iglica, a pragnąc spędzić lato we Francji, zaproponował mi najem.

— Jest to człowiek jeszcze młody...

— Tak z bardzo wyrazistymi oczyma, z jasnymi włosami.

— Z brodą?

— Tak, z brodą o dwu szpicach, które opadają na zapinający się z tyłu kołnierzyk, jak u duchownego. On w ogóle ma w sobie coś z angielskiego księdza.

— To on — mruknął Beautrelet — to on, taki, jakiego widziałem go po raz ostatni, to jego dokładny opis.

— Jak to, więc pan sądzi?...

— Sądzę, jestem pewny, że pański najemca to nikt inny, tylko Arsène Lupin.

²¹Ludwik XIII (1601–1643) — król Francji (od 1610); do czasu jego pełnoletności realne rządy sprawowała jego matka, Maria Medycejska, potem kardynał Richelieu, który stał się twórcą systemu rządów absolutnych. [przypis edytorski]

Historia ta ubawiła Ludwika Valmérias. Znał wszystkie przygody Lupina i koleje jego walki z Beautreletem. Zacierał ręce.

— No, zamek Iglica stanie się sławny... co całkiem mi się podoba, bo w gruncie rzeczy od kiedy moja matka tam nie mieszka, myślę wciąż o tym, żeby się go pozbyć przy pierwszej lepszej sposobności. Teraz znajdę kupców. Tylko...

— Tylko?

— Poproszę, żeby pan działał z jak największą przezornością i zawiadomił policję, dopiero mając niezachwianą pewność. Widzi pan, gdyby tak mój najemca nie był Arsene'em Lupin?

Beautrelet przedłożył mu swój plan: że pójdzie sam, przejdzie przez mur, schowa się w parku...

Ludwik Valmérias pohamował go zaraz.

— Nie przejdzie pan tak łatwo przez mur tej wysokości. A jeśli się panu to uda, przywitają pana dwa ogromne psiska, należące do mej matki, które zostawiłem w zamku.

— Ba, jedna pigułka...

— Dziękuję panu. Lecz przypuśćmy, że pan się im wymknie. Cóż potem? Jak wdrze się pan do zamku? Drzwi wejściowe są masywne, okna zakratowane. A zresztą, gdyby pan wszedł, któż pana poprowadzi? Tam jest osiemdziesiąt pokoi.

— Tak, ale... ten pokój z dwoma oknami na drugim piętrze?...

— Znam go, nazywamy go Pokojem Glicynii. Lecz jak go pan znajdzie? Tam są trzy ciągi schodów i cały labirynt korytarzy. Choćbym panu opisał, którądy trzeba iść, zgubi się pan.

— Więc niech pan jedzie ze mną — rzekł, śmiejąc się, Beautrelet.

— Nie mogę. Obiecałem pojechać do matki, na południe.

Beautrelet wrócił do przyjaciela, który przyjął go w gościnę i zaczął przygotowania. Jednak pod koniec dnia, kiedy już sposobił się do wyjazdu, odwiedził go Valmérias.

— Czy nadal chce pan zabrać mnie ze sobą?

— Czy chce!

— Więc zgoda! Pojadę z panem. Wyprawa mnie pociąga. Sądzę, że nie będziemy się nudzili i chętnie wmięszam się w to wszystko. A poza tym mój współdziałal nie będzie dla pana bezużyteczny. Widzi pan, oto już początek współpracy.

Pokazał mu wielki klucz, cały zardzewiały i wyglądający na bardzo stary.

— Klucz do?... — zapytał Beautrelet.

— Małej furtki, ukrytej między dwiema przyporami²², porzuconej od wieków, której nie uważałem nawet za potrzebne pokazywać swemu najemcy. Wychodzi na okolicę, dokładnie na skraju lasu.

Beautrelet przerwał mu prędko.

— Oni je znają, to wyjsście... To oczywiście tamtędy dostał się do parku człowiek, którego śledziłem. Dalej, gra jest ładna i wygramy. Ale trzeba się, do licha, wziąć w karby!

W dwa dni później do Crozant przybył cygański wózek zaprzężony w wychudłą szkapę. Woźnica otrzymał pozwolenie na zatrzymanie się w opuszczonej szopie na krańcu wsi. Prócz woźnicy, którym był nie kto inny, tylko Valmérias, było tam jeszcze trzech młodych ludzi zajętych wyplataniem krzeseł z wikliny: Beautrelet i dwaj jego koledzy z liceum Janson.

Spędzili tam trzy dni, czekając na sposobną noc i myszkując wokół parku. Pewnego razu Beautrelet zobaczył furtkę. Wciśnięta pomiędzy dwie przypory, za zasłoną z krzaków jeżyn, prawie zlewała się ze wzorem utworzonym przez kamienie muru.

²²przypora — rozszerzający się ku dołowi mur odchodzący na zewnątrz od ściany budowli, mający za zadanie wzmocnić ścianę. [przypis edytorski]

Nareszcie czwartego wieczora niebo pokryło się gęstymi chmurami i Valmérias zacydował, że trzeba pójść na zwiady, ryzykując oczywiście odwrót, gdyby okoliczności nie sprzyjały.

Wszyscy czterej przeszli przez lasek. Potem Beautrelet wszedł między krzaki jeżyn, drapiąc przy tym ręce, i podniósłszy się do połowy, powoli, z wielką ostrożnością wetknął klucz do otworu. Obrócił delikatnie. Czy drzwi się otworzą pod jego naciskiem? Czy nie były zamknięte z drugiej strony na rygiel? Pchnął. Drzwi otwarły się bez skrzypnięcia, bez szarpnięcia. Znalazł się w parku.

— Jest pan tam, panie Beautrelet? — zapytał Valmérias. — Proszę zaczekać na mnie. A wy, drodzy panowie, czuwajcie nad tymi drzwiami, żeby nam nie odcięto odwrotu. W razie najmniejszej obawy zagwiźdźcie.

Chwycił Beautreleta za rękę i zniknęli w mrokach gąszczu. Kiedy doszli na skraj środkowego trawnika, natknęli się na jaśniejszą przestrzeń. W tej samej chwili przez chmury przedarł się blask księżycy i spostrzegli zamek wraz z wieżyczkami, otaczającymi tę najwyższą i spiczastą, której zamek bez wątpienia zawdzięczał swe miano. Żadnego światła w oknach, żadnego szmeru.

Valmérias ujął swego towarzysza za ramię.

— Cicho!

— Co?

— Psy... tam... Widzi pan?...

Dało się słyszeć warczenie. Valmérias gwizdnął cichutko. Podbiegły dwie białe sylwetki i w kilku susach psy przypadły do nóg swego pana.

— Cicho, pieski... leżeć... dobrze... nie ruszać się...

A do Beautreleta powiedział:

— Teraz chodźmy. Już jestem spokojny.

— Czy jest pan pewny drogi?

— Tak. Zbliżamy się do terasy²³.

— A potem?

— Pamiętam, że po lewej ręce, w miejscu, w którym dominująca nad rzeką terasa podnosi się do poziomu okien, jest jedna okiennica, która się nie domyka i można ją otworzyć z zewnątrz.

Rzeczywiście, kiedy tam przybyli, okiennica ustąpiła pod naciskiem. Valmérias wyciął diamentowym ostrzem jedną szybę. Otworzył okno. Jeden po drugim weszli na balkon. Teraz znaleźli się w zamku.

— Pokój, w którym jesteśmy, znajduje się na końcu korytarza. Potem jest ogromny przedsionek, ozdobiony posągami, a na końcu tego przedsionka są schody, które prowadzą prawie do drzwi pokoju, w którym przebywa pański ojciec.

Postąpił krok naprzód.

— Idzie pan, panie Beautrelet?

— Tak, tak.

— Ależ nie, pan nie idzie. Co panu jest?

Chwycił go za rękę, była zimna jak lód. Spostrzegł, że młodzieniec przykucnął na podłodze.

— Co panu jest? — powtórzył.

— Nic... to minie...

— Ale jednak...

— Boję się...

— Boi się pan!

— Tak — przyznał się szczerze Beautrelet. — Nerwy mnie zawodzą... zazwyczaj panuję nad nimi... ale dzisiaj... to milczenie... wzruszenie... A potem, od czasu, jak mnie ten pisarz ugodził nożem... Ale to przejdzie... O, już przechodzi...

Istotnie, zdołał wstać i Valmérias wyprowadził go z pokoju. Szli przez korytarz po omacku i tak cicho, że wzajemnie nie czuli swej obecności.

²³terasa — płaski teren na zboczu doliny rzeki lub nad brzegiem morza. [przypis edytorski]

Zdawało się im, że przedsiónek, do którego zdążali, oświetla słabe światło. Valméras wychylił głowę. Była to lampka umieszczona u stóp schodów na stoliczku, który było widać poprzez wiotkie liście palmy.

— Stój! — szepnął Valméras.

Obok lampy stał na straży jakiś mężczyzna ze strzelbą w ręku.

Czy ich zobaczył? Być może... W każdym razie musiało go coś zaniepokoić, gdyż zdjął strzelbę z ramienia.

Beautrelet przypadł na kolana przy skrzyni krzewu i znieruchomiał, serce biło mu w piersi jak młot.

Tymczasem cisza i brak ruchu wokół uspokoiły człowieka na straży. Opuścił broń. Jednak głowę miał zwróconą w stronę krzewu.

Mijały straszliwe minuty, dziesięć, piętnaście. Blask księżycy wniknął przez okno schodów. I nagle Beautrelet zdał sobie sprawę, że światło księżycy przesunęło się nieznacznie i że za pięć, dziesięć minut światło dojdzie do niego i oświetli jego twarz.

Kropki potu spływały mu z twarzy na drżące ręce. Jego lęk urósł do tego stopnia, że już miał zerwać się i uciec... Lecz przypomniał sobie, że obok jest Valméras, poszukał go wzrokiem i zdziwił się, gdy zobaczył, a raczej gdy odgadł, jak pełza w ciemnościach pod ochroną krzewów i posągów. Już dosięgał do stóp schodów, już był o kilka kroków od mężczyzny.

Co zrobi? Czy mimo to przejdzie? Czy pójdzie sam uwolnić więźnia? Ale czy zdoła przejść?

Beautrelet stracił go z oczu i miał wrażenie, że coś się stanie, coś, co zdawała się zapowiadać sama cisza, w tej chwili jeszcze głębsza i straszniejsza.

Nagle jakiś cień rzuca się na mężczyznę, lampka gaśnie... rozlega się hałas walki... Beautrelet przybiegł. Dwa ciała tarzwały się po posadzce. Chciał się schylić. Usłyszał chrapliwy jęk, westchnienie i w tej chwili jeden z walczących zerwał się i chwycił go za rękę.

— Prędko... chodźmy tam.

Był to Valméras.

Walka

Weszli na drugie piętro i dotarli do początku wyścielonego dywanem korytarza.

— Na prawo — szepnął Valméras — czwarty pokój po lewej.

Wkrótce znaleźli drzwi do tego pokoju. Jak tego się spodziewali, więzień był zamknięty na klucz. Musieli poświadczyć pół godziny, pół godziny przyciszonych wysiłków, żeby otworzyć. W końcu weszli.

Beautrelet po omacku odszukał łóżko. Jego ojciec spał.

Zbudził go łagodnie.

— To ja, Izydor... i mój przyjaciel... nie bój się... Wstań, ani słowa...

Ojciec ubrał się, lecz wychodząc, szepnął do nich:

— Nie jestem sam w zamku...

— Ach, któż? Ganimard? Sholmes?

— Nie... przynajmniej ja ich nie widziałem.

— Więc?

— Jakaś młoda dziewczyna.

— Panna de Saint-Véran, na pewno!

— Nie wiem, widywałem ją nieraz z daleka w parku... Wychyliwszy się ze swego okna, widzę jej okno. Dawała mi znaki.

— Wiesz, gdzie jest jej pokój?

— Tak, w korytarzu, trzeci na prawo.

— Pokój błękitny — szepnął Valméras. — Drzwi mają dwa skrzydła, będzie mniej kłopotu.

Istotnie, jedno skrzydło bardzo szybko ustąpiło. Ojciec Beautrelet podjął się uprzedzić młodą dziewczynę.

Po dziesięciu minutach wyszedł z nią z pokoju i rzekł do swego syna:

— Miałeś rację... panna de Saint-Véran.

Zeszli we czwórkę. Na dole schodów Valméras przystanął i pochylił się nad pokonanym człowiekiem, a potem, prowadząc ich do pokoju terasowego, powiedział:

— Nie jest martwy. Będzie żył.

— Ach! — westchnął Beautrelet z ulgą.

— Na szczęście mój nóż się ześlizgnął... cios nie jest śmiertelny. A zresztą, cóż, te gałgany nie zasługują na litość.

Na zewnątrz przywitały ich dwa psy i odprowadziły aż do furtki. Tam Beautrelet odnalazł obu swych przyjaciół. Mała gromadka wyszła z parku. Była trzecia rano.

To pierwsze zwycięstwo nie mogło Beautreletowi wystarczyć. Gdy tylko ulokował ojca i dziewczynę, zaczął ich wypytywać o ludzi przebywających w zamku, w szczególności o Arsène'a Lupin. Dowiedział się, że Lupin przyjeżdża tylko co trzy czy cztery dni, przybывая wieczorem samochodem i odjeżdżając rano. Podczas każdej swej bytności odwiedzał oboje więźniów i oboje zgodnie chwalili jego szacunek i ogromną uprzejmość. Na razie, zdaje się, nie było go w zamku.

Poza nim widywali tylko jakąś starą kobietę prowadzącą gospodarstwo domowe i dwóch mężczyzn, którzy ich strzegli kolejno i nie rozmawiali z nimi wcale, widocznie dwóch podwładnych, sądząc z ubrania i twarzy.

— Tak czy owak dwaj wspólnicy — stwierdził Beautrelet — a raczej trzech, licząc ze starą kobietą. To zdobycz nie do pogardzenia. I jeśli nie będziemy tracili czasu...

Siadł na rower, pojechał do Eguzon, zbudził żandarmów, kazał trąbić wsiadanego i wrócił do Crozant o ósmej wraz z sierżantem i ósmioma żandarmami. Dwaj z nich zostali na straży przy wejściu. Dwaj inni stanęli przed furtką. Pozostali czterej pod wodzą sierżanta, w towarzystwie Beautreleta i Valmérasa, podążyli do głównego wejścia zamku. Za późno. Brama była już szeroko otwarta. Jakiś wieśniak powiedział im, że przed godziną widział wyjeżdżający z zamku samochód.

Rzeczywiście, poszukiwania nie dały żadnego rezultatu. Według wszelkiego prawdopodobieństwa banda musiała się tu umieścić tylko przelotnie. Znaleźli kilka ubrań, trochę bielizny, przybory kuchenne, i to było wszystko.

W zdziwienie wprawilo Beautreleta i Valmérasa zniknięcie rannego. Nie mogli odnaleźć najmniejszego śladu walki, ani jednej kropli krwi na posadzce przedsionka.

W rezultacie nie było żadnego materialnego dowodu, że Lupin był w zamku Iglicca, i można by śmiało odrzucić zapewnienia Beautreleta i jego ojca, Valmérasa i panny de Saint-Véran, gdyby wreszcie nie znaleźli w pokoju sąsiadującym z pokojem młodej dziewczyny sześciu wspaniałych bukietów, do których był przypięty bilet²⁴ Arsène'a Lupin. Bukiety, które odrzuciła, zapomniane, zwiędły... Do jednego z nich prócz biletu dołączono list, którego Rajmunda nie widziała. Po południu, kiedy rozpieczętował go sędzia śledczy, znalazł w nim dziesięć stron prośb, błagań, obietnic, gróźb, rozpaczliwych zakleć, całe szaleństwo miłości, która zaznała tylko pogardy i braku wzajemności.

List kończył się tak: „Przyjadę we wtorek wieczorem. Niech się pani namyśli. Nie chcę już dłużej czekać. Jestem gotów na wszystko”.

Właśnie we wtorek rano Beautrelet oswobodził pannę de Saint-Véran.

Wszyscy z pewnością pamiętają zdumienie i entuzjazm wywołane w świecie tą nowiną: panna de Saint-Véran wolna! Młoda dziewczyna, której pragnął Lupin, dla której snuł swe najbardziej makiaweliczne²⁵ plany, wyrwana z jego szponów! Wolny także ojciec Beautreleta, ten, którego Lupin, spragniony zawieszenia broni potrzebnego jego miłości, wybrał na zakładnika. Wolni oboje! Tajemnica Iglicy znana, opublikowana, rzucona na cztery strony świata!

Tłum bawił się. Śpiewano o pokonaniu awanturnika.

„Miłostki Lupina”, „Łzy Arsène'a”, „Zakochany włamywacz!”, „Piosenka złodzieja kieszonkowego” — wykrzykiwano na bulwarach, wyśpiewywano po pracowniach.

²⁴bilet — tu: bilet wizytowy, wizytówka. [przypis edytorski]

²⁵makiaweliczny — wyrachowany, cyniczny, bezwzględny; od nazwiska włoskiego historyka, dyplomaty i pisarza, Niccolò Machiavellego (1469–1527), autora traktatu o sprawowaniu władzy i cechach skutecznego politycznie władcy (*Książę*, 1513). [przypis edytorski]

Zasypana pytaniami, prześladowana przez dziennikarzy, Rajmunda odpowiadała z jak największą rezerwą. Ale przecież istniał list i bukiety, i cała tragikomiczna awantura! Nagle Lupin ośmieszony, wydrwiony, spadł ze swego piedestału.

A Beautrelet stał się bożyszczem. Wszystko zobaczył, wszystko przepowiedział, wszystko wyjaśnił. Zeznania, które panna de Saint-Véran złożyła przed sędzią w sprawie swego porwania, potwierdziły hipotezę młodego człowieka nawet w najdrobniejszych szczegółach. Rzeczywistość niejako poddawała się na wszystkich punktach temu, co uprzednio orzekł. Lupin trafił na mocniejszego.

Beautrelet zażądał, żeby jego ojciec przed powrotem do swych gór w Sabaudii odpoczął kilka miesięcy w słońcu, i zawiózł go razem z panną de Saint-Véran w okolice Nicei, gdzie hrabia de Gesvres osiadł wraz ze swą córką Zuzanną na zimę. W dwa dni potem Valméras zawiózł swoją matkę do swych nowych przyjaciół i utworzyli tam razem małą kolonię, zgrupowaną wokół willi de Gesvres, nad którą dniem i nocą czuwało sześciu ludzi najętych przez hrabiego.

Na początku października maturzysta Izydor Beautrelet pojechał do Paryża, żeby podjąć dalsze studia i przygotować się do egzaminu. I zaczęło się teraz życie spokojne, bez wypadków. Cóż mogło się zdarzyć? Czyż wojna nie była skończona?

Lupin musiał to doskonale wyczuwać, jak również to, że nie pozostawało mu nic innego, jak uznać fakty dokonane, gdyż pewnego dnia pojawiły się także dwie jego inne ofiary: Ganimard i Herlock Sholmes. Ich powrót do życia na tym świecie nie był zresztą wcale otoczony aureolą cudowności. Oto pewien szmaciarz znalazł ich na *quai des Orfèvres*²⁶, naprzeciw prefektury policji, związanych i uśpionych.

Po tygodniu zupełnego oszołomienia udało się im odzyskać kontrolę nad tokiem swych myśli i opowiedzieli — a raczej opowiedział Ganimard, gdyż Sholmes zaciął się w uporczywym milczeniu — że odbywali na pokładzie jachtu *Jaskółka* podróż dookoła Afryki, podróż uroczą, pouczającą, podczas której mogli uważać się za zupełnie wolnych, z wyjątkiem kilku godzin, które musieli spędzać pod pokładem, kiedy okręt zawijał do egzotycznych portów.

Zaś co do swego wylądowania na *quai des Orfèvres*, nie przypominali sobie nic, uspieni bez wątpienia od kilku dni.

To wypuszczenie na wolność było przyznaniem się do klęski. Nie walcząc dalej, Lupin proklamował ją bez zastrzeżeń.

Poza tym jedno wydarzenie podkreśliło jeszcze bardziej jego klęskę: ślub Ludwika Valméras i panny de Saint-Véran. Ich zbliżenie się, spowodowane przez bieżące wypadki, obudziło w dwojgu młodych wzajemną miłość. Valméras uległ melancholijnemu urokowi Rajmundy, zaś jej, zranionej przez życie, pragnącej, opieki, zaimponowała siła i energia tego, który niemało przyczynił się do jej oswobodzenia.

Dnia ślubu wyczekiwano z pewnym niepokojem. Czy Lupin nie podejmie walki na nowo? Czy zgodzi się bez protestu na stratę ukochanej kobiety? Dwa czy trzy razy widziano koło willi jakieś podejrzanego indywidua, a Valméras pewnego wieczora musiał nawet bronić się przed rzekomym pijakiem, który strzelił do niego i przestrzelił mu kapelus. Lecz koniec końców ceremonia odbyła się w oznaczonym terminie i Rajmunda de Saint-Véran została panią Ludwikową Valméras.

Zdawało się, że samo przeznaczenie stanęło po stronie Beautreleta i podpisało obwieszczenie zwycięstwa. Tłum wyczuwał to doskonale i właśnie wtedy zrodził się wśród jego wielbicieli pomysł wielkiego bankietu na cześć zwycięstwa, które Beautrelet odniósł nad Lupinem. Pomysł wzbudził ogromny entuzjazm. W ciągu dwóch tygodni nadeszło trzysta zgłoszeń do współudziału. Wysłano zaproszenia do liceów paryskich, dla dwu uczniów z każdej klasy maturalnej. Prasa zaintonowała hymny. A bankiet był tym, czym być musiał: apoteozą²⁷.

²⁶*quai des Orfèvres* (fr.) — Nabrzeże Złotników; budynek w Paryżu przy *quai des Orfèvres* 36, na wyspie Cité na Sekwanie, mieści komendę kryminalną paryskiej prefektury policji. [przypis edytorski]

²⁷*apoteoza* (gr.) — ubóstwienie; w literaturze: przedstawienie idei, wydarzeń a. postaci jako godnych uwielbienia i czci, wyidealizowanie. [przypis edytorski]

Ale apoteozą uroczą i prostą, gdyż bohaterem jej był Beautrelet. Jego obecność wystarczyła, żeby wszystko znalazło się w swoich granicach. Okazał się skromny jak zazwyczaj, trochę zdziwiony z powodu burzliwych oklasków, trochę zawstydzony przesadnymi pochwałami, w których stwierdzano jego wyższość nad najsławniejszymi agentami policji... Trochę zawstydzony, lecz także bardzo wzruszony.

Powiedział to w kilku słowach, które podobały się wszystkim, ze zmieszaniem dziecka, które rumieni się od wielu spojrzeń. Wypowiedział swą radość i swą dumę. Rzeczywiście, chociaż tak roztropny, tak panujący nad sobą, doznał wówczas minut niezapomnianego upojenia. Uśmiechał do swych przyjaciół, do swych kolegów z liceum Janson, do Valmérasa, przybyłego specjalnie, żeby go oklaskiwać, do hrabiego de Gesvres, do swego ojca.

Lecz oto, kiedy kończył mówić i nadal trzymał szklankę w dłoni, na końcu sali rozległ się hałaśliwy głos i zobaczono jakiegoś człowieka, który mocno gestykulował, wymachując gazetą. Przywrócono ciszę, usiadł, lecz wokół stołu zapanowała niespokojna ciekawość, gazeta przechodziła z rąk do rąk i za każdym razem, gdy ktoś rzucił okiem na otwartą stronę, rozlegał się okrzyk.

— Przeczytać! Przeczytać! — wołano z drugiej strony.

Przy stole honorowym wszyscy wstali. Ojciec Beautrelet wziął dziennik i podał go synowi.

— Przeczytać! Przeczytać! — wołano coraz głośniej.

A inni wołali:

— Ależ słuchajcie! Już zaczyna czytać. Słuchajcie!

Beautrelet, stojąc, twarzą zwrócony do publiczności, szukał wzrokiem w dzienniku artykułu, który wzbudził taki hałas, i nagle, spostrzegłszy tytuł podkreślony niebieskim ołówkiem, podniósł rękę, żeby nakazać milczenie, i zaczął czytać głosem, który coraz to bardziej zmieniał się ze wzruszenia. Oto te zdumiewające rewelacje, unicestwiająca wszystkie jego wysiłki, burzące jego wyobrażenia o Wydrążonej Iglicy i podkreślająca marność jego walki z Arsène'em Lupin.

*List otwarty p. Massiban, członka Akademii Inskrypcji i Literatury Pięknej*²⁸.

Szanowny Panie Redaktorze Naczelny!

17 marca 1679 r. pojawiła się mała książeczka pod następującym tytułem: „Tajemnica Wydrążonej Iglicy. Cała prawda wyświełona po raz pierwszy. Sto egzemplarzy wydrukowanych przez mnie samego dla pouczenia dworu”.

O dziewiątej rano owego dnia autor, człowiek bardzo młody, dobrze odziany, którego nazwiska nie znano, zabrał się do rozdawania tej książki najwybitniejszym osobistościom dworu. O godzinie dziesiątej, kiedy już rozdał cztery sztuki, został aresztowany przez kapitana gwardii, który zaprowadził go do gabinetu królewskiego, a sam zaraz wrócił na poszukiwanie tych czterech rozdanych egzemplarzy. Kiedy wszystkie sto egzemplarzy zabrano, przeliczono, starannie przejrano i sprawdzono, sam król rzucił je w ogień, prócz jednego, który zachował dla siebie.

Potem rozkazał kapitanowi gwardii zaprowadzić autora książki do pana de Saint-Mars, który zamknął swego więźnia najpierw w Pignerol, a potem w fortecy na Wyspie Świętej Małgorzaty. Tym mężczyzną był oczywiście nie kto inny, jak sławny Człowiek w Żelaznej Masce²⁹.

²⁸*Akademia Inskrypcji i Literatury Pięknej* — francuskie towarzystwo naukowe zajmujące się naukami humanistycznymi, założone w 1663; jego pierwotnym zadaniem było układanie łacińskich napisów, które miały być umieszczane na budowach, pomnikach i medalach upamiętniających ważne wydarzenia za panowania Ludwika XIV; później zakres działalności poszerzono o badania historyczne, archeologiczne i lingwistyczne; od 1795 Akademia Inskrypcji i Literatury Pięknej stanowi jedną z pięciu placówek Instytutu Francji. [przypis edytorski]

²⁹*Człowiek w Żelaznej Masce* (zm. 1703) — tajemniczy więzień z czasów króla Ludwika XIV, przetrzymywany aż do śmierci w różnych więzieniach Francji, łącznie z Bastylią, zawsze pod nadzorem tego samego strażnika; nikt nie widział jego twarzy, gdyż więzień miał założoną na twarz maskę; wg Woltera (*Questions sur l'Encyclopédie*, 1771) maska była z żelaza, zaś więźniem był nieślubny starszy brat Ludwika XIV. [przypis edytorski]

A prawda nigdy nie byłaby znana, a przynajmniej część prawdy, gdyby kapitan gwardii, który był obecny przy paleniu, nie skorzystał z chwilowej nieuwagi króla i nie wyciągnął z kominka innego egzemplarza.

Sześć miesięcy później znaleziono tego kapitana na gościńcu z Gaillon do Mantes. Jego zabójcy przetrząsnęli całe jego odzienie, przeoczyli jednak klejnot w prawej kieszeni, który następnie tam znaleziono, diament najczystszej wody, o znacznej wartości.

W jego papierach znaleziono odręczną notatkę. Nie mówił tam o książce wyrwanej z płomieni, lecz podawał streszczenie pierwszych rozdziałów. Chodziło tu o pewną tajemnicę znaną królom angielskim, utraconą przez nich, kiedy korona biednego szaleńca Henryka IV³⁰ przeszła na głowę księcia Yorku, przekazaną królowi francuskiemu Karolowi VII³¹ przez Joannę d'Arc³², a która, stawszy się tajemnicą państwową, była przekazywana z władcy na władcę listem, za każdym razem ponownie pieczętowanym, który znajdowano na śmiertelnym łożu zmarłego z uwagą: „Dla króla Francji”.

Tajemnica ta dotyczyła istnienia i określała położenie olbrzymiego skarbu, będącego w posiadaniu królów, który powiększał się ze stulecia na stulecie.

Sto czternaście lat później Ludwik XVI³³, uwięziony w Temple³⁴, wziął na stronę jednego z oficerów wyznaczonych do strzeżenia rodziny królewskiej i rzekł do niego:

— Panie, czy nie miał pan przodka, który służył jako kapitan mojego dziadka, wielkiego króla?

— Tak, Wasza Królewska Mość.

— Ach, żeby pan był mężczyzną, żeby pan był mężczyzną...

Zawahał się. Oficer skończył zdanie:

— I nie zdradził Waszej Królewskiej Mości? O, królu...

— A więc, niech pan posłucha.

Wyciągnął z kieszeni książeczkę i wydarł z niej ostatnią stronę. Zmienił jednak zdanie.

— Nie, lepiej będzie, jeżeli przepiszę...

Wziął dużą kartkę papieru, oddał z niej mały prostokątny kawałek i przepisał na nim pięć wierszy kropek, cyfr i znaków, które znajdowały się na wydrukowanej stronicy. Potem, spaliwszy tę wydrukowaną stronicę, złożył zapisaną kartkę we czworo, opieczętował czerwonym woskiem i dał mu ją.

— Panie, po mojej śmierci odda pan to królowej i powie pan jej: „Od króla... dla Waszej Królewskiej Mości i dla jej syna”. Jeśli nie zrozumie...

— Jeśli nie zrozumie...

— Doda pan: „Chodzi o tajemnicę Iglicy”. Królowa zrozumie.

Rzekłszy to, rzucił książkę między szczapy płonące na kominku.

21 stycznia wstąpił na szafot.

³⁰Henryk IV Lancaster (1367–1413) — król Anglii (od 1399); objął tron w wyniku udanego buntu przeciwko swojemu poprzednikowi; w drugiej połowie swojego panowania cierpiał na nierozpoznaną ciężką chorobę. [przypis edytorski]

³¹Karol VII Walezjusz (1403–1461) — król Francji od 1422; na mocy traktatu w Troyes (1420) pozbawiony praw do tronu na rzecz króla Anglii Henryka V; po udanej misji Joanny d'Arc i odparciu Anglików spod Orleanu koronował się w Reims (1429), uwolnił terytorium całego kraju i pomyślnie zakończył wojnę stuletnią; reorganizował finanse i armię. [przypis edytorski]

³²Joanna d'Arc (1412–1431) — bohaterka narodowa Francji; podczas wojny stuletniej poprowadziła armię francuską do kilku ważnych zwycięstw (m.in. oswoiła oblegany przez wojska angielskie Orlean), twierdząc, że działa kierowana przez Boga; została schwytana przez Burgundczyków, przekazana Anglikom, osądzona przez sąd kościelny za herezję i spalona na stosie. [przypis edytorski]

³³Ludwik XVI (1754–1793) — król Francji (od 1774) z dynastii Burbonów, ścięty w okresie Rewolucji Francuskiej. [przypis edytorski]

³⁴Temple — średniowieczna forteca zakonu templariuszy, położona w centrum Paryża; po rozwiązaniu zakonu stała się jedną z rezydencji królewskich, podczas rewolucji francuskiej została przekształcona w więzienie polityczne. [przypis edytorski]

Wskutek przeniesienia królowej do więzienia Conciergerie oficer potrzebował dwóch miesięcy, żeby spełnić powierzoną mu misję. W końcu po wielu trudnościach udało mu się pewnego dnia stanąć przed Marią Antoniną³⁵.

Powiedział jej tak, że mogła wyraźnie usłyszeć:

— Od świętej pamięci króla dla Waszej Królewskiej Mości i jej syna.

I podał jej zapieczętowany list.

Upewniła się, że straż nie może jej widzieć, złamała pieczęcie, zdawała się zaskoczona na widok tych niemożliwych do odczytania wierszy, a potem nagle zrozumiała.

Uśmiechnęła się gorzko i oficer usłyszał te słowa:

— Czemu tak późno?

Potem zawahała się. Gdzie schować niebezpieczny dokument? Wreszcie otworzyła swój modlitewnik i wsunęła karteczkę w tajemny schowek, umieszczony między skórą oprawy a pergaminem, który ją pokrywał.

— Czemu tak późno?... — powiedziała.

Prawdopodobnie ten dokument, jeśli mógł jej przynieść ocalenie, przyszedł rzeczywiście za późno, gdyż w październiku następnego roku z kolei królowa Maria Antonina weszła na szafot.

Otóż ten oficer, przeglądając papiery swej rodziny, znalazł rękopis swego pradziadka. Od tej chwili nosił się z tylko jedną myślą: poświęcić się wyjaśnieniu tej osobliwej zagadki. Przeczytał wszystkich autorów łacińskich, przejrzał wszystkie kroniki francuskie i krajów ościennych, zachodził do klasztorów, odczytywał księgi rachunkowe, archiwa kościelne, rozprawy, dzięki czemu zdołał znaleźć kilka cytatów rozproszonych po różnych wiekach.

W III księdze komentarzy Cezara o wojnie galijskiej³⁶ opowiedziano, że po klęsce Viridovixa, zadanej mu przez G. Titulliusa Sabinusa, naczelnika Caletów przyprowadzono przed Cezara i aby się okupić, wyjawił tajemnicę Iglicy...

Traktat z Saint-Clair-sur-Epte³⁷ między Karolem Prostakiem a Rollonem, naczelnikiem barbarzyńców północnych, dołącza jego do imienia wszystkie tytuły, między którymi czytamy: „pan tajemnicy Iglicy”.

*Kronika saksońska*³⁸ (wydanie Gibsona, str. 143), mówiąc o Wilhelmie Zdobywcy³⁹, opowiada, że drzewce jego sztandaru kończyło się ostrzem przebitym jak iglica.

W dosyć niejasnym zdaniu swego protokołu Joanna d'Arc zeznaje, że ma jeszcze powiedzieć jedną tajemną rzecz królowi Francji, na co sędziowie odpowiadają jej: „Tak, wiemy, o co chodzi, i dlatego właśnie, Joanno, zginiesz”.

Na Iglicę przysięga kilkakrotnie dobry król Henryk IV.

³⁵ *Maria Antonina* (1755–1793) — żona Ludwika XVI, córka Marii Teresy, cesarzowej austriackiej; święta w czasie Rewolucji Francuskiej. [przypis edytorski]

³⁶ *O wojnie galijskiej* (łac. *Commentarii de bello Gallico*) — napisana w trzeciej osobie relacja Juliusza Cezara o prowadzonych przez niego wojnach galijskich (58–50 p.n.e.), które zakończyły się podbojem Galii (ob. Francja i Belgia) i włączeniem jej do państwa rzymskiego. [przypis edytorski]

³⁷ *Traktat z Saint-Clair-sur-Epte* — zawarty w 911 pomiędzy zachodniofrankijskim królem Karolem III Prostakiem z dynastii Karolingów francuskich a wodzem Normanów (wikingów) Haraldem Rollonem; nadawał Rollonowi opalone przez niego ziemie w północnej części królestwa (zwane Normandią) w zmian za przyjęcie chrześcijaństwa i uznanie Karola III swoim seniorem. [przypis edytorski]

³⁸ *Kronika saksońska* (łac. *Chronicon Saxonicum*) — tytuł opublikowanego w 1692 przez Edwarda Gibsona wydania *Kroniki anglosaskiej*, zbioru roczników przedstawiających dzieje anglosaskiej Brytanii, skompilowanego pod koniec IX w., kontynuowanego aż do roku 1154. [przypis edytorski]

³⁹ *Wilhelm Zdobywca* (ok. 1028–1087) — władca francuskiej Normandii, który w 1066 najechał Anglię, zwyciężył w bitwie pod Hastings i zdobył tron angielski. [przypis edytorski]

Przedtem Franciszek I⁴⁰, przemawiając do notabli⁴¹ Hawru w roku 1520, wygłosił to zdanie, które przekazuje nam dziennik pewnego mieszkańca z Honfleur:

„Królowie Francji piastują tajemnice, które decydują o biegu rzeczy i losach miast”.

Wszystkie te cytaty, Panie Redaktorze Naczelny, wszystkie opowiadania, dotyczące Żelaznej Maski, kapitana gwardii i jego prawnuka, odnalazłem dziś w broszurze napisanej właśnie przez tego prawnuka i ogłoszonej w czerwcu 1815 roku, w przeddzień lub dzień po bitwie pod Waterloo⁴², to znaczy w okresie przewrotów, w którym rewelacje w niej zawarte musiały przejść niespostrzeżenie.

Co warta ta broszura? Nic, powie mi pan, i nie powinniśmy jej wcale wierzyć. Takie też było moje pierwsze wrażenie. Lecz jakże się zdumiałem, kiedy otworzywszy *Komentarze Cezara*, w podanym rozdziale znalazłem zwrot podany w broszurze! To samo dotyczy *Kroniki saksońskiej*, traktatu Saint-Clair-sur-Epte, protokołu Joanny d'Arc, słowem wszystkiego, co udało mi się dotąd zbadać.

Wreszcie autor broszury z r. 1815 podaje jeszcze jeden precyzyjniejszy fakt. Podczas kampanii francuskiej, służąc jako oficer napoleoński, zadzwonił pewnego wieczora, ponieważ koń mu zginął, do bramy pewnego zamku, gdzie został przyjęty przez starego kawalera Świętego Ludwika.

Stopniowo, gawędząc ze starszym, dowiedział się, że ten zamek, położony na brzegu Wydrążonej⁴³, nazywa się zamkiem Iglicy, że został zbudowany i ochrzczony przez Ludwika XIV⁴⁴ i że na wyraźny rozkaz wielkiego króla został ozdobiony wieżyczkami i ostrzem w kształcie igły. Była opatrzona datą, którą powinna nadal nosić: 1680.

1680! Rok po ogłoszeniu książki i uwięzieniu Żelaznej Maski. Wszystko się wyjaśniło. Ludwik XIV, przewidując, że tajemnica mogłaby się roznieść, wybudował i ochrzcił ten zamek, żeby ciekawskim podsunąć naturalne wyjaśnienie starodawnej tajemnicy. Wydrążona Iglica? Zamek z ostrymi wieżyczkami, położony nad brzegiem Wydrążonej i należący do króla. Od razu pomyślano by, że zagadka rozwiązana i ustałyby poszukiwania.

Kalkulacja była słuszna, gdyż po przeszło dwóch wiekach p. Beautrelet popadł w pułapkę. I do tego właśnie chciałem dojść, Panie Redaktorze, pisząc ten list. Jeśli Lupin pod nazwiskiem Anfredi wynajął od pana Valmérias zamek Iglicy na brzegu Wydrążonej i tam umieścił swych dwoje więźniów, to dlatego, że przyznał powodzenie nieuniknionym poszukiwaniom pana Beautreleta i pragnąc osiągnąć pokój, którego potrzebował, rozciągnął właśnie na pana Beautreleta to, co możemy nazwać pułapką historyczną Ludwika XIV.

I tak dochodzimy do tej niezaprzeczonej konkluzji, że to on, Lupin, jedynie mocą swej inteligencji, nie znając innych faktów prócz tych, które znamy, doszedł drogą prawdziwie genialnej spekulacji do odczytania nieczytelnego dokumentu, to znaczy, że Lupin, ostatni dziedzic królów francuskich, zna królewską tajemnicę Wydrążonej Iglicy.

⁴⁰Franciszek I Walezjusz (1494–1547) — z gałęzi orleańskiej Walezjuszów, król Francji od 1515. [przypis edytorski]

⁴¹notabl — powszechnie znany i szanowany obywatel jakiegoś miasta; w przedrewolucyjnej Francji: członek rady królewskiej, złożonej z przedstawicieli szlachty, duchowieństwa i mieszczan. [przypis edytorski]

⁴²bitwa pod Waterloo (18 czerwca 1815) — stoczona na terenie Belgii ostatnia bitwa cesarza Napoleona Bonapartego, w której armia francuska została zniszczona przez koalicyjne wojska angielskie Wellingtona i wojska pruskie Blüchera; w wyniku klęski Napoleon abdykował, co zakończyło okres rewolucji francuskiej i wojen napoleońskich. [przypis edytorski]

⁴³Wydrążonej — rzeki Creuse. [przypis tłumacza]

⁴⁴Ludwik XIV (1638–1715) — król Francji (od 1643), zwany „Królem Słońce”, panujący w okresie szczytowego rozwoju francuskiej monarchii absolutnej. [przypis edytorski]

Tu kończył się artykuł. Lecz od kilku minut, od zdania odnoszącego się do Iglicy, już nie Beautrelet go odczytywał. Zrozumiał, że swą klęskę, przygnieciony ciężarem doznanego upokorzenia, wypuścił gazetę z ręki, opadł na krzesło i ukrył twarz w dłoniach.

Tłum, wzburzony tą niewiarygodną historią, zbliżał się z wolna i otoczył Beautreleta.

Z dreszczem niepokoju czekano na słowa, którymi odpowie, na zarzuty, które podniesie.

Nie poruszył się.

Valmérés łagodnym ruchem rozprostował jego ramiona i podniósł mu głowę.

Izydor Beautrelet płakał.

ROZDZIAŁ VII. TRAKTAT O IGLICY

Czwarta rano. Izydor nie wrócił do liceum. Nie wróci tam, dopóki nie skończy nieubłaganej walki, którą wydał Lupinowi. Przysiągł to sobie w duchu, gdy jego przyjaciele wieźli go powozem, zupełnie omdlałego i zgnębnego.

Szalona przysięga! Walka głupia i nielogiczna! Cóż zdoła zrobić, on, osamotniony, bezbronny dzieciak, wobec tego fenomenu energii i potęgi?

Gdzie go zaatakować? On jest niemożliwy do zaatakowania. Gdzie go zranić? Jest nie do zranienia. Gdzie go osiągnąć? Jest nieuchwytny.

Czwarta rano... Izydor znowu zatrzymał się u swego kolegi z liceum Janson. Stojąc przed kominkiem w swoim pokoju, łokciami oparty o marmur, z brodą na pięściach, patrzy na swoje odbicie w lustrze.

Nie płacze już i nie chce więcej płakać ani wic się na łóżku, ani rozpaczać, co czynił od dwóch godzin. Chce myśleć, myśleć i rozumieć.

Nie spuszcza oczu ze swoich oczu w lustrze, jak gdyby spodziewał się podwoić siłę swej myśli, oglądając swój zamysłony obraz, jak gdyby spodziewał się znaleźć w głębi swej istoty rozwiązanie, którego nie może znaleźć w sobie.

Tak stoi aż do szóstej. I oto powoli, stopniowo cała kwestia, pozbawiona szczegółów, które ją wikłają i zaciemniają, przedstawia się jego umysłowi zupełnie sucha, naga, ścisła jak równanie.

Tak. Pomylił się. Tak. Jego interpretacja dokumentu jest fałszywa. Wyraz „iglica* nie oznacza wcale zamku nad brzegiem Wydrążonej. Tak samo wyraz „panieński” (o ile nie „zamejski”) nie może odnosić się do panny Rajmundy de Saint-Véran i jej kuzynki, gdyż tekst sięga wielu wieków wstecz.

Więc wszystko trzeba zacząć na nowo.

Jak?

Jedynym solidnym fundamentem dowodzenia byłaby książka opublikowana za Ludwika XIV. Ze stu egzemplarzy wydrukowanych przez tego, który, jak się zdaje, był Żelazną Maską, jedynie dwa uniknęły płomieni. Jeden zabrał kapitan gwardii i utracił. Drugi zachował Ludwik XIV, potem przekazał Ludwikowi XV⁴⁵, a spalił go Ludwik XVI. Lecz istnieje kopia zasadniczej stronicy, która zawiera rozwiązanie problemu, a przynajmniej rozwiązanie kryptograficzne. Została zanesiona Marii Antoninie i schowana przez nią w modlitewniku.

Co się stało z tym papierem? Czy to jest ten, który Beautrelet trzymał w swych rękach, a który z rozkazu Lupina zabrał mu pisarz Brédoux? Czy też znajduje się on nadal w modlitewniku Marii Antoniny?

I w ten sposób kwestia sprowadza się do pytania: Co stało się z modlitewnikiem Marii Antoniny?

Po krótkim odpoczynku Beautrelet zapytał o modlitewnik przyjaciela swego ojca, emerytowanego kolekcjonera, wzywano go często jako rzeczoznawca, którego właśnie niedawno dyrektor jednego z naszych muzeów zaprosił do uporządkowania katalogu.

⁴⁵Ludwik XV (1710–1774) — król Francji (od 1715) z dynastii Burbonów, prawnuk i następca Ludwika XIV; pod jego rządami podupadła gospodarka i finanse państwa. [przypis edytorski]

— Modlitewnik Marii Antoniny? — zawołał. — Ależ królowa przekazała go swej pokojowej, z tajemnym poleceniem oddania go hrabiemu Fersen. Z nabożeństwem przechowywany w rodzinie hrabiego, znajduje się od pięciu lat w pewnej gablotce.

— W gablotce?

— W muzeum Carnavalet.

— A to muzeum będzie otwarte?...

— Za dwadzieścia minut, jak co dzień rano.

Izydor i jego przyjaciel wysiedli z dorożki w chwili otwarcia bramy starego domu pani de Sévigné.

— Ach, pan Beautrelet!

Tuzin głosów powitał jego przybycie. Ku swemu ogromnemu zdziwieniu rozpoznał całą grupę reporterów, którzy śledzili bieg „sprawy Wydrążonej Iglicy”. A jeden z nich zawołał:

— To zabawne, mieliśmy wszyscy ten sam pomysł. Może jest między nami Arsène Lupin.

Weszli wszyscy razem. Dyrektor, powiadomiony natychmiast, oddał się na ich usługi, zaprowadził ich do gablotki i pokazał im ubogi tomik, bez najmniejszej ozdoby, z pewnością niemający w sobie nic królewskiego.

Mimo to ogarnęło ich pewne wzruszenie na widok książki, której dotykała królowa w dniach tak tragicznych, którą oglądały jej oczy zaczerwienione od łez... Nie odważyli się wziąć jej i przeglądać, jak gdyby doznawali uczucia świętokradztwa...

— No, panie Beautrelet, to zadanie przypada panu.

Trwożliwym gestem wziął książkę. Jej wygląd w pełni odpowiadał opisowi autora broszury. Najpierw okładka z pergaminu, pergaminu zabrudzonego, szerniałego, miejscami wytartego, a pod nim prawdziwa oprawa z twardej skóry.

Z jakimż drżeniem Beautrelet szukał schowka! Czy to była bajka? Czy też znajdzie jeszcze dokument napisany przez Ludwika XVI i przekazany przez królową swemu żarliwemu przyjacielowi?

Na pierwszej stronie, w części górnej książki nie było żadnego schowka.

— Nic — mruknął.

— Nic — jak echo powtórzyli za nim ze drżeniem serc obecni.

Jednak na ostatniej stronie, kiedy rozwarł książkę trochę mocniej, zobaczył natychmiast, że pergamin odstaje od oprawy. Wsunął palce... Coś jest... Tak, czuł, że coś jest... Papier...

— O! — zawołał z tryumfem. — Jest... Czy to możliwe?

— Prędko! Prędko! — zaczęli wołać do niego. — Na co pan czeka?

Wyciągnął złożoną na pół kartkę.

— No, niechże pan czyta!... Tam są słowa napisane czerwonym atramentem... O... można by powiedzieć, że krwią... całkiem bładą krwią... Niechże pan czyta!...

Zaczął czytać.

Panu, panie Fersen. Dla mego syna. 16 października 1793.

Maria Antonina

I nagle Beautrelet wydał okrzyk zdumienia. Pod podpisem królowej były... były napisane czarnym atramentem dwa słowa, podkreślone zawijasem dwa słowa: „Arsène Lupin”.

Wszyscy po kolei brali kartkę i wydawali ten sam okrzyk:

— Maria Antonina... Arsène Lupin.

Zapanowało głębokie milczenie. Te dwa podpisy, te dwa połączone nazwiska, odnalezione w modlitewniku, w tej relikwii, w której spało od przeszło wieku rozpaczliwe wezwanie biednej królowej, ta straszna data 16 października 1793 roku, dzień, w którym padła królewska głowa, wszystko to było poosepnie tragiczne.

— Arsène Lupin — jękał jakiś głos, podkreślając w ten sposób to, co było przerażającego w widoku tego diabelskiego nazwiska na dole uświęconej kartki.

— Tak, Arsène Lupin — powtórzył Beautrelet. — Przyjaciół królowej nie zrozumiał wezwania konającej... Żył z pamiętką, którą mu zostawiła ta, którą kochał, i nie odgadnął znaczenia tej pamiętki. Lupin odkrył wszystko i zabrał...

— Zabrał co?

— Dokument! Dokument napisany przez Ludwika Szesnastego. I to ten dokument miałem w rękach. Ten sam wygląd, ten sam układ, te same ślady pieczęci. Rozumiem, czemu Lupin nie chciał mi zostawić dokumentu, z którego mogłem skorzystać przez samo zbadanie papieru.

— A więc?

— A więc, ponieważ dokument, którego tekst znam, jest autentyczny, ponieważ widziałem na własne oczy ślady czerwonych pieczęci, ponieważ sama Maria Antonina poświadcza własnoręcznym podpisem, że całe opowiadanie o broszurze streszczonej przez pana Massiban jest autentyczne, ponieważ naprawdę istnieje historyczny problem Wydrążonej Iglicy, jestem pewny, że mi się powie.

— Jak? Czy ten dokument jest autentyczny czy nie, jeśli nie zdoła go pan odczytać, na nic się panu nie przyda, gdyż Ludwik Szesnasty zniszczył książkę, która zawierała wyjaśnienie.

— Tak, ale drugi egzemplarz, wyrwany z płomieni przez kapitana gwardii Ludwika Czternastego, nie uległ zniszczeniu.

— Skąd pan o tym wie?

— Proszę mi udowodnić, że jest inaczej.

Beautrelet zamilkł, potem powoli, z zamkniętymi oczyma, jakby starał się sprecyzować i zebrać myśli, mówił:

— Posiadacz tajemnicy, kapitan gwardii, podaje jej cząstki w dzienniku, który odnajduje jego prawnuk. Potem cisza. Rozwiązania zagadki nie podaje. Dlaczego? Ponieważ pokusa skorzystania z tajemnicy nęka go coraz bardziej i wreszcie jej ulega. Dowód? Jego zamordowanie. Dowód? Znaleziony przy nim wspaniały klejnot, który bez wątplenia wziął z owego królewskiego skarbu, którego kryjówka, nieznaną nikomu, stanowi właśnie tajemnicę Wydrążonej Iglicy. Lupin mi o tym powiedział. Lupin nie kłamał.

— Więc z tego pan wnosi, panie Beautrelet?...

— Wnoszę z tego, moi przyjaciele, że należy nadać tej sprawie jak największy rozgłos, żeby za pośrednictwem gazet dotarło do ogólnej wiadomości, że poszukujemy książki zatytułowanej *Traktat o Iglicy*. Może odnajdzie się gdzieś w głębi jakiejś prowincjonalnej biblioteki.

Natychmiast zredagowano notatkę i Beautrelet od razu, nie czekając, czy odniesie ona jakiś skutek, zabrał się do rzeczy.

Początek tropu nastęczał się sam: kapitana zamordowano w okolicach Gaillon. Udał się tam tego samego dnia. Oczywiście nie liczył na rekonstrukcję zbrodni dokonanej dwieście lat wcześniej. Jednak mimo wszystko istnieją przecież pewne zbrodnie, które pozostawiają ślady we wspomnieniach, w tradycjach okolicy. Odnotowują je lokalne kroniki. Pewnego dnia jakiś prowincjonalny erudyta⁴⁶, jakiś miłośnik starych legend, jakiś badacz drobnych zdarzeń z minionego życia czyni je tematem artykułu w gazecie albo komunikatu lokalnej uczelni.

Odwiedził trzech czy czterech takich erudytów. Szczególnie z jednym z nich, starym notariuszem, szperał i przeszukiwał rejestry więzienne, rejestry dawnych urzędów i księgi parafialne. Żadna z notatek nie wspominała o zabójstwie kapitana gwardii w XVII wieku.

Nie zniechęcił się i kontynuował poszukiwania w Paryżu, gdzie być może prowadzono śledztwo w tej sprawie. Jednak bez skutku.

Myśl o nowym tropie pchnęła go na inną drogę. Czy nie dałoby się poznać nazwiska tego kapitana, którego wnuk wyemigrował, a prawnuk służył w armii republiki i został przydzielony do więzienia Temple podczas uwięzienia rodziny królewskiej?

⁴⁶erudyta — człowiek mający rozległe, wszechstronne wykształcenie, wiedzę książkową. [przypis edytorski]

Dzięki cierpliwej pracy zdołał sporządzić listę, na której dwa nazwiska wykazywały prawie całkowite podobieństwo: pana de Larbeyrie za Ludwika XIV i obywatela Larbrie w czasach terroru.

Był to już ważny punkt. Sprecyzował go w notatce, którą posłał do gazet, pytając za ich pośrednictwem, czy ktoś mógłby mu podać jakieś wskazówki co do tego Larbeyrie lub jego następców.

Odpowiedział mu pan Massiban, ten sam Massiban, członek Instytutu, który poinformował o broszurze.

Szanowny Panie!

Podaję Panu ustęp Voltaire'a⁴⁷, który odnalazłem w jego rękopisie *Wiek Ludwika XIV* (rozdział XXV, osobliwości i anegdota rządowe). Ustęp ten opuszczono w różnych wydaniach.

„Słyszałem, że opowiadano nieżyjącemu już p. de Caumartin, intendentowi finansów i przyjacielowi ministra Chamillarda, że król pewnego dnia wyjechał nagle w swej karecie na wieść, że p. de Larbeyrie został zamordowany i ograbiony ze wspaniałych klejnotów. Był ogromnie wzburzony i powtarzał: »Wszystko stracone... wszystko stracone...«. Następnego roku syn tego Larbeyrie i jego córka, która wyszła za markiza de Vélines, zostali wygnani ze swych posiadłości w Prowansji i Bretanii. Niewątpliwie jest w tym coś szczególnego”.

Ze swej strony dodam, że p. de Chamillard według Voltaire'a był ostatnim ministrem, który znał dziwną tajemnicę *Żelaznej Maski*.

Widzi więc pan korzystne wnioski, które można wyciągnąć z tego ustępu, i widoczny związek, zachodzący między tymi dwoma przygodami. Co do mnie, nie ośmielałem się wysuwać zbyt konkretnych hipotez co do zachowania się, podejrzeń i obaw Ludwika XIV w tych okolicznościach, lecz czyż nie wolno z drugiej strony przypuszczać, wobec tego, że p. de Larbeyrie zostawił syna, prawdopodobnie obywatela-oficera Larbrie, i córkę, czyż nie wolno, powtarzam, przypuszczać, iż pewna część papierów po Larbeyrie przypadła tej córce i że wśród tych papierów znajdował się ów sławny egzemplarz, który kapitan gwardii ocalił od płomieni?

Zbadałem rocznik zamków. Otóż w okolicy Rennes mieszka niejaki baron de Vélines. Czyżby to był potomek markiza?

Na wszelki wypadek wczoraj napisałem do niego, czy nie posiada jakiejś starej książeczki, której tytuł zawierałby wyraz „iglica”. Czekam na jego odpowiedź.

Z największą przyjemnością porozmawiałbym z panem o tych sprawach. Jeśli to dla pana nie kłopot, proszę mnie odwiedzić. Proszę przyjąć itd. itd.

PS. Naturalnie nie podaję do gazet tych drobnych odkryć. Teraz, kiedy pan zbliża się do celu, konieczna jest zupełna dyskrecja.

Beautrelet był tego samego zdania. Poszedł nawet dalej: dwóm dziennikarzom, następującym go tego rana, podał najbardziej fantastyczne informacje co do stanu swych badań i swych planów.

Po południu poszedł spieszenie do pana Massiban, który mieszkał przy quai Voltaire 17. Ku swemu wielkiemu zdumieniu dowiedział się, że Massiban właśnie niespodzianie wyjechał, zostawiając mu kilka słów, w razie gdyby się zjawił.

Izydor rozpieczętował i przeczytał:

Otrzymałem depezę budzącą we mnie pewną nadzieję. Zatem wyjeżdżam i przenocuję w Rennes. Pan mógłby wsiąść do wieczornego pociągu i nie zatrzymując się w Rennes, dojechać aż do małej stacji Vélines. Spotkamy się w zamku, położonym o cztery kilometry od tej stacji.

⁴⁷Voltaire, pol. Wolter, właśc. François-Marie Arouet (1694–1778) — filozof, publicysta i wolnomysliciel francuski epoki oświecenia. [przypis edytorski]

Plan podobał się Beautreletowi, a zwłaszcza podobała mu się myśl, że przybędzie do zamku prawie w tym samym czasie, co Massiban, gdyż obawiał się jakiegoś głupstwa ze strony niedoświadczonego człowieka.

Wrócił do swego przyjaciela i spędził z nim resztę dnia. Wieczorem wsiadł do ekspresu do Bretanii. O szóstej wysiadł w Vélines.

Przebył te cztery kilometry pieszo, wśród gęstych drzew. Z daleka spostrzegł na wzniesieniu dosyć niejednolity zamek, mieszaninę renesansu i stylu z epoki Ludwika Filipa⁴⁸, mimo to wyglądający okazańie ze swymi czterema wieżyczkami i zwodzonym mostem, który porósł bluszczem.

Izydorowi serce zaczęło bić mocniej, kiedy się zbliżał do zamku. Czy faktycznie docierał do końca swej drogi? Czy w zamku znajdował się klucz do tajemnicy?

Zdejmował go pewien lęk. Wszystko to wydawało mu się zbyt piękne i zadawał sobie pytanie, czy i tym razem nie spełnia jakiegoś piekielnego planu wymyślonego przez Lupina, czy na przykład Massiban nie był narzędziem w rękach jego wroga.

Wybuchnął śmiechem.

— Ejże, zaczynam być komiczny. Jak gdyby ten Lupin był rzeczywiście nieomylny, wszystko przewidujący, rodzaj wszechmocnego bóstwa, przeciw któremu nie ma żadnej rady. Tam do diabła! Lupin może się mylić, Lupin też jest na łasce okoliczności, Lupin popełnia błędy, przecież zgubił ten dokument, dzięki któremu zaczynam brać nad nim górę. Wszystko z tego właśnie wynika i wszelkie jego wysiłki mają ostatecznie za cel naprawienie tego błędu.

I z radością, pełen zaufania, Beautrelet zadzwonił do drzwi.

— Pan sobie życzy? — zapytał go służący, który zjawił się w drzwiach.

— Czy baron de Vélines może mnie przyjąć?

I podał swój bilet.

— Pan baron jeszcze nie wstał, ale jeśli zechce pan zaczekać...

— Czy nie pytał tu już ktoś o pana barona, taki pan z siwą brodą, trochę zagiętą? — rzekł Beautrelet, który znał Massibana z fotografii podanych przez dzienniki.

— Tak, ten pan przyszedł przed dziesięcioma minutami; wprowadziłem go do salonu. Jeśli pan zechce również pójść za mną...

Spotkanie Massibana i Beautreleta było bardzo serdeczne. Izydor podziękował starszemu za pierwszorzędnej wagi wskazówki, które mu zawdzięczał, a Massiban wyraził mu swój najgorętszy podziw. Potem wymienili się wrażeniami na temat dokumentu i szans odkrycia książki, a Massiban powtórzył to, co w Rennes słyszał o panu de Vélmes. Był to człowiek sześćdziesięcioletni, który jako wdowiec od wielu lat żył w zupełnym odosobnieniu wraz z swą córką, Gabriellą de Villemon, którą okrutnie dotknęła strata męża i starszego syna, zmarłych w wypadku samochodowym.

— Pan baron prosi panów na górę.

Służący poprowadził ich na pierwsze piętro, do wielkiego pokoju o gołych ścianach, skromnie umeblowanego biurkami, szafkami i stołami pokrytymi papierami i księgami rachunkowymi.

Baron przyjął ich z wielką uprzejmością i z tą wielką potrzebą mówienia, której doznają ludzie zbyt samotni. Mieli dużo kłopotu z wyłożeniem powodu swych odwiedzin.

— A, tak, wiem, to pan w tej sprawie do mnie pisał, panie Massiban. Chodzi o książkę dotyczącą jakiejś iglicy, którą powinienem był odziedziczyć po przodkach, czy tak?

— Istotnie.

— Powiadam panu, że najzupełniej rozszedłem się ze swymi przodkami. Dziwaczne idee mewano w tamtych czasach. Ja jestem dzieckiem swojej epoki. Zerwałem z przeszłością.

— Dobrze — zauważył zniecierpliwiony Beautrelet — ale czy przypomina pan sobie, czy widział pan kiedykolwiek taką książkę?...

⁴⁸Ludwik Filip (1773–1850) — ostatni król Francji z dynastii Burbonów, panował w latach 1830–1848. [przypis edytorski]

— Ależ tak, przecież telegrafowałem panu — zawołał, zwracając się do Massibana, który rozdrażniony chodził po pokoju tam i z powrotem i wyglądał przez wysokie okna. — Ależ tak... a przynajmniej zdawało się mojej córce, że widziała ten tytuł pośród tysięcy książek zawalających bibliotekę, tam na górze... Gdyż dla mnie, panowie, lektura... Ja nie czytam nawet gazet... Moja córka czasami, i to chyba tylko wówczas, kiedy mały Jurek, synek, który jej został, ma się dobrze... A ja, żeby mi tylko wpływały czynsze, żeby moje dobra były w porządku!... Widzicie, panowie, moje księgi rachunkowe, ja w nich żyję i przyznam się panom, że absolutnie nie znam początku tej historii, o której mi pan pisał w liście, panie Massiban...

Izydor Beautrelet, podrażniony tą gadaniną, przerwał mu niegrzecznie:

— Przepraszam pana, ale ta książka...

— Moja córka jej szukała, szukała od wczoraj.

— No i?

— No i znalazła ją, godzinę temu czy dwie. Kiedyście panowie przybyli...

— A gdzież ona jest?

— Gdzie ona jest? Ależ położyła ją na tym stole, tam...

Izydor zerwał się. Na końcu stołu, na bezładnej kupie papierów leżała mała książeczka oprawiona w różowy safian⁴⁹. Położył na niej gwałtownie pięść, jakby zabraniał, żeby ktokolwiek dotknął książki... a trochę też tak, jakby sam nie miał odwagi jej wziąć.

— No! — zawołał Massiban, cały rozgorączkowany.

— Mam ją... jest tu.

— Ale tytuł... Czy jest pan pewny?

— Więc niech pan spojrzy!

Pokazał mu złote litery wybite na safianie: „Tajemnica Wydrążonej Iglicy”.

— Czy jest pan przekonany? Czy jesteśmy nareszcie panami tajemnicy?

— Pierwsza strona... Co jest na pierwszej stronie?...

— Proszę czytać: „Cała prawda wyjawiona po raz pierwszy. Sto egzemplarzy wydrukowanych przeze mnie samego i dla pouczenia Dworu”.

— To to, to to — mruknął Massiban zmienionym głosem. — To jest egzemplarz wydarty płomieniom! To jest ta książka, którą potępił Ludwik Czternasty.

Zaczęli ją przeglądać. Pierwsza połowa dotyczyła spraw, które streścił w swym dzienniku kapitan de Larbeyrie.

— Idźmy dalej, idźmy dalej — powiedział Beautrelet, któremu było pilno do rozwiązania.

— Jak to, idźmy dalej? Ależ wcale nie. Wiemy już, że człowiek w Żelaznej Masce został uwięziony, ponieważ znał i chciał rozpowszechnić tajemnicę francuskiego domu królewskiego. Lecz w jaki sposób ją poznał? I czemu chciał ją rozpowszechnić? Czy to był przyrodni brat Ludwika Czternastego, jak twierdził Voltaire, czy też włoski minister Mattioli⁵⁰, jak powiada krytyka nowożytna? Dalibóg, to są kwestie pierwszorzędnej wagi!

— Później, później — protestował Beautrelet, jak gdyby obawiał się, żeby mu książka nie uciekła przed poznaniem zagadki.

— Ależ... — opierał się Massiban, którego interesowały szczegóły historyczne.

— Mamy czas... później... Zobaczmy najpierw wyjaśnienie.

Nagle Beautrelet zatrzymał się. Dokument! Na środku stronicy, po lewej, zobaczył owe pięć tajemniczych wierszy punktów i cyfr! Jednym spojrzeniem stwierdził, że to był ten sam tekst, który tak mozolnie studiował. To samo rozłożenie znaków, te same odstępy.

Poprzedzała go krótka uwaga:

Jak się zdaje, wszystkie konieczne wskazówki zostały zredukowane przez króla Ludwika XIII do małego obrazka, który poniżej kopiuję.

Potem następował obrazek.

A dalej samo wyjaśnienie dokumentu.

Beautrelet czytał urywanym głosem:

⁴⁹safian — zabarwiona kozia skóra. [przypis edytorski]

⁵⁰Mattioli, Ercole Antonio (1640–1694) — włoski polityk, minister księcia Ferdynanda Karola Gonzagi z Mantui; porwany i uwięziony przez króla Francji Ludwika XIV, utożsamiany tajemniczym więźniem zwanym Człowiekiem w Żelaznej Masce. [przypis edytorski]

Jak widzimy, obrazek ten, chociaż się nawet zamieni cyfry na samogłoski, nie daje żadnego wyjaśnienia. Można by rzec, że do odszyfrowania tej zagadki, trzeba ją najpierw znać. Jest to raczej nitka, podana tym, którzy już znają ścieżki labiryntu.

— Weźmy tę nić i idźmy, ja będę prowadził.

Najpierw wiersz czwarty. Czwarty wiersz zawiera rozmiary i wskazówki. Opierając się na tych wskazówkach i rozmiarach, dochodzi się pewnie do celu, oczywiście pod tym warunkiem, że się wie, gdzie się jest i dokąd się idzie, słowem, jeśli się zna prawdziwe znaczenie Wydrążonej Iglicy. O tym można dowiedzieć się z trzech pierwszych wierszy. Pierwszy z nich jest tak ułożony... zemścić się na królu, którego zresztą uprzedziłem...

Beautrelet zatrzymał się, osłupiał.

— Cóż tam? Co tam takiego? — pytał Massiban.

— To nie ma sensu!

— Rzeczywiście — potwierdził Massiban. — „Pierwszy z nich jest tak ułożony zemścić się na królu...” Cóż to ma znaczyć?

— Ach, do krośset! — krzyknął Beautrelet.

— Co takiego?

— Wyrwane! Dwie kartki! Dwie następne kartki!... Niech pan zobaczy ślady!...

Trząśnął się, rozwścieczony rozczarowaniem. Massiban nachylił się.

— Prawda... Zostały strzępki z dwóch kartek. Ślady, zdaje się, dosyć świeże. Tęgo nie wycięto... to wydarto... wydarto gwałtownie... Niech pan spojrzy, wszystkie końcowe kartki zostały pogniecione.

— Ale kto? Kto? — jęczał Izydor, załamując dłonie. — Służący? Czy jakiś współnik?

— Mimo wszystko mogło się to zdarzyć przed kilkoma miesiącami — zauważył Massiban.

— No dobrze... dobrze... ale przecież ktoś musiał wyszperać, musiał mieć tę książkę!...

Panie — zawołał Beautrelet, zwracając się do barona — czy pan nic o tym nie wie?... Nie podejrzewa pan nikogo?...

— Możemy spytać się mojej córki.

— O tak... Może ona będzie wiedziała...

Pan de Vélines zadzwonił na pokojowego. Po kilku minutach weszła pani de Villemont. Była to młoda kobieta o bolesnej, zrezygnowanej twarzy. Beautrelet zapytał ją natychmiast:

— Czy to pani znalazła tę książkę na górze w bibliotece?

— Tak, w pakiecie książek, który nie był nigdy tykany.

— I czytała ją pani?

— Tak, wczoraj wieczór.

— Kiedy ją pani czytała, czy brakowało tych dwóch kartek? Niech sobie pani dobrze przypomni, te dwie kartki, które następowały po tej tabliczce z cyframi i punktami?

— Ależ nie, ależ nie — odpowiedziała bardzo zdumiona. — Nie brakowało żadnej strony.

— I widzi pani, wydarto...

— Ależ książka była przez całą noc w moim pokoju.

— A dziś rano?

— Dziś rano sama ją tu zniosłam, kiedy oznajmiono przybycie pana Massiban.

— Więc?

— Więc nic nie rozumiem... Chyba, żeby... ale nie...

— Co?

— Jurek... mój syn... dziś rano... Jurek bawił się tą książką.

Wyszła szybko, a za nią Beautrelet, Massiban i baron. Chłopczyka nie było w jego pokoju. Szukano go wszędzie. Nareszcie znaleziono go bawiącego się za zamkiem. Ale te trzy osoby wyglądały na tak poruszone i zapytano go z taką stanowczością, że wybuchnął płaczem.

Wszyscy biegali tu i tam. Wypytywano służbę. Robił się rwetes nie do opisania.

Beautrelet miał straszliwe wrażenie, że prawda wymyka mu się jak woda przeciekająca pomiędzy palcami.

Z wielkim wysiłkiem zapanował nad sobą, podał ramię pani de Villemon i poszli wraz z baronem i Massibanem do salonu. Tam powiedział do niej:

— Książka jest niekompletna, no dobrze, dwie kartki wydarte... ale przecież pani je przeczytała, prawda?

— Tak.

— Wie pani, co zawierały?

— Tak.

— Czy potrafiłaby pani to powtórzyć?

— Najzupełniej. Przeczytałam całą książkę z dużą ciekawością, ale te dwie strony szczególnie mnie uderzyły, gdyż wyjawiały nadzwyczaj ciekawe rzeczy.

— Więc niechże pani mówi, zaklinam panią. To, co ujawniają, ma wyjątkowe znaczenie. Niech pani mówi, błagam panią; stracone minuty nie wracają. Wydrążona Iglica...

— Ach, to całkiem proste. Wydrążona Iglica oznacza...

W tej chwili wszedł służący.

— List dla pani.

— A posłaniec... odszedł?

— To mi oddał jakiś ulicznik.

Pani de Villemon rozpieczętowała, przeczytała i bliska omdlenia, chwyciła się ręką pod serce.

Papier wysunął się z jej ręki na ziemię. Beautrelet podniósł go i nie usprawiedliwiwszy się nawet, przeczytał:

Proszę milczeć. Bo inaczej pani syn się nie obudzi.

— Mój syn... mój syn... — jękała, tak osłabiona, że nie była nawet w stanie pobiec na pomoc zagrożonemu dziecku.

Beautrelet uspokajał ją.

— To nie jest na poważnie... to żart. Bo komu by na tym zależało?...

— Chyba że to Arsène Lupin — zauważył Massiban.

Beautrelet dał mu znak, żeby milczał. Dobrze wiedział, że wróg tam był, czujny i zdecydowany na wszystko, i właśnie dlatego chciał wydrzeć z pani de Villemon ostatnie słowa, na które tak długo czekał, i to wydrzeć je zaraz, w tej chwili.

— Błagam panią, niech pani się opamięta. Jesteśmy tu wszyscy. Nie ma żadnego niebezpieczeństwa.

Czy będzie mówiła? Wierzył, spodziewał się tego. Wyjąkała kilka zgłosek. Lecz drzwi znowu się otworzyły. Tym razem weszła służąca. Była przerażona.

— Proszę pani... panicz Jurek... panicz Jurek...

Naraz matka odzyskała wszystkie siły. Szybciej od innych, gnana niezawodnym instynktem, zbiegła ze schodów, przebiegła przedsionek i pobiegła na taras. Tam na fotelu leżał rozciągnięty, nieruchomy Jurek.

— No cóż? Śpi!

— Zasnął nagle, proszę pani — rzekła służąca. — Chciałam mu przeszkodzić, zanieść do pokoju. Ale już spał, a jego ręce... jego ręce były zimne.

— Zimne! — wyjąkała matka. — Tak, prawda... mój Boże, mój Boże... żeby się tylko obudził!

Beautrelet wsunął dłoń do kieszeni spodni, chwycił rękojeść rewolweru, położył palec wskazujący na spuście, wydobyl nagle broń i strzelił do Massibana.

Massiban, który widocznie śledził ruchy młodego człowieka, uchylił się przed kulą. Lecz już Beautrelet rzucił się na niego, wołając na służbę:

— Do mnie!... To Lupin!...

Massiban pod ciężarem uderzenia upadł na jeden z plecionych foteli.

Po siedmiu czy ośmiu sekundach zerwał się, zostawiając oszołomionego, dyszącego Beautreleta. Trzymał w ręku jego rewolwer.

— Tak... dobrze... Nie ruszaj się... Masz dosyć. Ale trzeba ci było dużo czasu, żeby mnie poznać... No cóż, czy dobrze ucharakteryzowałem się na Massibana?

Wyprostował się, mocny, potężny, straszliwy, i śmiał się szyderczo, patrząc na osu-
piałych trzech służących i przerażonego barona.

— Izydorze, palnąłeś głupstwo. Gdybyś im nie powiedział, że jestem Lupin, rzuciliby
się na mnie. A takie zuchy, jak oni, Boże, cóż by się ze mną stało! Jeden na czterech!

Zbliżył się do nich.

— Dalej, moje dzieci, nie bójcie się... Nic wam nie zrobię... No, chcecie po kawałecz-
ku cukru? To was pokrzepi. A ty na przykład, ty zwrócisz mi mój stufrankowy banknot.
Tak, tak, poznaję cię. To tobie zapłaciłem niedawno, żebyś zaniósł list do swojej pani...
Dalej, prędzej, zły sługo...

Wziął niebieski banknot, który mu podał służący, i podarł go na drobne kawałki.

— Pieniądze zdrady... palą mi palce...

Chwycił swój kapelusz i ukłonił się głęboko pani de Villemon.

— Czy mi pani przebacza? Koleje życia, zwłaszcza mojego, zmuszają często do okru-
czeństw, wobec których ja pierwszy się rumienię. Ale niech się pani nie lęka o syna, to
zwykle ukłucie, lekkie ukłucie w ramię, które wykonałem, gdy go wypytywano. Najdalej
za godzinę nie będzie śladu... Jeszcze raz proszę o przebaczenie. Ale potrzebowałem pani
milczenia.

Uklonił się raz jeszcze, podziękował panu de Vélines za uprzejmą gościnność, wziął
swą laskę, zapalił papierosa, ofiarował papierosa baronowi, skłonił się okrągłym ruchem
kapelusza wszystkim wkoło, Beautreletowi rzucił protekcyjnalne:

— Do widzenia, mały!

Po czym wyszedł spokojnie, puszczając służącym pod nos kłęby dymu...

Beautrelet odczekał kilka minut. Pani de Villemon, uspokojona, czuwała nad synem.
Podszedł do niej, żeby po raz ostatni spróbować. Ich oczy spotkały się. Nic nie powiedział.
Zrozumiał, że teraz już nigdy, bez względu na wszystko, nie będzie mówiła. Zatem i tu,
w głowie tej matki tajemnica Wydrążonej Iglicy została pogrzebana tak samo głęboko,
jak w mrokach przeszłości.

Zrezygnował i odszedł.

Było pół do jedenastej. Pociąg odchodził o jedenastej pięćdziesiąt. Powoli przeszedł
aleją parku i podążał drogą prowadzącą do stacji.

— No, i cóż o niej powiesz?

Był to Massiban, a raczej Lupin, który wyszedł z lasu sąsiadującego z drogą.

— Nieźle wymyślane, prawda? Twój stary przyjaciel umie tańczyć na linie? Jestem
pewien, że jeszcze nie oprzytomniałeś i zadajesz sobie pytanie, czy człowiek nazwiskiem
Massiban, członek Akademii Inskrypcji i Literatury Pięknej, w ogóle kiedykolwiek ist-
niał? Ależ tak, istnieje. Pokażę ci go, jeśli będziesz grzeczny. Lecz najpierw muszę ci zwró-
cić rewolwer... Patrzysz, czy nabity? Ależ tak, kochany. Pięć kul, które zostały, z których
każda mogła mnie wysłać *ad patres*⁵¹... No, wkładasz go do kieszeni?... No widzisz, wołę
to niż to, co tam zrobiłeś... Paskudny poryw!... Ale cóż, jest się młodym, spostrzega się
nagle — w mgnieniu oka! — że się jeszcze raz natknęło na tego przeklętego Lupina i że
on jest tu, o trzy kroki... Paff, strzela się... Nie gniewam się na ciebie, wcale nie... Na
dowód zapraszam cię do swego autka: sto koni⁵². Zgoda?

Włożył palce do ust i gwizdnął.

Rozkoszny był kontrast między wyglądem szacownego staruszka Massibana a łobu-
zerskimi ruchami i akcentem, którymi się posługiwał Lupin.

Beautrelet nie mógł się powstrzymać od śmiechu.

— Zaśmiał się! Zaśmiał się! — zawołał Lupin, skacząc z radości. — Widzisz, mały, to
tego ci brakuje, śmiechu... Jesteś na swój wiek zbyt poważny... Jesteś bardzo sympatyczny,
masz wielki wdzięk naiwności i prostoty... lecz doprawdy brak ci śmiechu.

Stanął przed nim.

⁵¹*ad patres* (łac.) — do ojców. [przypis edytorski]

⁵²*sto koni* — tj. sto koni mechanicznych; koń mechaniczny (KM) to jednostka używana do określenia mocy
silników spalinowych, wymyślona w XIX w. w celu porównania mocy maszyn parowych z koniem. [przypis
edytorski]

— Słuchaj, idę o zakład, że cię doprowadzę do placzu. Wiesz, jak dowiedziałem się o twoich planach, o liście, który ci zostawił Massiban, i o spotkaniu, które ci nazaczył na dziś rano w zamku de Vélines? Przez gadatliwość twojego przyjaciela, tego, u którego mieszkales... Zwierzyłeś się temu głupcowi, a on nie miał nic pilniejszego, jak powiedzieć w tajemnicy wszystko swej małej przyjaciółce... A jego mała przyjaciółka nie ma żadnych tajemnic przed Lupinem. Co ci mówiłem? A widzisz... już ci oczy zwilgotniały... Zdradzona przyjaźń, co? To cię gryzie... Wiesz, jesteś rozkoszny... Za jedno głupstwo bym cię ucałował... Masz zawsze zdumione spojrzenie, które dociera mi wprost do serca... Przypominam sobie zawsze ten wieczór w Gaillon, kiedy się mnie radziłeś... Ależ tak, to byłem ja, ten stary notariusz... Ależ śmieję się, smyku. Czekać, tobie brak... jakby to powiedzieć?... brak odruchu. Ja mam odruch.

Słychać było warkot zbliżającego się automobilu.

Lupin nagle chwycił Beautreleta za ramię i zimnym tonem, patrząc mu w oczy, powiedział:

— Będziesz teraz spokojny, co? Widzisz, że nic nie poradzisz, więc po cóż tracić czas i siły? Jest dosyć bandytów na świecie... Idźże i zostaw mnie w spokoju, inaczej... Zgoda, tak?

Potrząsnął nim, jakby mu chciał narzucić swą wolę. Potem roześmiał się.

— Jaki ze mnie głupiec! Ty mnie dasz spokój? O, tyś nie z tych, którzy ustępują... Ach, nie wiem, co mnie wstrzymuje... Dwa migi, trzy ruchy, a byłbyś związany, zakneblowany... w dwie godziny, w ciemnościach na kilka miesięcy... A ja mógłbym zupełnie spokojnie załatwić swoje sprawy, wycofać się do swego zakątka, który mi przygotowali moi przodkowie, królów francuscy, i używać skarbów, które raczyli dla mnie zgromadzić... Ale nie, powiedziano, że będę igrał aż do końca... Czegóż chcesz? Miewa się swoje słabostki... A ja mam słabość do ciebie... A zresztą to jeszcze się nie skończyło... Od teraz do tego, żebyś włożył rękę w Wydrążoną Iglicę, upłynie jeszcze sporo wody... Tam do diabła! Ja, Lupin, potrzebowałem dziesięciu dni. Tobie trzeba będzie dziesięciu lat. Jest między nami mimo wszystko pewna różnica.

Przybył automobil, ogromny pojazd z zamkniętym pudłem. Lupin otworzył drzwiczki. Beautrelet krzyknął. W środku siedział jakiś człowiek, a tym człowiekiem był Lupin, a raczej Massiban.

Wybuchnął śmiechem, nagle rozumiejąc wszystko.

Lupin rzekł do niego:

— Nie powstrzymuj się, mocno śpi. Obiecałem ci, że go zobaczysz. Teraz wszystko rozumiesz. Około północy wiedziałem o waszym umówionym spotkaniu w zamku. O siódmej rano byłem już tutaj. Massiban przechodził, wystarczyło go było tylko zerwać... A potem delikatnie ukłuć... i gotów! Śpij, pocziwino, śpij... Połóżmy cię tu, na nasypie... Dalej... tak... doskonale... Na słońcu, żeby ci nie było zimno... Cudownie... I masz kapelusz w rękę!... Jednego sous⁵³, jeśli łaska... Ach, mój stary Massiban, zajmujesz się Arsene'em Lupin!

Był to doprawdy niezrównany widok: ci dwaj Massibanowie obok siebie, jeden uśpio-ny i kiwający głową, drugi poważny, pełny szacunku.

— Miejcie litość nad biednym ślepcem... Słuchaj Massiban, oto dwa sous i moja wizytówka... A teraz, dzieci, jazda na czwartym biegu. Słyszysz, chłopcze: sto dwadzieścia na godzinę. Izydor, wsiadać! Dziś pełne posiedzenie Instytutu i Massiban ma czytać o pół do czwartej jakiś mały referat, już nie wiem o czym. Dostarczę im Massibana zupełnego, prawdziwszego niż prawdziwy, ze swymi pomysłami o inskrypcjach kultury osad palowych. Przynajmniej raz będę w Instytucie!... Prędej, chłopcze, robimy tylko sto piętnaście... Boisz się? Zapominasz, że jesteś z Lupinem? Ach, Izydorze, i ludzie śmia twierdzić, że życie jest monotonne! Ależ życie to cudowna rzecz, kochany, tylko trzeba umieć... a ja umiem... Czy myślisz, że nie można było pęknąć ze śmiechu tam w zamku, kiedy gawędziłeś ze starym Vélines, a ja, oparty o okno, wydierałem kartki z historycznej

⁵³sous — dawna drobna moneta francuska o wartości 1/20 liwra (funta), bita do 1795; później pot. nazwa monety o wartości 5 centymów, tj. 1/20 franka. [przypis edytorski]

książki? A po tym, kiedy pytałeś pani de Villemon o Wydrążoną Iglicę? Czy powie? Tak, powie... nie, nie powie... tak, nie... Dostałem gęziej skórki... Jeśli powie, trzeba będzie całe życie budować od nowa... całe rusztowanie zawali się... Czy służący przyjdzie na czas? Tak... nie... jest... Ale Beautrelet mnie zdemaskuje! Nigdy! Zbyt strapiony! Tak... nie... otóż jest... wypatrzył mnie... bierze swój rewolwer... Ach, cóż za przyjemność... Izydorze, za wiele mówisz... Śpijmy, dobrze? Ja padam ze znużenia... dobranoc...

Beautrelet spojrzął na niego. Zdawało się, że już prawie śpi. Zasnął.

Automobil, puszczony w przestrzeń, gnał i gnał bez opamiętania. Nie istniały już ani miasta, ani wsie, ani pola, ani lasy, nic, tylko przestrzeń, przestrzeń, polykana, pożerana.

Beautrelet długo patrzył na swego towarzysza podróży, z gorącą ciekawością i żądzą dotarcia przez maskę, która go okrywała, do jego rzeczywistej fizjonomii. I rozmyślał o okolicznościach, które zamknęły ich w jednym automobilu.

Jednak po wzruszeniach i zawodach tego ranka, znużony, on także zasnął.

Kiedy się zbudził, Lupin czytał. Beautrelet nachylił się, żeby zobaczyć tytuł książki. Były to Seneki⁵⁴ *Listy do Lucyliusza*.

ROZDZIAŁ VIII. OD CEZARA DO LUPINA

„Tam do diabła! Ja, Lupin, potrzebowałem dziesięciu dni. Tobie trzeba będzie dziesięciu lat!”

To zdanie, wygłoszone przez Lupina, ogromnie wpłynęło na Beautreleta.

Lupin, w gruncie rzeczy bardzo spokojny i zawsze panujący nad sobą, miał jednakże chwile egzaltacji i tej romantycznej wylewności, równocześnie teatralnej i szczerzej, w których wyrzywały mu się pewne wyznania, nierozważne słowa, dające Beautreletowi wiele do myślenia.

Słusznie czy nie, Beautrelet sądził, że w tym zdaniu zawierało się właśnie jedno z owych mimowolnych wyznań. Miał zatem prawo wnioskować, że jeśli Lupin zestawiał swoje wysiłki z jego usiłowaniami w dochodzeniu prawdy co do Wydrążonej Iglicy, to znaczyło, że obaj posiadali te same środki wiodące do celu, że Lupin nie miał wcale odmiennych danych do powodzenia niż jego przeciwnik. Szanse były te same. Otóż z tymi samymi szansami, z tymi samymi danymi powodzenia, z tymi samymi środkami Lupinowi wystarczyło dziesięć dni.

Jakież były te dane, te środki, te szanse? Wszystko redukowało się bez wątpienia do znajomości broszury, którą Lupin znalazł z pewnością, tak samo jak Massiban, przypadkiem, dzięki której udało mu się odnaleźć w modlitewniku Marii Antoniny niezbędny dokument.

Zatem broszura i dokument to dwie podstawy, na których oparł się Lupin. Na nich zbudował cały gmach. Żadnej innej pomocy. Badanie broszury i dokumentu, to wszystko.

Więc cóż, czyż i on, Beautrelet, nie mógł budować na tym samym gruncie? Po co ta niemożliwa walka? Po co te daremne dochodzenia, po których, był tego pewny, dojdzie, jeśli nawet uda mu się uniknąć zastawionych przed nim zasadzek, do zupełnie błahych wyników?

Jego decyzja była jasna i natychmiastowa, a wykonując ją, miał szczęśliwe przecucie, że jest na dobrej drodze. Przede wszystkim opuścił bez zbytecznych wyrzutów swego kolegę z Janson de Saily i zabrawszy swą walizkę, po długich poszukiwaniach ulokował się w małym hotelu w centrum Paryża. Z hotelu nie wychodził całymi dniami. Co najwyżej schodził do wspólnego stołu. Resztę czasu poświęcał rozmyśleniom przy zamkniętych na klucz drzwiach i spuszczonej dokładnie storach.

„Dziesięć dni”, powiedział Lupin. Beautrelet, usilnie starając się zapomnieć wszystko to, co dotąd zrobił, a pamiętać jedynie o broszurze i dokumencie, ambitnie dążył do tego, żeby zmieścić się w tych samych granicach dziesięciu dni. Jednak minął dziesiąty dzień i jedenasty, i dwunasty i nic, ale trzynastego dnia coś zaświtało mu w głowie i bardzo szybko, ze zdumiewającą gwałtownością tych myśli, które rozwijają się w nas jak cudowne rośliny, powstała, rozprzestrzeniła się i umocniła prawda. Wieczorem trzynastego dnia nie znał zapewne ostatecznego rozwiązania zagadki, lecz znał już z wszelką pewnością jedną

⁵⁴Seneka Młodszy, właśc. *Lucius Annaeus Seneca (Minor)* (ok. 4 p.n.e.–65 n.e.) — rzymski filozof stoicki i dramaturg, autor m.in. zbioru ponad stu *Listów moralnych do Lucyliusza*. [przypis edytorski]

z metod, która mogła doprowadzić do jego odkrycia, owocną metodę, której bez wątplenia użył także Lupin.

Metoda bardzo prosta i wynikająca z tego jedyne pytania: czy istnieje jakikolwiek związek między wszystkimi historycznymi wydarzeniami, mniej czy bardziej doniosłymi, z którymi broszura wiąże tajemnicę Wydrążonej Iglicy?

Rozmaitość tych wydarzeń czyniła odpowiedź trudną. Ostatecznie po głębokim przestudiowaniu wszystkich zdołał ustalić ich zasadniczy charakter. Wszystkie one bez wyjątku rozegrały się w granicach dawnej Neustrii, która odpowiada mniej więcej dzisiejszej Normandii. Wszyscy bohaterowie fantastycznej przygody są Normanami lub stają się nimi, albo działają w krainie normandzkiej.

Jakaż ekscytująca podróż przez wieki! Jakież wzruszające widowisko stanowią ci wszyscy baronowie, książęta i królowie, pochodzący z tak różnych krajów, a spotykający się w tym zakątku świata!

Beautrelet zaczął na chybił trafił przeglądać historię.

Oto Roll, czyli Rollon, książę *normandzki*, jest według traktatu Saint-Clair-sur-Epte panem tajemnicy Wydrążonej Iglicy!

Oto Wilhelm Zdobywca, książę *normandzki*, król angielski, którego sztandar jest przebity na kształt Iglicy!

Oto w *Rouen* Anglicy pałą Joannę d'Arc, panią tajemnicy!

A na samym początku tej przygody, kim jest ten naczelnik Caletów, który okupuje się tajemnicą Wydrążonej Iglicy, jeśli nie naczelnikiem ludu z krainy Caux⁵⁵, krainy Caux, położonej w samym sercu *Normandii*?

Hipoteza precyzuje się. Pole się zacieśnia. Rouen, brzegi Sekwany, kraina Caux... zdaje się doprawdy, że wszystkie drogi prowadzą w tę stronę. Jeśli się wspomina bardziej szczegółowo dwu królów francuskich z czasów, kiedy tajemnica utracona przez książąt normandzkich i ich dziedziców, królów angielskich, stała się królewską tajemnicą Francji, to właśnie Henryka IV, który prowadził oblężenie Rouen i zwyciężył w bitwie pod Arques⁵⁶, u bram Dieppe, a potem Franciszka I, który założył Hawr i wygłosił to znamienne zdanie: „Królowie francuscy piastują tajemnice, które decydują o losach miast!”.

Rouen, Dieppe, Hawr... trzy wierzchołki trójkąta, trzy wielkie miasta na trzech punktach końcowych. A w środku kraina Caux.

Nadchodzi wiek XVII. Ludwik XIV pali książkę, w której nieznajomy wyjawia prawdę. Kapitan de Larbeyrie zdobywa egzemplarz, korzysta z uzyskanej w ten sposób tajemnicy, rabuje pewną ilość klejnotów i, napadnięty na gościńcu przez złodziei, ginie zamordowany. Otóż gdzie się odbył ten napad? W Gaillon! Gaillon, małe miasteczko położone na drodze wiodącej z Hawru, z Rouen i z Dieppe do Paryża.

Rok później Ludwik XIV kupuje posiadłość i buduje zamek Iglicę. Jakie wybiera miejsce? Centrum Francji. W ten sposób wprowadza się w błąd ciekawskich. Nie szukają w Normandii.

Rouen... Dieppe... Hawr... Trójkąt krainy Caux.. Wszystko jest tam... Z jednej strony morze, z drugiej Sekwana, z trzeciej dwie doliny wiodące z Rouen do Dieppe.

W umyśle Beautreleta zajaśniała błyskawica. Ten obszar, ta kraina płaskowyżów ciągnących się od stromych zboczy Sekwany aż do urwisk kanału La Manche, stanowiła prawie zawsze pole działań Arsène'a Lupin.

Od dziesięciu lat obracał się właśnie w tej okolicy, jak gdyby miał swą kryjówkę w samym centrum kraju, z którym wiązała się najcisłej legenda o Wydrążonej Iglicy.

Sprawa barona de Cahorn? Nad brzegiem Sekwany, między Rouen a Hawrem.

Sprawa Thibermenila? Na drugim końcu płaskowyżu, między Rouen a Dieppe.

Włamanie Gruchela, Montigny, Crasville'a? W środku krainy Caux.

Dokąd zmierzał Lupin, kiedy został napadnięty i związany w przedziale przez Piotra Onfrey? Do Rouen.

⁵⁵kraina Caux — Pays de Caux, kraina we wsch. części historycznej Normandii, zajmująca płaskowyż nad kanałem La Manche, na płn. od ujścia Sekwany. [przypis edytorski]

⁵⁶bitwa pod Arques (15–29 września 1589) — stoczona pomiędzy wojskami króla Francji Henryka IV, usiłującymi utrzymać strategiczny port w Dieppe, a oddziałami katolickiej Świętej Ligi pod dowództwem księcia Karola de Mayenne, mająca miejsce podczas ósmej i ostatniej francuskiej wojny religijnej (1585–1598); zakończona taktycznym zwycięstwem Henryka IV. [przypis edytorski]

Gdzie został wysadzony Sholmes, więzień Lupina? Blisko Hawru.

A obecny dramat gdzie się odegrał? W Ambrumésy na drodze z Hawru do Dieppe.

Rouen, Dieppe, Hawr, zawsze trójkąt krainy Caux.

Otóż kilka lat przedtem Arsène Lupin, właściciel broszury, znając schowek, w którym Maria Antonina ukryła dokument, dobrał się do owego sławnego modlitewnika. Posiadłszy dokument, wyruszył w pole, znalazł i usadowił się tam, w zdobytej krainie.

Beautrelet wyruszył w pole.

Szedł prawdziwie wzruszony, myśląc o tej samej drodze, którą odbył Lupin, o tych samych nadziejach, które musiały go przepełniać, kiedy wybierał się na odkrycie groźnej tajemnicy, które miała mu dać taką potęgę. Czyż jego wysiłki, Beautreleta, odniosą taki sam zwycięski skutek?

Opuścił Rouen rano, pieszo, z węzłkiem na końcu kija na plecach, jak czeladnik wędrujący po Francji.

Poszedł prosto do Duclair, gdzie zjadł obiad. Opuścił tę osadę, trzymał się Sekwany i już się z nią więcej nie rozstawał. Jego instynkt, wzmocniony zresztą licznymi przypuszczeniami, prowadził go stale wzdłuż krętych brzegów pięknej rzeki. Przecież po okradzeniu zamku Cahorn przedmioty z kolekcji przepawiono przez Sekwanę. Tak samo po okradzeniu kaplicy w Ambrumésy ku Sekwanie wieziono stare rzeźby gotyckie. Już sobie wyobrażał, jak cała flotylla łódek, kursujących regularnie z Rouen do Hawru, przewoziła dzieła sztuki i bogactwa z całej okolicy, żeby je stamtąd dalej wieźć do ziemi miliarderów.

— Ja płonę!... Płonę... — szeptał młody człowiek, drżąc cały od ciosów prawdy, które gwałtownie spadały na niego jeden po drugim.

Niepowodzenie pierwszych dni wcale go nie zniechęcało. Żywił w sobie głęboką, niezniszczalną wiarę w słuszność hipotezy, która go wiodła. Śmiała, zuchwała, mniejsza o to, była godna tropionego wroga. Hipoteza ta była godna dziwnej rzeczywistości noszącej miano Lupin. Wobec tego człowieka czyż można było w ogóle poszukiwać poza obrębem czegoś olbrzymiego, przesadnego, nadludzkiego?

Jumièges, La Mailleraye, Saint-Wandrille, Caudebec, Tancarville, Quillebeuf, miejscowości pełne wspomnień o nim! Ileż to razy musiał kontemplować chwałę ich gotyckich wież lub wspaniałość ich ogromnych ruin!

Ale Hawr, okolice Hawru pociągały Izydora jak światła morskiej latarni.

„Królowie francuscy piastują tajemnice, które często decydują o losach miast”.

Niejasne słowa nagle zajaśniały przed Beautreletem pełnią blasku! Czyż to nie było ścisłym określeniem motywów, które skłoniły Franciszka I do założenia miasta w tym miejscu, a los miasta Havre de Grâce czyż nie był związany z samą tajemnicą Iglicy?

— To to... to to... — powtarzał Beautrelet w upojeniu. — Ta stara zatoka normandzka, jeden z pierwotnych ośrodków, wokół których ukształtowała się narodowość francuska, tę starą zatokę dopełniają te dwie siły, jedna zupełnie jawna, żywa, znana, nowy port, który panuje nad oceanem i otwiera się na świat, a druga niejasna, nieznaną i tym bardziej niepokojąca, że niewidoczna i niewyczuwalna. Cała część historii Francji i domu królewskiego tłumaczy się Iglicą, tak samo jak cała historia Lupina. Te same źródła energii i potęgi żywią i odnawiają losy królów i awanturnika.

Z miejscowości do miejscowości, od rzeki do morza Beautrelet myszkował, węsząc, nadstawiając uszu i usiłując wydrzeć nawet naturze i otaczającym go rzeczom ich głębokie znaczenie. Czy to tego pagórka należało zapytać? Czy tego lasu? Domów tej wsi? Czy też pomiędzy nieistotnymi słowami tego wieśniaka znajdzie to słowo-objawiciela?

Pewnego ranka jadł śniadanie w gospodzie pod Honfleur, starożytnym miastem przy ujściu. Naprzeciw niego jadł jeden z tych rudowłosych, ociężałych normandzkich handlarzy koni, którzy włóczą się po okolicznych jarmarkach z batem w ręku i w długiej bluzie. Po chwili Beautrelet odniósł wrażenie, że mężczyzna przypatruje się mu z pewną uwagą, jak gdyby go znał, a przynajmniej starał się poznać.

„Ech — pomyślał — myślę się, nigdy nie widziałem tego handlarza koni i on mnie nigdy nie widział”.

Istotnie, zdawało się, że mężczyzna już się nim nie interesuje. Zapalił fajkę, poprosił o kawę i koniak, palił i pił.

Skończywszy jeść, Beautrelet zapłacił i wstał. Ponieważ w chwili, kiedy miał wychodzić, weszła grupa jakichś ludzi, musiał stać przez kilka sekund przy stole, przy którym siedział handlarz koni. Usłyszał, że ten szepnął do niego:

— Dzień dobry, panie Beautrelet.

Izydor nie wahał się ani chwili. Usiadł obok mężczyzny i rzekł do niego:

— Tak, to ja... A pan, kim pan jest? Jak mnie pan poznał?

— Nietrudno... Chociaż widziałem tylko pański portret w dziennikach. Ale jest pan tak... jak to się mówi po francusku?... tak źle ucharakteryzowany.

Miał bardzo wyraźny cudzoziemski akcent i Beautreletowi zdawało się, kiedy mu się lepiej przyjrzał, że on również ma maskę, która zmienia rysy jego twarzy.

— Kim pan jest? — powtarzał. — Kim pan jest?

Obcy uśmiechnął się.

— Nie poznaje mnie pan?

— Nie. Nigdy pana nie widziałem.

— Ja tak samo. Ale niech sobie pan przypomni... i mój portret także publikowano w dziennikach... i to często... No?...

— Nie wiem.

— Herlock Sholmes.

Spotkanie było dziwne. Było również znamienne. Młody człowiek natychmiast pojął jego doniosłość. Po wymianie komplementów rzekł do Sholmesa:

— Przypuszczam, że pan tu bawi chyba z powodu... niego?

— Tak.

— Więc, więc... sądzi pan, że mamy szansę w tych okolicach...

— Jestem tego pewny.

Radość, której doznał Beautrelet, stwierdzając, że opinia Sholmesa zgadza się z jego własną, nie pozostała niezmacona. Jeśli Anglik dotrze do celu, to zwycięstwo będzie połowiczne, a kto wie, czy nie dotrze przed nim?

— Czy ma pan dowody? Wskazówki?

— Niech się pan nie obawia — roześmiał się Anglik, rozumiejąc jego niepokój — nie wejdę panu w drogę. Pana zajmuje dokument, broszura... rzeczy, które nie budzą we mnie wielkiego zaufania.

— A pana?

— A mnie co innego.

— Czy będę niedyskretny, jeśli?...

— Ależ nie, bynajmniej. Przypomina sobie pan historię z diamentem, historię księcia de Charmerace?

— Tak.

— Pamięta pan Wiktorię, starą mamkę Lupina, tę, której mój przyjaciel Ganimard pozwolił wymknąć się w powozie?

— Tak.

— Odnalazłem ślad Wiktorii. Mieszka w pewnym gospodarstwie w pobliżu drogi krajowej numer dwadzieścia pięć. Droga numer dwadzieścia pięć prowadzi z Hawru do Lille. Przez Wiktorię dojdę łatwo do Lupina.

— To potrwa długo.

— Mniejsza o to! Porzuciłem wszystkie swoje sprawy. Tylko ta jedna się liczy. Między mną a Lupinem toczy się walka... walka na śmierć i życie.

Wypowiedział te słowa z rodzajem dzikości, w której się czuło gniew z powodu doznanych upokorzeń, całą dziką nienawiść do wielkiego przeciwnika, który z niego zakpił tak okrutnie.

— Niech pan idzie — szepnął. — Patrzą na nas... to niebezpieczne... Lecz niech pan sobie zapamięta moje słowa: dzień, w którym ja i Lupin spotkamy się twarzą w twarz, będzie tragiczny.

Beautrelet rozstał się z Sholmesem zupełnie uspokojony: nie było się co martwić, żeby Anglik go uprzedził.

Jaki dodatkowy dowód dało mu to przypadkowe spotkanie z Sholmesem? Droga z Hawru do Lille przechodzi przez Dieppe! To główna droga przybrzeżna przebiegająca przez Caux! Nadmorska droga, która panuje nad urwiskami kanału La Manche! I właśnie w gospodarstwie w pobliżu tej drogi mieszka Wiktor, to znaczy Lupin, gdyż jedno nie mogło się obejść bez drugiego, pan bez ślepo oddanej służącej!

— Ja płonę!... Płonę! — powtarzał sobie młody człowiek. — Kiedy okoliczności przynoszą mi nową informację, potwierdza moje przypuszczenia. Z jednej strony całkowicie pewne wskazanie na Sekwanę, z drugiej strony na drogę. Obie drogi komunikacyjne łączą się w Hawrze, mieście Franciszka I, mieście tajemnicy. Granice się kurczą. Kraina Caux nie jest wielka, i w dodatku mam do przetrząśnięcia tylko jej zachodnią część.

Z zapalem zabrał się do dzieła. „Nie ma żadnego powodu, żebym nie znalazł tego, co znalazł Lupin” — powtarzał sobie ustawicznie. Zapewne, Lupin musiał mieć jakieś korzystniejsze dane, może głęboką znajomość okolicy, dokładne wiadomości o miejscowych legendach, a przynajmniej jakieś wspomnienia, a on, Beautrelet, nie wiedział niczego i zupełnie nie znał kraju, który odwiedził po raz pierwszy w czasie kradzieży w Ambrumésy, i to w pośpiechu, bez zasiadywania się.

Ale czy to ma znaczenie? Choćby miał na te poszukiwania poświęcić dziesięć lat, doprowadzi je do skutku. Lupin był tu. Widział go. Przeczuwał go. Czekał na niego na zakręcie tej drogi, na skraju tego lasu, na końcu tej wsi. I po każdym rozczarowaniu zaciął się w swoim uporze jeszcze bardziej.

Często kładł się na poboczu drogi i rozpaczliwie zagłębiał w badaniu dokumentu, którego kopię miał zawsze przy sobie, kopię z podstawieniem samogłosek na miejscu cyfr.

. a . a . . o . o . e . . e . a .

. o . o . . . a . i e . . . i

. o . . o . . e . . . e . o . . e

P $\overline{\text{PF}}$  19 F + 44  357 

. y . . q . o . a . . i . . i . a

Często też zgodnie ze swoim zwyczajem kładł się na brzuchu w trawie i rozmyślał całymi godzinami. Miał czas. Przyszłość należała do niego.

Z godną podziwu cierpliwością wędrował od Sekwany do morza i od morza do Sekwany, posuwając się stopniowo i wracając po swoich śladach, nie opuszczając terenu, dopóki miał teoretyczną szansę, że znajdzie jakąś wskazówkę.

Zbadał, przetrząsnął Montivilliers, Saint-Romain, Octeville, Gonnevillle i Criquetot.

Pukał wieczorem do wieśniaków i prosił ich o nocleg. Po wieczery palili tytoń i gawędzili. Prosił, żeby opowiadali historie, które sobie opowiadają podczas długich wieczorów zimowych. I zawsze to przebiegłe pytanie:

— A Iglica? Legenda o Wydrążonej Iglicy? Nie znacie jej?

— Dalibóg, nie... Nie słyszałem...

— Przypomnijcie sobie dobrze... opowiadania pocziwej babki... coś, gdzie chodzi o Iglicę... Może jakaś zaczarowana Iglica... czy ja zresztą wiem?

Nic. Żadnej legendy, żadnego wspomnienia. I następnego dnia odchodził wesoły.

Pewnego dnia przeszedł przez wznoszącą się nad morzem piękną wieś Saint-Jouin i zszedł w chaotyczne zwały głazów, oderwanych od brzegów. Potem wszedł na płaskowyż i udał się w kierunku doliny Bruneval, przylądka Antifer, w stronę małej zatoki Belle-Plage. Szedł lekko i radośnie, trochę zmęczony, lecz tak uszczęśliwiony życiem, uszczęśliwiony do tego stopnia, że nawet zapomniał o Lupinie i tajemnicy Wydrążonej Iglicy, o Wiktorii i Sholmesie, zajęty jedynie widokiem natury, błękitnym niebem i wielkim szmaragdowym morzem, jaśniejącym w blasku słońca.

Zaintrygowały go biegnące po prostej skarpy, resztki ceglanych murów, wyglądające na pozostałości rzymskiego obozu. Potem zobaczył coś w rodzaju małego zamku, zbudowanego na wzór starożytnego fortu, z popękkanymi wieżyczkami, z wysokimi gotyckimi oknami. Stał na postrzępionym, pagórkowatym, skalistym cyplu, prawie oderwanym od brzegów. Wąskiego przejścia broniła zakratowana brama, otoczona żelaznymi poręczami i najeżonymi kolcami.

Beautreletowi nie bez trudu udało się przez nią przedostać. Ponad ostrołukowymi drzwiami z zardzewiałym zamkiem odczytał słowa: „Fort Fréfossé”. Nie próbował tam wejść, skręcił w prawo i po zejściu z niewielkiego zbocza znalazł na ścieżce biegnącej po wąskim grzbiecie, zaopatrzonej w drewnianą barierę. Na samym końcu była mała grotta, tworząca jakby wartownię na końcu skały, w której była wydrążona, skały opadającej stromo w morze.

W środku grotty można było wygodnie stać. Jej ściany pokrywało mnóstwo napisów. Wybity w skale, prawie kwadratowy otwór wychodził niby okienko w stronę lądu, wprost na fort Fréfossé, którego blanki widniały o jakieś trzydzieści metrów.

Beautrelet zdjął swój tobolek i usiadł. Dzień był ciężki i nużący. Zdrzemnął się na chwilę.

Zbudził go chłodny wiatr.

Przez kilka chwil siedział nieruchomo, roztargniony i wodził błędnie oczyma. Usiłował skupić rozproszone myśli. Miał już wstać, gdy wtem zobaczył zdumionymi oczyma...

— Nie... nie... — szeptał. — To sen, halucynacja... Zobaczmy, czy to możliwe.

Ukląkł prędko i pochylił się.

Zobaczył wyraźnie dwie ogromne litery, może na stopę⁵⁷ każda, wryte na wypukło w granicę posadzki, z grubsza, lecz wyraźnie, zaokrąglone od starości na krawędziach i zatarte litery: P i F.

P i F! O cudzie! Właśnie dwie duże litery z dokumentu! Ach! Beautrelet nie potrzebował zaglądać do kopii, żeby zobaczyć tę grupę liter w czwartym wierszu, podającym miary i wskazówki! Znał ją doskonale! Były wypisane na zawsze na dnie jego żrenic, odbite na zawsze w jego mózgu!

Wstał, zszedł stromą ścieżką, poszedł wzdłuż starożytnego fortu, przedarł się przez kratę i ruszył szybko w kierunku pasterza, którego trzoda pasła się trochę dalej.

— Ta grotta, tam... ta grotta...

Wargi mu drżały, szukał słów, których nie mógł znaleźć.

Pasterz patrzył na niego ze zdumieniem.

Beautrelet powtórzył:

— Tak, ta grotta, tam... na prawo od fortu... Czy ma jakąś nazwę?...

— Pewnie!... Wszyscy z Etretat nazywają to Pokój Paniński.

— Co? Co mówicie?

— No tak... Pokój Paniński...

Izydor był gotów skoczyć mu do gardła, jakby w tym człowieku kryła się cała prawda i jakby spodziewał się wydrzeć ją z niego za jednym zamachem...

Paniński! Więc dobrze odszyfrował dokument!

Beautrelet chwiał się na nogach, jakby natarł na niego wichur szaleństwa. Wiał wokół niego, przelatując nad nim niby wiatr lecący od pełnego morza, lecący od lądu, ze wszystkich stron, i smagał go potężnymi uderzeniami prawdy...

Zrozumiał! Objawiło mu się prawdziwe znaczenie dokumentu! Pokój Paniński... Etretat...

„To to... — myślał. — To musi być to... Ale że też sam tego wcześniej nie odgadłem?”

⁵⁷stopa — dawna jednostka długości równa ok. 30 cm. [przypis edytorski]

Powiedział cicho do pasterza:

— Dobrze... idź... możesz iść... dziękuję.

Pasterz zagwizdał na psa i odszedł.

Beautrelet przeczekał chwilę i wrócił do fortu. Już go prawie mijał, gdy nagle padł na ziemię, przykucnął za kawałkiem muru i pomyślał, zaciskając pięści:

„Czy ja zwariowałem? A jeśli *on* mnie widzi? Jeśli *jego* wspólnicy mnie widzą? Płaczę się tu od godziny...”

Nie poruszył się więcej.

Słońce zaszło. Powoli zaczęła zapadać noc, zacierając zarysy przedmiotów.

Wówczas, ostrożnie pełzną na brzuchu, doczołgał się do jednego z cyplów przylądka, do najdalszej krawędzi urwiska.

Końcami wyciągniętych rąk rozsunał kępy traw i wyjrzał na morze.

Naprzeciw niego, prawie na wysokości brzegu, na pełnym morzu wznosiła się olbrzymia skała, wysoka na ponad osiemdziesiąt metrów, kolosalny obelisk, ustawiony pionowo na dużej granitowej podstawie, widocznej na poziomie wody, zwężający się ku szczytowi niby olbrzymi żąb morskiego potwora. Białą z brudnoszarym odcieniem jak morskie urwiska, straszliwy monolit poprzecinany był poziomymi liniami, po których można było poznać pracę wieków, gromadzących stopniowo jedne na drugich warstwy wapienia i żwiru.

Tu i ówdzie jakaś szczelina, jakieś zagłębienie i zaraz w nich trochę ziemi, trawy i liści.

A wszystko to razem potężne, mocne, straszne, mające wygląd rzeczy niezniszczalnej, wobec której bezsilne były szalone zapędy fal i burz. Wszystko to ustalone, trwałe, ogromne mimo ogromu jeszcze wyższego brzegu, niezmierne mimo bezmiaru przestrzeni, z której wyrastało.

Paznokcie Beautreleta wpiły się w ziemię jak pazury dzikiego zwierza gotującego się do skoku na swą ofiarę. Jego wzrok przenikał przez szorstką powłokę skały, przez jej niejako skórę i wnikał, jak mu się zdawało, w jej cielsko. Dotykał go, wyczuwał je, poznawał i brał w posiadanie, jakby je pochłaniał.

Horyzont zacerwienił się od wszystkich ogni zaszłego słońca, a podłużne, nieruchome, rozplamione chmury tworzyły na niebie wspaniałe krajobrazy, nierzeczywiste laguny, równiny ognia, złociste puszcze, jeziora krwi, całą rozgorzałą a spokojną fantasmagorię.

Lazur nieba pociemniał. Wenus zajaśniała cudownym blaskiem, a potem zaczęły nieśmiało zapalać się gwiazdy.

Beautrelet zamknął nagle oczy i przycisnął założone ręce do czoła. Tam — ach, myślał, że umrze z radości, tak okrutne wzruszenie ścisnęło mu serce — tam, prawie u szczytu Iglicy Etretat, poniżej szczytowego ostrza, wokół którego unosiły się mewy, smużka dymu wymykała się ze szczeliny jakby z niewidzialnego komina, smużka dymu wzbijała się łagodnymi skrętami w spokojne wieczorne powietrze.

ROZDZIAŁ IX. SEZAMIE, OTWÓRZ SIĘ

Iglica Etretat jest wydrążona!

Zjawisko naturalne? Wydrążenie wytworzone przez podziemne siły, przez wysiłek morza czy przez wnikającą wodę deszczową? Czy może nadludzkie dzieło, wykonane przez istoty ludzkie, przez Galów, Celtów, ludzi przedhistorycznych?

Kwestia nie do rozwiązania, zapewne. A zresztą, cóż to za różnica! Całe sedno w tym: Iglica jest wydrążona.

O czterdzieści, pięćdziesiąt metrów od tego potężnego łuku, który nazywa się Bramą Aval, odstającego od szczytu klifu niby ogromna gałąź drzewa, by zakorzenić się w podmorskich skałach, wznosi się ogromny wapienny stożek; a ten stożek jest tylko jakby szpiczastą czapką ustawioną nad próżnią.

Cudowne objawienie. Oto po Lupinie Beautrelet odkrył rozwiązanie wielkiej zagadki, która trwała przez przeszło dwadzieścia wieków! Rozwiązanie niezmiernej wagi dla człowieka, który znalazł je niegdyś, w odległych epokach, kiedy barbarzyńskie hordy przebiegały świat! Słowo magiczne, otwierające cyklopową jaskinię całym szczepem jako kryjówkę

Tajemnica

przed wrogiem! Słowo tajemnicze, strzegące bram niedocieczonego azylu. Słowo cudowne, dające potęgę i zapewniające przewagę!

Dzięki znajomości tego słowa Cezar jest w stanie ujarzmić Galię. Dzięki temu słowu Normanowie narzucają swoją władzę tej krainie, a później, oparci o ten punkt, zdobywają sąsiednią wyspę, zdobywają Sycylię, zdobywają wschód, zdobywają Nowy Świat!

Panowie tajemnicy, królowie Anglii, opanowują Francję, upokarzają ją, rozbijają, koronują się w Paryżu królami. Tracą ją i za tym idzie upadek.

Panowie tajemnicy, królowie francuscy, rosną w potęgę, rozszerzają granice swego władztwa, stopniowo tworzą wielki naród i jaśnieją chwałą i mocą. Zapominają o niej albo nie umieją jej użyć i oto następuje śmierć, wygnanie i zagłada.

Niewidzialne królestwo, w łonie wód i o dziesięć sążni⁵⁸ od lądu!... Nieznana forteca, wyższa od wież Notre Dame, zbudowana na granitowej podstawie większej niż publiczny plac... Jakaż siła i jakież niebezpieczeństwo! Z Paryża do morza Sekwaną. Tam Hawr, miasto nowe i niezbędne. A o siedem mil od niego Wydrążona Iglica, kryjówka nie do zdobycia.

Kryjówka, a zarazem olbrzymi schowek. Wszystkie skarby królewskie, powiększane z wieków na wieki, całe złoto Francji, wszystko to, co wydobyto z ludu, wydarto klerowi, wszystkie łupy zdobyte na polach walki po całej Europie, zgromadzono w królewskiej jaskini. Stare złote sous, błyszczące talary, dublony, dukaty, floreny, gwinee, drogie kamienie, diamenty, wszelkie klejnoty i skarby, wszystko tam jest. Któż je odnajdzie? Kto pozna kiedyś nieprzenikloną tajemnicę Iglicy? Nikt.

A jednak znajdzie się ktoś: Lupin.

I oto Lupin staje się tą istotą prawdziwie nadnaturalną, tym zjawiskiem cudownym, niewytłumaczalnym, ponieważ prawda kryje się w mrokach. Choćby siły jego umysłu były nie wiedzieć jak wielkie, nie mogą wystarczyć do szalonej walki, którą prowadzi ze społeczeństwem. Trzeba mu jeszcze innych sił, materialnych. Trzeba bezpiecznej kryjówki, trzeba zapewnienia bezkarności, spokoju do przeprowadzenia planów.

Bez Wydrążonej Iglicy Lupin staje się niezrozumiały, staje się mitem, postacią z powieści, bez związku z rzeczywistością.

Pan tajemnicy, i to takiej tajemnicy! To człowiek taki sam, jak inni, po prostu, ale który wie, jak władać niezwykle bronią, którą obdarzył go los.

Więc Iglica jest wydrążona, to fakt niepodlegający dyskusji. Pozostawało dowiedzieć się, jak do niej można wejść.

Oczywiście przez morze. Musiała tam być od strony pełnego morza jakaś szczelina, dostępna dla łodzi w określonych godzinach przyływu.

Ale od strony lądu?

Do dziesiątej wieczorem Beautrelet leżał nad przepaścią, z oczami utkwionymi w mroczną masę, którą tworzyła piramida, i rozmyślał, natężając wszystkie władze swego umysłu.

Potem zszedł do Etretat, wybrał jak najskromniejszy hotelik, zjadł kolację, poszedł do swego pokoju i rozwinął dokument.

Teraz ustalenie jego znaczenia było dla niego dziecinnie proste. Natychmiast spostrzegł, że trzy samogłoski wyrazu „Etretat” znajdowały się w pierwszym wierszu we właściwej kolejności i w odpowiednich odstępach. Zatem pierwszy wiersz układał się tak:

.a.a..o.o. Etretat

Jakie wyrazy mogły poprzedzać „Etretat”? Niewątpliwie wyrazy określające położenie Iglicy w stosunku do wioski. Otóż Iglica wznosiła się z lewej strony, na zachód... I rzeczywiście, napisawszy w miejscu kropek odpowiednie spółgłoski, otrzymał:

Na zachód od Etretat

⁵⁸sążeń — dawna jednostka długości, równa szerokości rozpostartych ramion dorosłego mężczyzny; tu: sążeń francuski wynoszący ok. 1,95 m. [przypis edytorski]

W drugim wierszu znajdował się wyraz „panieński”. Oczywiście uzupełnienie go nie przedstawiało żadnej trudności. Drogę wskazały mu słowa pasterza. Zatem napisał oba zdania:

Na zachód od Etretat
Pokój panieński

Trudniej poszło mu z trzecim wierszem. Dopiero gdy szukając po omacku, przypomniał sobie, że niedaleko grotty znajdował się zamek, zbudowany na miejscu fortu Fréfossé, zrekonstruował trzeci wiersz i prawie cały dokument:

Na zachód od Etretat
Pokój panieński
Pod fortem Fréfossé
Wydrążona Iglica

To były cztery wielkie formułki, formułki zasadnicze i główne, które koniecznie trzeba było znać, żeby znaleźć drogę do Iglicy.

A jak? Za pomocą wskazówek i miar podanych w wierszu czwartym:

P $\overline{\text{PF}}$  19 F + 44  357 

Były to widocznie formuły bardziej specjalne, przeznaczone do odszukania wejścia i drogi wiodącej do iglicy.

Beautrelet od razu założył — a jego hipoteza była logicznym wnioskiem z dokumentu — że jeśli rzeczywiście istniało bezpośrednie połączenie między lądem a obeliskiem Iglicy, to ten podziemny chodnik musiał zaczynać się w Pokoju Panieńskim, przechodzić pod fortem Fréfossé, opadać w dół o sto metrów wybrzeża i tunelem wydrążonym w skałach podmorskich docierać do Wydrążonej Iglicy.

Wejście do podziemnego chodnika? Czyż nie wskazywały go te dwie litery, P i F, tak wyraźnie wyrzeźbione, a może kontrolowały także jakiś sprytny mechanizm otwierający to wejście?

Przez cały ranek następnego dnia Izidor włóczył się po Etretat i gawędził tu i tam, żeby znaleźć jakąś pożyteczną wskazówkę. Wreszcie po południu poszedł nad morze. Przebrany za majtkę, odmłodził jeszcze i w swych przykrótkich spodniach i z siecią wyglądał jak dwunastoletni łobuz.

Zaledwie wszedł do grotty, od razu ukląkł przed literami. Czekał go jednak zawód. Stukał w nie, próbował przesuwać, naciskać, wszystko na nic: nie ruszyły się. Po chwili zdał sobie sprawę, że może nie mogą się ruszać, że zatem nie uruchamiają żadnego mechanizmu.

A jednak... a jednak musiały coś znaczyć. Z informacji zasięgniętych we wsi wynikało, że nikt nigdy nie umiał wytłumaczyć ich znaczenia i że sam ksiądz Cochet⁵⁹ w swej cennej książce o Etretat daremnie trudził się nad rozwiązaniem tego małego rebusu. Lecz Izidor wiedział to, o czym nie wiedział uczony archeolog normandzki, wiedział, że te dwie litery znajdowały się na dokumencie, w wierszu zawierającym wskazówki. Czyżby to był zbieg okoliczności? To niemożliwe. A więc?

Przyszedł mu nagle do głowy pewien pomysł, tak rozsądny i prosty, że ani przez chwilę nie wątpił w jego słuszność. Czyż P i F nie były inicjałami dwóch ważniejszych słów dokumentu, słów, które określały — wraz z iglicą — zasadnicze etapy drogi: Pokój

⁵⁹ *Cochet, Jean Benoît Désiré (1812–1875)* — francuski archeolog, ksiądz katolicki; jeden z założycieli archeologii jako dyscypliny naukowej we Francji, pierwszy kurator Muzeum Starożytności w Rouen, autor ponad 150 książek i artykułów. [przypis edytorski]

Panieński i fort *Fréfossé*? Zachodził między tymi literami i tymi słowami związek zbyt osobliwy, żeby mógł być przypadkowy.

A w takim razie problem przedstawiał się w ten sposób:

Grupa PF przedstawia związek istniejący między Pokojem Panieńskim a fortem *Fréfossé*, odosobniona litera P, zaczynająca wiersz, zastępuje wyraz „Panieński”, czyli oznacza grootę, gdzie trzeba najpierw stanąć, zaś odosobniona litera F, umieszczona w środku wiersza, przedstawia „*Fréfossé*”, to znaczy prawdopodobnie wejście do podziemia.

Między tymi różnymi znakami pozostają jeszcze dwa: rodzaj prostokąta z łukiem z lewej strony u dołu oraz liczba 19, znaki, które najwidoczniej wskazują tym, którzy są w grocie, sposób wejścia pod fort.

Ten prostokąt zaintrygował Izydora. Czy istniała wokół niego, na ścianach lub gdziekolwiek indziej, jakaś rzecz mająca kształt prostokąta?

Szukał długo i już był skłonny zaniechać poszukiwań w tym kierunku, kiedy jego wzrok natknął się na mały otwór wybity w skale niby okno grotty.

Otwór miał z grubsza kształt prostokąta i Beautrelet stwierdził po chwili, że stanąwszy oboma stopami na literach P i F wyrzeźbionych na posadzce — tak tłumaczyła się linia nakreślona nad obiema literami w dokumencie — znajdzie się na wysokości okienka!

Stanął więc tam i patrzył. Ponieważ okienko było zwrócone, jak już powiedziano, w stronę łądu, widać było przez nie najpierw ścieżkę wiodącą od grotty do łądu, a potem podstawę pagórka, na którym wznosił się fort.

Chcąc zobaczyć sam fort, Beautrelet przechylił się w lewo i teraz zrozumiał znaczenie małego łuku nakreślonego w prostokącie z lewej strony u dołu: z lewej strony okienka u dołu wystawał kawałek krzemienia, a jego koniec był zakrzywiony jak pazur. Wyglądało to jak muszka celownicza.

Spoglądając przez tę niby muszkę, napotykało się wzrokiem na stoku przeciwległego wzgórzka niewielki obszar ziemi zajęty prawie w całości przez stary ceglany mur, ślad starego fortu *Fréfossé*, a może obozu rzymskiego zbudowanego w tym miejscu.

Beautrelet pobiegł w kierunku tej resztki muru, długiego może na dwadzieścia metrów, porośniętego trawą i roślinami. Nie znalazł tam żadnej wskazówki.

No, a ta liczba 19?

Wrócił do grotty, wyjął z kieszeni kłębek szpagatu i metr, przymocował szpagat do wystającego w okienku krzemienia, przywiązał do dziewiętnastego metra szpagatu kamyczek i wyrzucił go przez okno. Kamyczek doleciał zaledwie do krańca ścieżki.

„O idioto, idioto! — pomyślał Beautrelet. — Czy w tamtych czasach mierzono w metrach? Dziewiętnaście oznacza dziewiętnaście sążni albo nie znaczy nic”.

Po przeprowadzeniu dokładnych obliczeń odmierzył trzydzieści siedem metrów na szpagacie, zrobił węzeł i macając, szukał na murze tego dokładnie punktu, w którym węzeł zrobiony na trzydziestym siódmym metrze od okienka grotty dotknął muru *Fréfossé*.

Po kilku chwilach ustalił ten punkt zetknięcia. Wolną ręką odgarnął nagromadzone liście. Wyrwał mu się okrzyk zdumienia i radości. Węzeł, który przytrzymał końcem palca wskazującego, leżał na środku małego krzyżyka wyrzeźbionego wypukło w cegle!

A w dokumencie po liczbie 19 następował właśnie krzyżyk.

Musiał skupić całą siłę woli, żeby zapanować nad ogarniającym go wzruszeniem. Pospiesznie dotknął niespokojnymi palcami krzyża i nacisnąwszy mocno, obrócił go tak, jakby obracał promienie koła. Cegła poruszyła się. Podwoił swój wysiłek, ale krzyż się już nie ruszył. Wówczas, nie próbując go już obracać, nacisnął mocno. Cegła poddała się i naraz usłyszał skrzypnięcie jakby otwierającego się zamka i na prawo od cegły szeroki na metr kawałek muru usunął się w głąb i odsłonił wejście do podziemia.

Beautrelet jak szalony chwycił żelazne drzwi, w które wprawione były cegły, przyciągnął je i zatrzasnął. Zdumienie, radość i strach, że go ktoś przyłapie, zmieniły jego twarz do poznania. Naszła go przyniatająca wizja tego wszystkiego, co się tu działo, przed tymi drzwiami, od dwudziestu wieków, wizja wszystkich tych ludzi, którzy wchodzili przez to wejście... Celtowie, Gallowie, Rzymianie, Normanowie, Anglicy, Francuzi, baronowie, książęta, królowie, a po nich wszystkich Arsène Lupin... a po Lupinie on, Beautrelet... Zdawało mu się, że postrada zmysły. Powieki mu drgały. Upadł wyczerpany i potoczył się na dół, na samą krawędź przepaści...

Jego zadanie było skończone, a przynajmniej ta część zadania, którą mógł wypełnić sam, opierając się na własnych siłach.

Wieczorem napisał do dyrektora policji długi list, w którym wiernie opisał wyniki swych badań i wyjawiał tajemnicę Wydrążonej Iglicy. Prosił o pomoc w dokończeniu dzieła i podał swój adres.

Wyczekując odpowiedzi, spędził dwie następne noce w Pokoju Panińskim. Spędził je pełen strachu, szmery nocy przerażały go. Co chwila zdawało się mu, że zbliżają się do niego jakieś cienie. Wiedzano o jego obecności w grocie... idą go zadusić...

Mimo to z rozpaczliwym wysiłkiem woli uparcie wpatrywał się w ścianę.

Pierwszej nocy nic się nie poruszyło, ale następnej przy świetle gwiazd i nikłego księżycy w nowiu zobaczył, jak drzwi się otwały i jakieś sylwetki wyłoniły się z ciemności. Naliczył ich pięć...

Zdawało się mu, że ci ludzie nieśli jakieś duże przedmioty. Poszli wprost na przelaj przez pola do drogi prowadzącej do Hawru; usłyszał hałas oddalającego się samochodu.

Szedł za nimi, lecz potem wrócił, obszedł duże gospodarstwo i na zakręcie drogi zaledwie miał czas, żeby wdrapać się na skarpę i schować za drzewami. Przeszło jeszcze pięciu ludzi, wszyscy nieśli pakunki. A po dwóch minutach odjechał drugi samochód.

Tym razem nie miał już siły wrócić na swoje stanowisko i poszedł spać do hotelu.

Kiedy się obudził, chłopak hotelowy przyniósł mu list. Otworzył go. Była to wizytówka Ganimarda.

— Nareszcie! — zawołał Beautrelet, który po tak twardej walce zaczął istotnie odczuwać potrzebę pomocy.

Poskoczył z wyciągniętymi rękoma do Ganimarda. Ganimard ujął jego dłonie, patrzył na niego przez chwilę i rzekł:

— Spryciarz z pana nie lada, młody człowieku!

— Ba — odpowiedział Izidor — pomógł mi przypadek.

— Z *nim* nie ma przypadków — orzekł inspektor, który mówił zawsze o Lupinie z powagą, nie wymieniając jego nazwiska.

Usiadł.

— A zatem mamy go?

— Tak jak go miano już przeszło dwadzieścia razy — rzekł, śmiejąc się, Beautrelet.

— Tak, lecz dzisiaj...

— Istotnie, dzisiaj sprawa wygląda całkiem inaczej. Znamy jego kryjówkę, jego fortecę, to, co sprawia, że Lupin jest Lupinem. On może się wymknąć, ale nie Iglica Etretat.

— Dlaczego pan przypuszcza, że może się wymknąć? — zapytał zaniepokojony Ganimard.

— Dlaczego pan przypuszcza, że potrzebuje się wymykać? — odparł Beautrelet. — Nie ma żadnego dowodu na to, że jest teraz w Iglicy. Tej nocy wyszło dziesięciu jego wspólników. Mógł być wśród nich.

Ganimard zamyślił się.

— Ma pan rację. Grunt to Wydrążona Iglica. Co do reszty miejmy nadzieję, że los nam po może. A teraz porozmawiajmy.

No nowo przybrał swój urzędowy wyraz i powiedział poważnym tonem:

— Drogi panie Beautrelet, kazano mi polecić panu, żeby pan całą tę sprawę zachował w jak największej tajemnicy.

— Rozkaz od kogo? — zapytał żartobliwie Beautrelet. — Od prefekta policji?

— Wyżej.

— Prezesa Rady Ministrów?

— Wyżej.

— Tam do licha!

Ganimard rzekł przyciszonym głosem:

— Beautrelet, przybywam z Pałacu Elizejskiego⁶⁰. Tę sprawę uważają za najwyższej wagi tajemnicę państwową. Istnieją poważne powody, żeby zachować w tajemnicy tę niewidzialną cytadelę... zwłaszcza ze względów strategicznych... Może ona się stać centrum

⁶⁰Pałac Elizejski — oficjalna siedziba prezydenta Francji, służąca również jako miejsce posiedzeń Rady Ministrów zbierającej się pod przewodnictwem prezydenta. [przypis edytorski]

zaopatrzenia, magazynem nowych prochów, świeżo wynalezionych pocisków, czy czegoś w tym rodzaju; po prostu tajnym arsenałem Francji.

— Ale jakże tam spodziewają się ustrzec taką tajemnicę? Niegdyś posiadał ją jeden człowiek, król. Dziś zna ją już kilkunastu z nas, nie licząc bandy Lupina.

— Ech! Żeby tylko zyskać dziesięć lat, choćby pięć lat milczenia!.. Tych pięć lat może stanowić... zbawienie.

— Ależ żeby opanować tę cytadelę, ten przyszły arsenał, trzeba go zaatakować, trzeba z niego wykurzyć Lupina. A tego wszystkiego nie da się zrobić bez hałasu.

— Oczywiście, będą się czegoś domyślali, ale nie będą wiedzieli. A zresztą cóż, spróbujmy.

— Zgoda. Jaki jest pański plan?

— W kilku słowach taki. Najpierw pan nie jest wcale Izydorem Beautreletem i tak samo nie chodzi wcale o Arsène'a Lupin. Jest pan i zostanie ulicznikiem z Etretat, który włócząc się, wypatrzył ludzi wychodzących z podziemi. Przypuszcza pan, że istnieją schody, które przecinają urwisko wybrzeża z góry na dół, czy tak?

— Tak, i jest więcej tych schodów wzdłuż wybrzeża. Na przykład powiedziano mi, że na prawo od Etretat, naprzeciw Benouville, znajdują się Schody Diabła, znane wszystkim kąpiącym się. A nie wspomnę już o kilku tunelach przeznaczonych dla rybaków.

— Zatem połowa moich ludzi pójdzie ze mną pod pańskim przewodnictwem. Wejść sam lub w towarzystwie, to zobaczymy. W każdym razie atakujemy tędy. Jeśli Lupina nie będzie w Iglicy, zastawimy pułapkę, w którą tego czy owego dnia wpadnie. A jeśli jest...

— Jeśli jest, panie Ganimard, to umknie z Iglicy od tylnej strony, wychodzącej na morze.

— W takim razie zaaresztuje go zaraz druga połowa mych ludzi.

— Tak, lecz jeśli pan, jak przypuszczam, wybierze chwilę, w której morze opada, zostawiając odsłoniętą podstawę Iglicy, polowanie będzie publiczne, bo wobec całej zgrai rybaków i rybaczek, zbierających małże i krewetki na sąsiednich skałach.

— Właśnie dlatego wybiorę chwilę, w której morze będzie pełne.

— W takim razie on umknie barką.

— A ponieważ będę tam miał cały tuzin barek rybackich, z których każdą będzie prowadził jeden z mych ludzi, przyłapiemy go.

— Jeśli nie przemknie się pomiędzy pańskimi dwunastoma barkami jak ryba między sieciami.

— No dobrze. W takim razie zatopię go.

— Do kroćset! Więc będzie pan miał armaty?

— Ależ tak. Jest teraz w Hawrze torpedowiec. Na mój telegram znajdzie się o wyznaczonej godzinie w pobliżu Iglicy.

— To dopiero Lupin będzie dumny! Torpedowiec!... Ale widzę, pan wszystko przewidział. Pozostaje tylko wyruszyć. Kiedy przypuszczamy szturm?

— Jutro.

— W nocy?

— W biały dzień, podczas przyływu, punktualnie o dziesiątej.

— Doskonale.

Pod pozorami wesołości Beautrelet ukrywał prawdziwy lęk. Nie spał aż do rana, układając jeden po drugim najdziwniejsze plany.

Ganimard rozstał się z nim i udał się do Yport, oddalonego o jakieś dziesięć kilometrów od Etretat, gdyż tam z ostrożności wyznaczył spotkanie swym ludziom i tam wynajął dwanaście barek rybackich, niby dla sondowania wzdłuż brzegów.

Za kwadrans dziesiąta w towarzystwie dwunastu krzepkich ludzi spotkał się z Izydorem na dole ścieżki prowadzącej na klif.

Punktualnie o dziesiątej przybyli pod ścianę. Nadeszła decydująca chwila.

— Co ci jest, Beautrelet? Zzieleniałeś — zakpił Ganimard, mówiąc do niego żartobliwie „ty”.

— A ty, panie Ganimard, sam siebie nie widzisz, a myślałby kto, że to nadeszła twoja ostatnia godzina.

Musieli usiąść i Ganimard wypił kilka łyków rumu.

— To nie strach — rzekł — ale jednak, psiakrew, co za emocje! Każdym razem, kiedy go mam przyłapać, coś mnie ściska w środku. Może odrobinę rumu?

— Dziękuję.

— A jeśli pan ustanie w drodze?

— Chyba nieżywy.

— Do licha. Zresztą zobaczymy. A teraz proszę otworzyć. Nie trzeba się obawiać, że nas spostrzegą, co?

— Nie. Iglica jest niższa od brzegów, a zresztą znajdujemy się w zagłębieniu.

Beautrelet zbliżył się do muru i nacisnął cegłę. Dało się słyszeć skrzypnięcie i ukazało się wejście do podziemia.

Przy świetle latarni, którą zapalili, spostrzegli, że podziemie było sklepione i że sklepienie, tak samo jak posadzka, było wyłożone cegłami.

Szli kilka sekund i naraz ukazały się schody.

Beautrelet naliczył czterdzieści pięć stopni, ceglanych stopni wyżłobionych pośrodku od powolnego, długiego działania kroków ludzkich.

— Psiakrr... — zaklął Ganimard, idący na czele, przystanąwszy nagle, jakby się na coś natknął.

— Co tam?

— Drzwi.

— Do kroćset — mruknął Beautrelet — i to niełatwe do rozbicia. Po prostu blok żelaza.

— Utknęliśmy — rzekł Ganimard. — Nawet nie ma w nich zamka.

— Właśnie. Ale to właśnie budzi we mnie nadzieję.

— Dlaczegoż to?

— Drzwi są po to, żeby się otwierały, a jeśli w nich nie ma zamka, to znaczy, że istnieje jakiś tajemny sposób.

— A ponieważ my go nie znamy...

— Zaraz go poznam.

— Jak?

— Za pomocą dokumentu. Czwarty wiersz ma za zadanie rozwiązywać trudności, w miarę jak się nastęrczają. A rozwiązanie jest stosunkowo łatwe, gdyż wiersz jest wypisany nie po to, żeby szukających mylić, lecz żeby im pomagać.

— Stosunkowo łatwe! Nie zgadzam się z panem — zawołał Ganimard, który rozpostarł dokument. — Liczba czterdzieści cztery i trójkąt z kropką z lewej strony są raczej niejasne.

— Ależ nie, ależ nie. Niech pan zbada drzwi. Zobacz pan, że są wzmocnione na wszystkich czterech rogach żelaznymi płytami w kształcie trójkątów i że płyty są przymocowane dużymi gwoździami. Niech pan sięgnie do płyty z lewej strony na dole i naciśnie gwoździe, który jest w narożniku... Szanse dziewięć do jednego, że trafimy dobrze.

— Utknął pan na dziesiątce — rzekł Ganimard po nieudanej próbie.

— Zatem to znaczy, że liczba czterdzieści cztery...

Cichym głosem, zastanawiając się, Beautrelet kontynuował:

— Zobaczmy... Ganimard i ja znajdujemy się na ostatnim stopniu schodów... Jest ich czterdzieści pięć... Czemu czterdzieści pięć, skoro dokument podaje liczbę czterdzieści cztery?... Pomyłka? Nie... w całej tej sprawie nie było żadnych pomyłek, przynajmniej mimowolnych. Panie Ganimard, proszę z łaski swojej wrócić o jeden stopień wstecz. A teraz ja nacisnę żelazny gwoździe... I drzwi ustąpią... Albo zupełnie nie pojmuję...

Ciężkie drzwi obróciły się na zawiasach. Ukazała się im dość obszerna jaskinia.

— Musimy znajdować się pod samym fortem Fréfossé — powiedział Beautrelet. — Przeszliśmy przez pokłady ziemi. Skończyła się cegła. Jesteśmy w środku litego wapienia.

Sala była słabo oświetlona promieniami światła, dochodzącymi z drugiego końca. Zbliżywszy się, spostrzegli, że to była szczelina w urwisku, zrobiona w występie ściany i tworząca rodzaj obserwatorium. Przed nimi, pięćdziesiąt metrów dalej, wznosił się z wody potężny blok Iglicy. Po prawej, bardzo blisko, znajdował się łuk Bramy Aval, a z lewej,

Tajemnica

bardzo daleko, zamykał harmonijne zagięcie zatoki drugi łuk, jeszcze wspanialszy, odcinający się od brzegu, zwany Manneporte (*magna porta*⁶¹), tak wielki, że przepłynąłby pod nim statek z postawionymi masztami i rozwiniętymi żaglami. Dalej wszędzie morze.

— Nie widzę żadnej flotyli — powiedział Beautrelet.

— Nie da się — odparł Ganimard. — Brama Aval zasłania nam całe wybrzeże Etretat i Yport. Ale niech no pan zobaczy, tam daleko, na pełnym morzu, ta czarna linia na wodzie...

— No?...

— To nasza flota wojenna, torpedowiec numer dwadzieścia pięć. Teraz Lupin może uciekać... jeśli chce poznać podmorskie krajobrazy.

Poręcz wskazywała początek schodów, tuż obok szczeliny. Weszli na nie. Od czasu do czasu zjawiało się w ścianie małe okienko i za każdym razem ukazywała się im Iglica, wyglądająca coraz to potężniej.

Tuż przed osiągnięciem poziomu wody okienka zniknęły.

Izydor głośno liczył stopnie. Na trzysta pięćdziesiątym ósmym musiał przystanąć: natknęli się na szerszy korytarz, również zamknięty żelaznymi drzwiami, które były wzmocnione żelaznymi płytami i gwoździami.

— Już to znamy — powiedział Beautrelet. — Dokument podaje nam liczbę trzysta pięćdziesiąt siedem i trójkąt z kropką po prawej. Powtórzmy operację.

Drugie drzwi poddały się podobnie jak pierwsze. Ukazał się długi tunel, oświetlony silnymi lampami zawieszonymi w równych odstępach na sklepieniu. Ściany były mokre, a krople wody spadały na ziemię, tak że dla ułatwienia przejścia z jednego końca na drugi położono chodnik z desek.

— Wchodzimy pod morze — rzekł Beautrelet. — Idzie pan, panie Ganimard?

Inspektor nie odpowiedział, wszedł do tunelu i poszedł po drewnianym chodniku. Przy pierwszej latarni zatrzymał się, przyjrzał się jej i zauważył:

— Całe wnętrze pochodzi może ze średniowiecza, ale oświetlenie jest zupełnie nowoczesne. Ci panowie świecą sobie lampami żarowymi.

Ruszył dalej. Tunel dochodził do drugiej grotty, o wiele większej, w której po przeciwnej stronie widać było pierwsze stopnie schodów prowadzących w górę.

— Tu zaczyna się droga w górę Iglicy — powiedział Ganimard. — Sprawa zaczyna być poważniejsza.

Lecz jeden z jego ludzi zawołał:

— Panie inspektorze, tu na lewo są drugie schody.

A zaraz potem odkryli trzecie, z prawej strony.

— Do licha — mruknął inspektor — sytuacja zaczyna się komplikować. Jeśli my pójdziemy tędy, oni umkną tamtędy.

— Rozdzielmy się — zaproponował Beautrelet.

— Nie, nie... Tym osłabiliśmy się tylko... Niech raczej jeden z nas pójdzie na zwiaady.

— Ja pójdę, jeśli pan chce...

— Zgoda. Ja zostanę tutaj ze swymi ludźmi... tak nie będzie powodu do obaw. Mogą być inne drogi prócz tej, którą wybraliśmy na klifie, tak samo może być więcej dróg w Iglicy. Ale z pewnością między wybrzeżem a Iglicą nie ma żadnego innego połączenia prócz tego tunelu. Dlatego przez tę grotę musi się przejść. Zostanę więc tu aż do pańskiego powrotu. Niech pan idzie, panie Beautrelet. Niech pan będzie ostrożny... a w razie najmniejszego podejrzenia zaraz wraca.

Beautrelet szybko zniknął na środkowych schodach. Na trzydziestym stopniu natknął się na drzwi, prawdziwe drewniane drzwi. Nacisnął klamkę, drzwi się otwały.

Wszedł do sali, która wydała mu się bardzo niska, tak była olbrzymia.

Oświetlona silnymi lampami, podparta przysadzistymi filarami, pomiędzy którymi otwierały się dalekie perspektywy, musiała być prawie tych rozmiarów co Iglica.

Zapełniały ją skrzynie, mnóstwo najrozmaitszych przedmiotów, meble, stolki szafy, kredensy, kufry, cały bałagan, jaki się widuje w piwnicach handlarzy antykami.

⁶¹*magna porta* (łac.) — wielka brama. [przypis edytorski]

Po prawej i lewej stronie Beautrelet dostrzegł wyloty schodów, zapewne tych samych, które zaczynały się w niższej grocie. Mógł więc zejść i powiadomić Ganimarda. Ale na wprost niego biegły w górę nowe schody i ciekawość popchnęła go, by iść samemu dalej.

Jeszcze trzydzieści stopni, potem drzwi i inna sala, jak mu się zdawało, trochę mniejsza. I znowu naprzeciwko schody idące w górę.

Jeszcze trzydzieści stopni. Drzwi. Sala o wiele mniejsza.

Beautrelet zrozumiał plan budowli wewnątrz Iglicy. Był to szereg pomieszczeń położonych nad sobą, zatem coraz to mniejszych. Wszystkie służyły jako magazyny.

W czwartym nie było już lamp. Trochę światła dziennego wnikało przez szczeliny i Beautrelet o jakieś dziesięć metrów pod sobą zobaczył morze.

W tej chwili poczuł się tak daleko od Ganimarda, że zaczął go nachodzić pewien lęk i musiał zapanować nad nerwami, żeby nie uciec co sił w nogach. Jednak nie groziło mu żadne niebezpieczeństwo, a wokół niego panowała tak głęboka cisza, że zadał sobie pytanie, czy Lupin i jego współnicy nie opuścili już zupełnie Iglicy.

„Na następnym piętrze się zatrzymam” — pomyślał.

Znowu trzydzieści stopni, potem drzwi, już lżejsze, o współczesnym wyglądzie. Pchnął je lekko, gotowy do ucieczki. Nikogo. Ale sala różniła się od poprzednich. Na ścianach gobeliny, na podłodze dywany.

Naprzeciw siebie stały dwie wspaniałe szafy pełne złotych naczyń. Małe okienka, wycięte w wąskich, głębokich szczelinach, były zaopatrzone w szyby.

Na środku sali stał bogato zastawiony stół z koronkowym obrusem, na którym rozstawiono naczynia z owocami i ciastkami, szampan w karafkach i kwiaty, mnóstwo kwiatów.

Na stole trzy nakrycia.

Beautrelet zbliżył się. Na serwetach znajdowały się bilety z nazwiskami biesiadników.

Przeczytał najpierw: Arsène Lupin.

Naprzeciwko: Pani Arsène'owa Lupin.

Wziął trzeci bilet i podskoczył zdumiony. Na nim widniało jego nazwisko. Izidor Beautrelet!

ROZDZIAŁ X. SKARBIEC KRÓLÓW FRANCUSKICH

Odchyliła się zasłona.

— Dzień dobry, drogi panie Beautrelet, trochę się pan spóźnił. Obiad był ustalony na dwunastą. No, ale ostatecznie, kilka minut... Cóż to? Nie poznaje mnie pan? Więc tak się zmieniłem?

W trakcie walki z Lupinem Izidor spotkał się z wieloma niespodziankami i spodziewał, że w decydującej godzinie dozna jeszcze wielu różnych wrażeń, ale tym razem został całkowicie zaskoczony. To nie było już zdziwienie, lecz osłupienie i strach.

Człowiek, który stał naprzeciw niego, którego brutalna siła wypadków kazała mu uważać za Arsène'a Lupin, ten człowiek to był Valmérias. Valmérias, właściciel zamku Iglicy! Valmérias, ten sam, u którego szukał pomocy przeciw Arsène'owi Lupin! Valmérias, towarzysz jego wyprawy do Crozant! Valmérias, ten śmiały przyjaciel, który umożliwił wyzwolenie Rajmundy, natarłszy, albo udając, że naciera, na jednego z współników Lupina!

— Pan... pan... Więc to pan! — wyjąkał Beautrelet.

— Czemużby nie? — zawołał Lupin. — Więc sądził pan, że mnie pan zna definitywnie, ponieważ mnie pan widział jako pastora i jako Massibana? Niestety! Skoro się obrało pozycję społeczną, którą zajmuję, trzeba korzystać ze swych drobnych zdolności. Gdyby Lupin nie mógł w miarę potrzeby być pastorem i członkiem Akademii Inskrypcji i Literatury Pięknej, ciężko byłoby być Lupinem. Otóż prawdziwy Lupin jest tu, panie Beautrelet! Niech mu się pan dobrze przypatrzy.

— A w takim razie... jeśli to pan... to... panna...

— Ależ zaraz, Beautrelet...

Odchylił znowu zasłonę, dał znak ręką i oznajmił:

— Pani Arsène'owa Lupin.

— Ach! — szepnął młodzieniec, zakłopotany. — Panna de Saint-Véran!

— Nie, nie — zaprzeczył Lupin — pani Arsène'owa Lupin! Albo jeśli pan woli: pani Ludwikowa Valméras, moja prawowita małżonka, zaślubiona mi wedle wszelkich formalności prawnych. I to dzięki panu, panie Beautrelet.

Wyciągnął do niego rękę.

— Serdecznie panu dziękuję... i sądę, że się pan na mnie nie gniewa.

Co dziwne, Beautrelet nie odczuwał żadnego gniewu, upokorzenia ani goryczy. Całkowicie uznał ogromną wyższość swego przeciwnika i nie wstydził się, że został zwyciężony.

Uścisnął podaną prawicę.

— Proszę pani, podano do stołu.

Służący postawił na stole tacę pełną dań.

— Proszę nam wybaczyć, panie Beautrelet, nasz kucharz odszedł i będziemy musieli ograniczyć się do zimnych potraw.

Beautrelet zupełnie nie miał ochoty na jedzenie. Usiadł jednak, niezmiernie zainteresowany zachowaniem Lupina. Ile dokładnie wiedział? Czy zdawał sobie sprawę z grożącego mu niebezpieczeństwa? Czy nie wiedział o obecności Ganimarda i jego ludzi?

A Lupin mówił dalej:

— Tak, dzięki panu, drogi przyjacielu. Oczywiście, Rajmunda i ja pokochaliśmy się od pierwszego dnia. Tak, mój drogi... Porwanie Rajmundy, uwięzienie, wszystko to były sztuczki: myśmy się kochali.. Lecz ani ona, ani ja, chociaż mogliśmy swobodnie kochać się, nie mogliśmy pozwolić na to, żeby się między nami nawiązał jeden z tych przelotnych stosunków, które są na łasce losu. Zatem sytuacja była dla Lupina niemożliwa do rozwiązania. Na szczęście rzecz miałaby się inaczej, gdyby znowu został Valmérasem, którym nie przestałem być od dzieciństwa. Otóż wówczas przyszło mi na myśl, ponieważ pan nie dał za wygraną i odnalazł zamek Iglicy, przyszło mi na myśl skorzystać z pańskiego uporu.

— I z mojej naiwności.

— Ba, cały świat dał się nabrać.

— Zatem udało się panu pod moją osłoną, przy mojej pomocy?

— Oczywiście! Jakżeby ktoś mógł podejrzewać Valmérasa, że to Lupin, skoro Valméras był przyjacielem Beautreleta, skoro wydarł Lupinowi tę, którą kochał? To było cudowne. Och, piękne wspomnienia. Wyprawa do Crozant! Znalezione bukiety kwiatów! Mój niby list miłosny do Rajmundy! A później te środki ostrożności, które ja, Valméras, musiałem przedsięwziąć przed sobą, Lupinem, zanim nastąpił ślub! I ten sławny wieczór z bankietem na pańską cześć, kiedy pan zemdlął w mych ramionach! O, piękne wspomnienia!...

Nastąpiło milczenie. Beautrelet obserwował Rajmundę. Słuchała Lupina, nie mówiąc ani słowa, patrzyła na niego oczyma, w których widniała miłość i namiętność, i coś jeszcze, czego młodzieniec nie umiał nazwać, jakby rodzaj zakłopotania i nieokreślonego smutku.

Lecz Lupin spoznał na nią i uśmiechnęła się do niego czule. Ich ręce spotkały się nad stołem.

— Cóż powiesz o tym, jak to tutaj urządziłem, Beautrelet? — zawołał Lupin. — Ujdzie, prawda? Nie twierdzą bynajmniej, żeby to był najwyższy komfort... A jednak niektórzy byli z niego zadowoleni, i to nie byle jacy... Zobacz no listę kilku osobistości, które były właścicielami Iglicy i uważały za godne siebie zostawić tu ślad swego pobytu.

Na ścianach, jedno pod drugim, wyryto nazwiska.

Cezar. Karol I. Roll. Wilhelm Zdobywca. Ryszard, król angielski. Ludwik XI. Franciszek, Henryk IV. Ludwik XIV. Arsène Lupin.

— Któż się teraz będzie wpisywał? — mówił dalej. — Niestety, lista jest zamknięta. Od Cezara do Lupina... i koniec. Niebawem bezimienny tłum przyjdzie oglądać osobliwą cytadelę. I pomyśleć, że bez Lupina wszystko to pozostałoby na zawsze nieznanne. Ach, Beautrelet, ów dzień, w którym stanąłem w tym opustoszałym zakątku! Jakież to było uczucie dumy! Odnaleźć zagubioną tajemnicę, stać się jej jedynym panem! Dziedzicem takiego spadku. Po tylu królach zamieszkać w Iglicy...

Przerwał mu gest jego żony. Wyglądała na bardzo zaniepokojoną.

— Jakiś hałas — rzekła. — Jakiś hałas pod nami... Słyszysz?...

— To plusk wody — odparł Lupin.
— Ależ nie... nie... Znam szmer fal... to coś innego.
— A cóż by to mogło być, moja droga? — powiedział, śmiejąc się Lupin. — Zaprosiłem na śniadanie tylko Beautreleta.

I zwrócił się do służącego:

— Charolais, czy zamknąłeś drzwi na schodach za panem?

— Tak, i założyłem rygle.

Lupin wstał.

— No, Rajmundo, nie drżysz tak... Ależ ty całkiem pobladłaś!

Wyszeptał do niej kilka słów, potem do służącego, podniósł kotarę i kazał obojgu wyjść.

Hałas na dole stawał się coraz wyraźniejszy. Były to głucho uderzenia, które powtarzały się w równych odstępach. Beautrelet pomyślał:

„Ganimard stracił cierpliwość i wyważa drzwi”.

Zupełnie spokojnie i jakby nic nie słyszał, Lupin mówił dalej:

— Na przykład, jak okropnie była uszkodzona Iglica, kiedy udało mi się ją odkryć! Widać było, że nikt nie znał tajemnicy od ponad stulecia, od Ludwika Szesnastego i Rewolucji. Tunelowi groziła ruina. Schody się pozapadały. Woda wdzierała się do środka. Musiałem naprawiać, wzmacniać, odbudowywać.

Beautrelet nie mógł się powstrzymać i zapytał:

— Czy kiedy przybył pan tutaj, była pusta?

— Prawie. Królowie nie musieli używać Iglicy tak jak ja, jako składu...

— Więc jako kryjówek?

— Tak, bez wątpienia, w czasach najazdów, także w czasach wojen domowych. Lecz prawdziwym jej przeznaczeniem było służyć za... jakby to powiedzieć?... skarbiec królów francuskich.

Ciosy podwoiły się, coraz wyraźniejsze. Ganimard musiał wylamać pierwsze drzwi i atakował drugie. Cisza, potem znowu uderzenia, jeszcze bliższe. To były trzecie drzwi. Zostało jeszcze dwoje.

Przez jedno z okien Beautrelet zobaczył barki otaczające Iglicę, a niedaleko, niczym wielka, czarna ryba, pływał torpedowiec.

— Cóż za hałas? — zawołał Lupin. — Człowiek już sam siebie nie słyszy. Chodźmy na górę, dobrze? Może cię zainteresuje zwiedzenie Iglicy.

Weszli na następne piętro, którego broniły, jak wszystkich innych, drzwi. Lupin zamknął je za sobą.

— Moja galeria obrazów — powiedział.

Ściany były pokryte płótnami, pod którymi Beautrelet od razu odczytał najświetniejsze nazwiska. Była tam *Dziewica z Barankiem Bożym* Rafaela, *Portret Lukrecji Fede Andrei del Sarto*, *Salome* Tycjana, *Dziewica z aniołami* Botticellego, dzieła Tintoretta, Carpaccia, Rembrandta, Velasqueza...

— Piękne kopie — przyznał Beautrelet.

Lupin spojrział na niego zdumiony.

— Co? Kopie! Czyś oszalał! Ależ kopie są w Madrycie, kochany, we Florencji, w Wenecji, w Monachium, w Amsterdamie.

— Więc to?...

— Oryginały, zebrane z cierpliwością ze wszystkich muzeów Europy, gdzie je łaskawie zastąpiłem doskonałymi kopiami.

— Ale kiedyś...

— Kiedyś oszustwo wyjdzie na jaw. Dobrze. Znajdą wówczas mój podpis na każdym obrazie — z tyłu — i będą wiedzieli, że to ja darowałem swemu krajowi tyle oryginalnych arcydzieł. Zresztą nie zrobiłem nic innego, niż Napoleon we Włoszech... Ach, widzisz, Beautrelet, oto cztery Rubensy pana Gesvres.

Uderzenia nie ustawały.

— Ach, to staje się już nieznośne! — rzekł Lupin. — Idźmy na górę.

Nowe schody. Nowe drzwi.

— Sala gobelinów — oznajmił Lupin.

Nie były one rozwieszane, tylko zwinięte, związane, opatrzone etykietami, zmieszane zresztą z pakietami starych tkanin, które Lupin rozkładał. Były tam cudowne brokarty, przedziwne aksamity, subtelne jedwabie o przybladłych tonach, ornaty tkane złotem i srebrem.

Weszli jeszcze wyżej i Beautrelet zobaczył salę zegarów, salę książek (och, te wspaniałe oprawy i cenne tomy, białe kruki, unikatowe egzemplarze, skradzione z wielkich bibliotek), salę koronek, salę bibelotów.

A za każdym razem średnica sali się zmniejszała. I za każdym razem hałas ciosów oddalał się. Ganimard tracił pozycję.

— Ostatnia sala — rzekł Lupin. — Skarbiec.

Ta była zupełnie odmienna. Również okrągła, lecz bardzo wysoka, stożkowata, zajmowała szczyt budynku, a jej podstawa musiała znajdować się o piętnaście czy dwadzieścia metrów od ostrza Iglicy.

Od strony wybrzeża nie było żadnego okienka, Ale od strony morza, skąd nie trzeba się było obawiać żadnych spojrzeń, znajdowały się dwa oszklone otwory, wpuszczające dostateczną ilość światła.

Posadzkę pokryto rzadkim drewnem, ułożonym w koncentryczny wzór.

Na ścianach kilka obrazów.

— Perły mojej kolekcji — powiedział Lupin. — To wszystko, co widziałeś dotąd, jest na sprzedaż. Rzeczy przychodzą i odchodzą. To interesy. Tu, w tym sanktuarium, wszystko jest święte. Sam wybór, najlepsze z najlepszych, rzeczy bezcenne. Popatrz, Beautrelet, na te klejnoty, na te chaldejskie amulety, egipskie naszyjniki, celtyckie bransolety, arabskie łańcuszki... Patrz, Beautrelet, na te posążki, na tę grecką Wenerę⁶², na tego korynckiego Apollina⁶³... Patrz na te figurki z Tanagry⁶⁴... Wszystkie prawdziwe Tanagry są tutaj. Poza tą gablotką nie ma w świecie żadnej autentycznej Tanagry. Jakaż to rozkosz, móc sobie to powiedzieć! Beautrelet, czy przypominasz sobie rabusiów kościołów na Południu, Thomasa i jego bandę, moich agentów, nawiasem mówiąc? Oto prawdziwy relikwiarz z Ambazac. Mój Beautrelet, czy przypominasz sobie skandal z Luwru, tiarę uznaną za fałszywą, wymyśloną i sfabrykowaną przez współczesnego artystę?... Oto prawdziwa tiara Sajtafernesa⁶⁵, Beautrelet!... Patrz, patrz dobrze, Beautrelet, oto cud cudów, oto najwyższe arcydzieło, oto myśl Boga, *Mona Lisa* Leonarda, prawdziwa. Na kolana, Beautrelet, masz przed sobą objawienie kobiety!

Nastąpiło długie milczenie. Na dole uderzenia zbliżały się. Od Ganimarda oddzielało ich co najwyżej dwoje, troje drzwi. Na pełnym morzu widać było czarny grzbiet torpedowca i pływające barki.

Młodzieniec zapytał:

— A skarb?

— Ach, kochany, to to cię najwięcej interesuje? Wszystkie te arcydzieła sztuki ludzkiej uważasz za niegodne ciekawości w porównaniu ze skarbem... A cały tłum będzie taki sam jak ty!... Dalejże, niech ci się stanie zadość.

Tupnął gwałtownie nogą, przechylając w ten sposób jeden z krząków tworzących parkiet. Podniósł go niczym wieko pudełka i odsłonił rodzaj okrągłej kadzi wydrążonej w litej skale. Była pusta.

Trochę dalej powtórzył tę samą czynność. Ukazała się druga kadź, również pusta.

Jeszcze trzy razy uczynił to samo. Trzy dalsze kadzie były puste.

⁶²Wenera a. *Wenus* (mit. rzym.) — bogini miłości i piękna, odpowiednik greckiej Afrodyty. [przypis edytorski]

⁶³*Apollo* (mit. gr.) — bóg słońca i światła, klasyczny ideał męskiego piękna. [przypis edytorski]

⁶⁴*figurki z Tanagry* — określenie niewielkich figurek z terakoty przedstawiających dziewczęta i kobiety, wytwarzanych w okresie hellenistycznym, początkowo w Tanagrze w Grecji, później również w innych regionach; odznaczały się starannym modelunkiem i wdziękiem. [przypis edytorski]

⁶⁵*tiara Sajtafernesa* — złote nakrycie głowy należące rzekomo do scytyjskiego władcy Sajtafernesa (III w. p.n.e.), zakupione w 1896 przez muzeum w Luwrze; w rzeczywistości fałszyfikat sporządzony na zlecenie dwójki handlarzy starożytnościami, na podstawie znanych z publikacji dzieł sztuki scytyjskiej. [przypis edytorski]

— He! — kpił Lupin. — Jaki zawód! Za Ludwika Jedenastego⁶⁶, za Henryka Czwartego, za Richelieu⁶⁷ tych pięć kadzi musiało być pełnych. Ale pomyśl o Ludwiku Czternastym, o szaleństwach Wersalu, o wojnach, o wielkich nieszczęściach królestwa! I pomyśl o Ludwiku Piętnastym, królu utracjuszu, o pani Pompadour⁶⁸, o du Barry⁶⁹! Ile w tamtych czasach musieli stąd czerpać! Jak musieli tu drzeć pazurami! I widzisz, pustka...

Zatrzymał się.

— Tak, Beautrelet, jest jeszcze coś... szósty schowek! Nietknięty... Nikt z nich nie śmiał stąd nic ruszyć. Był to ostatni ratunek... resztki skarbu na czarną godzinę. Patrz, Beautrelet.

Nachylił się i podniósł pokrywę. W kadzi znajdował się żelazny kuferek. Lupin wyjął z kieszeni jakiś skomplikowany kluczyk i otworzył.

Olśnieniu! Wszystkie drogocenne kamienie zajaśniały, rozgorzały wszelkie barwy, lawury szafirów, ognie rubinów, zieleń szmaragdów, słońca topazów.

— Patrz, no patrz, mały. Pochłonęli wszystkie pieniądze ze złota, wszystkie pieniądze ze srebra, wszystkie talary, wszystkie dukaty i dublony, lecz kuferek z klejnotami został nietknięty. Oglądnij oprawy. Są ze wszystkich epok, wszystkich wieków i wszystkich krajów. Są tu posągi królowych. Każda wniosła swą część, Małgorzata Szkocka i Karolina Sabaudzka, Maria Angielska i Katarzyna Medycejska, i wszystkie arcyksiężniczki austriackie, Eleonora, Elżbieta, Maria Teresa, Maria Antonina... Spójrz na te perły, Beautrelet, i na te diamenty! Te ogromne diamenty! Każdy z nich godzien królowej! Regent⁷⁰ francuski nie jest piękniejszy!

Wstał i podniósł rękę jak do przysięgi:

— Beautrelet, powiesz całemu światu, że Lupin nie wziął ani jednego kamienia z królewskiego kufereka, ani jednego, przysięgam na honor! Nie miałem do tego prawa. To był majątek Francji.

Na dole Ganimard przyspieszał. Z odgłosu uderzeń łatwo można było wywnioskować, że wyważono przedostatnie drzwi, te, które prowadziły do sali bibelotów.

— Zostawmy ten kuferek otwarty — rzekł Lupin — i wszystkie te puste kadzie, wszystkie te małe, puste groby...

Obszedł całą salkę, obejrzał niektóre gablotki, przystanął przed niektórymi obrazami i przechadzając się, powiedział w zamyśleniu:

— Jak smutno opuszczać to wszystko! Jakże to rozdziera serce! Spędziłem tu swoje najpiękniejsze godziny, sam, przed tymi przedmiotami, które kocham... Moje oczy już ich nigdy nie zobaczą, nie dotkną ich nigdy moje ręce.

Na jego ściągniętej twarzy malowała się taka boleść, że Beautrelet poczuł litość. Ból musiał u tego człowieka przybierać większe rozmiary niż w innych, tak samo jak radość, duma lub upokorzenie.

Stanąwszy blisko okna, wyciągnął palec w stronę horyzontu i rzekł:

— A co jeszcze smutniejsze, to to, że muszę to wszystko porzucić. Czy to nie piękne? Bezmiar morza... niebo... na prawo i na lewo wybrzeża Etretat z trzema bramami, bramą Amont, bramą Aval, Manneporte... tyloma lukami tryumfalnymi dla władcy... A władcą byłem ja. Król awantury. Król Wydrążonej Iglicy. Królestwo osobliwe i nadprzyrodzone. Od Cezara do Lupina... Cóż za przeznaczenie.

Wybuchnął śmiechem.

— Król wrózek, czemu nie? Powiedzmy to od razu, król Yvelot. Cóż za błaga. Król świata, tak to prawda. Z tego cypla Iglicy panowałem nad całym światem. Trzymałem go

⁶⁶Ludwik XI (1423–1483) — król Francji (od 1461), złamał potęgę wielkich feudałów. [przypis edytorski]

⁶⁷Richelieu, Armand-Jean du Plessis de (1585–1642) — francuski książę, kardynał, od 1624 pierwszy minister Francji; faktycznie kierował polityką państwa. [przypis edytorski]

⁶⁸pani Pompadour, właśc. Jeanne Antoinette Poisson, markiza de Pompadour (1721–1764) — wpływowa kochanka króla Ludwika XV, protektorka artystów i autorów *Wielkiej Encyklopedii Francuskiej*. [przypis edytorski]

⁶⁹pani du Barry, właśc. Jeanne Becu, hrabina du Barry (1743–1793) — francuska kurtyzana, metresa (oficjalna kochanka) króla Ludwika XV. [przypis edytorski]

⁷⁰Regent — tu: 140-karatowy diament, uważany za najczystszy i najpiękniejszy na świecie; kupiony za olbrzymią sumę w 1717 przez ówczesnego regenta Francji, księcia orleańskiego, zdobył obręcz korony królewskiej Ludwika XV; obecnie stanowi własność państwa francuskiego, jest przechowywany w Luwrze, w Paryżu. [przypis edytorski]

w szponach jak swój łup. Podnieś tiarę Sajtfafernesa, Beautrelet... Widzisz ten podwójny aparat telefoniczny... Na prawo to połączenie z Paryżem, linia specjalna. Na lewo to połączenie z Londynem, linia specjalna. Przez Londyn mam Amerykę, Azję, Australię! We wszystkich tych częściach świata mam biura, agentów, pośredników, to przemysł międzynarodowy. To jest wielki handel sztuką i starożytnościami, jarmark świata. Ach, Beautrelet, bywają chwile, w których moja potęga wywołuje zawrót w mojej głowie. Bywam pijany siłą i władzą...

Dolne drzwi ustąpiły. Słysząc było, jak Ganimard i jego ludzie biegną i szukają...

Po chwili Lupin zaczął mówić dalej przyciszonym głosem:

— I oto wszystko się skończyło... Przyszła pewna dziewczynka, która ma jasne włosy, piękne, smutne oczy i szlachetną duszę, tak, szlachetną duszę... I oto koniec... ja sam burzę ten ogromny gmach... Wszystko wydaje mi się głupie i dziecinne... jedynie jej włosy coś warte... jej smutne oczy... i jej szlachetna duszyczka...

Ludzie Ganimarda weszli na schody. Rozległ się cios w ostatnie drzwi...

Lupin ścisnął gwałtownie ramię Beautreleta.

— Rozumiesz teraz, czemu cię zawsze wypuszczałem wolno, chociaż od tyłu tygodni mogłem cię zgnieść? Rozumiesz, jakim cudem udało ci się dotrzeć aż tutaj? Czy rozumiesz, że oddałem każdemu ze swych ludzi jego część łupu i że wszystkich ich spotkałeś w nocy na wybrzeżu? Rozumiesz to? Wydrążona Iglica to Awantura. Dopóki jest moja, jestem Awanturnikiem. Iglica odebrana to przeszłość, która ode mnie odpada, to zaczynająca się przyszłość, przyszłość spokojna i szczęśliwa, w której nie będę się rumienił pod spojrzzeniami Rajmundy... przyszłość...

Odwrócił się wściekły do drzwi:

— Uciszyć się, Ganimard, nie skończyłem jeszcze swojej przemowy!

Ciosy padały niczym uderzenia taranu we drzwi.

Beautrelet, stojący naprzeciw Lupina, z ciekawością czekał rozwoju wypadków, nie rozumiejąc zachowania Lupina. Oddał Iglicę, no dobrze, ale czemuż wydaje siebie? Jaki był jego plan? Czy spodziewał się wymknąć Ganimardowi? A z drugiej strony, gdzie znajdowała się Rajmunda?

A Lupin tym czasem rozmyślał, mrużąc:

— Szlachetny... Arsène Lupin szlachetny... już żadnych kradzieży... żyć jak wszyscy inni... A czemużby nie? Czemużby i mnie nie miało się udać... No, dajże mi spokój, Ganimard! Nie wiesz, po trzykroć idioto, że właśnie wygłaszam historyczne słowa i że Beautrelet notuje je dla potomności!

Zaczął się śmiać:

— Tracę nadaremnie czas. Ganimard nigdy nie pojmie wartości mych historycznych słów.

Wziął kawałek czerwonej kredy, przystawił do ściany stołek i napisał wielkimi literami:

Arsène Lupin zapisuje Francji wszystkie skarby Wydrążonej Iglicy, pod tym jednym warunkiem, że te skarby zostaną umieszczone w Muzeum Luwru, w salach nazwanych „Salami Arsène’a Lupin”.

— Teraz — powiedział — moje sumienie jest spokojne. Francja i ja jesteśmy kwita. Napastnicy walili z furją. Jedna z desek została wybita. Wsunęła się jakaś ręka, stukająca zamka.

— Do kroćset — rzekł Lupin — ten głupiec Ganimard gotów nareszcie dotrzeć do celu.

Skoczył do zamka i wyciągnął klucz.

— Wal teraz, staruszkule, te drzwi są mocne... Mam jeszcze czas... Beautrelet, żegnam cię... I dziękuję... bo mogłeś mi naprawdę skomplikować atak... lecz jesteś delikatny!

Skierował się ku wielkiemu tryptykowi Van der Weidena, przedstawiającemu Trzech Królów. Odchylił jego prawe skrzydło, odsłonił w ten sposób małe drzwi, po czym chwycił za klamkę.

— Szczęśliwego polowania, Ganimard, i powodzenia.

Rozległ się strzał. Lupin odskoczył.

— A, kanalio! W samo serce! Więc brałeś lekcje? Król mag ubity! W samo serce! Strzaskany jak fajka na jarmarku...

— Poddaj się, Lupin! — ryczał Ganimard, którego rewolwer wysunął się przez otwór w drzwiach i którego świecące oczy już było widać. — Poddaj się, Lupin!

— A twoja straż, czy ona się podda?

— Nie ruszaj się, bo strzelę.

— Ejże, tu mnie nie trafisz!

Istotnie, Lupin cofnął się i Ganimard wprawdzie mógł przez wyłamany otwór strzelić na wprost, ale nie był w stanie strzelić, a tym bardziej wymierzyć w bok, tam, gdzie stał Lupin.

Mimo to sytuacja Lupina była straszna, gdyż wyjście, na które liczył, małe drzwi za tryptykiem, znajdowały się wprost naprzeciw Ganimarda. Próbować uciec oznaczało wystawić się na ogień policjanta, a on miał jeszcze pięć kul w rewolwerze.

— Do diabła — rzekł, śmiejąc się — moje akcje spadły. Dobrze ci, mój stary Lupin, chciałeś doznać ostatecznego wrażenia i przeciągnąłeś strunę. Nie trzeba było tyle gawędzić.

Przyłgnął do ściany. Pod wysiłkiem ludzi Ganimarda ustąpiła jeszcze jedna deska i Ganimard zyskał na swobodzie ruchów.

Nie więcej niż trzy metry oddzielały przeciwników. Lecz gablotka z połączanego drzewa zasłaniała Lupina.

— Pomagaj, Beautrelet! — wrzasnął stary policjant, zgrzytając z wściekłości zębami. — Strzel do niego zamiast się bawić w ceregiele.

Izydor rzeczywiście nie poruszył się, pozostał zaciekawionym widzem, dotąd niezdecydowanym. Z całej ochoty wmieszałby się do walki i pomógł pokonać przeciwnika, którego miał w swych rękach, ale wstrzymywało go jakieś nieokreślone uczucie.

Wezwanie Ganimarda wstrząsnęło nim. Zacisnął dłoń na rękojeści rewolweru.

„Jeśli wezmę udział — pomyślał — Lupin przepadł. A mam do tego prawo... i to moja powinność...”

Ich oczy spotkały się. Oczy Lupina były spokojne, uważne, prawie ciekawe, jak gdyby w tym strasznym niebezpieczeństwie, które mu groziło, interesował go tylko problem moralny, rozgrywający się w młodym człowieku. Czy Izydor zdecyduje się strzelić do zwyciężonego przeciwnika?

Całe drzwi zatrzęszczały.

— Pomóżcie, Beautrelet, przecież go mamy! — krzyczał Ganimard.

Izydor podniósł rewolwer.

To, co się stało, odbyło się tak szybko, że dopiero później zdołał sobie zdać sprawę. Zobaczył, jak Lupin się schylił, pobiegł wzdłuż ściany, przemknął przed drzwiami, zaraz pod bronią, którą Ganimard wymachiwał na próżno, i nagle poczuł, jak on, Beautrelet, zostaje rzucony na ziemię i natychmiast poderwany w górę, podniesiony przez nieprzemogłą siłę.

Lupin trzymał go w powietrzu niby żywą tarczę, za którą mógł się skryć.

— Dziesięć do jednego, Ganimard, że się wymknę! Lupin, widzisz, zawsze znajdzie wybieg...

Cofnął się szybko do tryptyku. Trzymając jedną ręką Beautreleta przy piersi, drugą otworzył drzwiczki. Był ocalony.

Natychmiast ukazały się przed nimi schody, opadające ostro w dół.

— Dalej — rzekł Lupin, pchając przed sobą Beautreleta — armia lądowa pokonana... zajmijmy się teraz francuską flotą... Po Waterloo — Trafalgar⁷¹... Ubawisz się mały, co?... Ach, jakie to śmieszne, oni tam teraz walą w tryptyk... Za późno, moje dzieci... Ale pospiesz się, Beautrelet...

Schody, wykute w ścianie Iglicy, w samej jej skorupie, biegły wkoło piramidy spiralnymi zwojami.

Napierając jeden na drugiego, pędzili, przeskakując po dwa, po trzy stopnie naraz. Od czasu do czasu przez szczelinę wpadał błysk światła i Beautrelet widział przelotnie barki rybackie, krążące o kilkadziesiąt sążni, i czarny torpedowiec...

⁷¹bitwa pod Trafalgarem (21 października 1805) — bitwa morska stoczona podczas wojen napoleońskich pomiędzy flotą brytyjską pod dowództwem admirała Horacego Nelsona a połączoną flotą francusko-hispańską; zakończona wielkim zwycięstwem floty brytyjskiej, stała się początkiem hegemonii Brytyjczyków na morzach świata, trwającej aż do II wojny światowej. [przypis edytorski]

Schodzili i schodzili, Izidor milczący, a Lupin wciąż rozgadany.

— Chciałbym wiedzieć, co też tam robi Ganimard? Czy schodzi innymi schodami, żeby mi zamknąć wejście do tunelu? Nie, on nie jest taki głupi... Musiał tam zostawić ze czterech ludzi... i czterech ludzi wystarczy...

Przystanął.

— Słuchaj... Krzyczą tam na górze... Tak, musieli otworzyć okno i wołają na swoją flotę. Patrz, widzisz, poruszenie na barkach... Dają sobie znaki... Torpedowiec rusza. dzielny torpedowcu! Poznaję cię, przybywasz z Hawru... Kanonierzy, na swoje miejsca!... Do licha, sam komendant... Dzień dobry, Duguay-Trouin.

Wysunął rękę i pomachał chusteczką. Potem ruszył dalej.

— Flota nieprzyjacielska wyteża wszystkie siły — rzekł. — Niebawem wylądują. Boże, jak mnie to bawi!

Usłyszeli jakieś głosy pod sobą. W tej chwili zeszli do poziomu morza i dostali się prawie zaraz do wielkiej groty, gdzie wśród mroków poruszały się to tu, to tam dwie latarnie.

Pojawił się jakiś cień i oto jakaś kobieta rzuciła się na szyję Lupinowi.

— Prędko! Prędko! Byłam taka niespokojna... Co tam robiłeś?... Ale nie jesteś sam?...

Lupin uspokoił ją.

— To nasz przyjaciel, Beautrelet... Wyobraź sobie, że nasz przyjaciel Beautrelet był na tyle delikatny... Ale opowiem ci to później... teraz nie mamy czasu... Charolais, jesteś tu?... Ach, dobrze... A łódka?

Charolais odpowiedział:

— Łódka gotowa.

— Zapal — rozkazał Lupin.

Po chwili dał się słyszeć hałas motoru, a Beautrelet, który powoli przywyknął do ciemności, spostrzegł, że stoją na czymś w rodzaju nabrzeża, na brzegu wody, a przed nimi unosi się łódź.

— Łódź motorowa — rzekł Lupin, uzupełniając obserwacje Beautreleta. — He, jesteś zdumiony, Beautrelet... Nie rozumiesz?... Ponieważ ta woda to nic innego, jak woda morska, która za każdym przyplływem wpływa do tej groty, w rezultacie mam tu małą przystań, niewidzialną i bezpieczną.

— Ale zamknę ją — rzucił Beautrelet. — Nikt nie może tu wejść i stąd wyjść.

— Nikt prócz mnie — rzekł Lupin. — Zaraz ci dowiodę.

Najpierw wyprowadził Rajmunde, potem wrócił po Beautreleta, który się zawahał.

— Boisz się? — zapytał Lupin.

— Czego?

— Żeby cię torpedowiec nie wysłał na dno.

— Nie.

— Zatem zadajesz sobie pytanie, czy nie jest twoim obowiązkiem zostać po stronie Ganimarda, sprawiedliwości, społeczeństwa, moralności, zamiast iść na stronę Lupina, hańby, infamii⁷²?

— Tak.

— Na nieszczęście, Kochany, nie masz wyboru. Na razie muszą nas obu uważać za martwych... żeby mi dano spokój, który należy się przysłannemu porządnemu człowiekowi. Później, kiedy ci zwrócę wolność, będziesz mógł mówić, a ja nie będę już miał się czego obawiać.

Ze sposobu, w jaki Lupin ścisnął jego ramię, Beautrelet poznał, że wszelki opór byłby daremny. A zresztą, po cóż się opierać? Czyż nie odkrył i nie wydał Wydrążonej Iglicy? Czy nie miał prawa ulec sympatii, którą mimo wszystko wzbudzał w nim ten człowiek?

Uczucie to było w nim tak wyraźne, że miał ochotę powiedzieć mu: „Panie, grozi panu inne, poważniejsze niebezpieczeństwo: Herlock Sholmes jest na pańskim tropie...”

— Dalej, chodź — rzekł do niego Lupin, zanim się zdecydował to powiedzieć.

⁷²infamia (daw., z łac.) — niesława, hańba; kara pozbawienia czci, zwykle związana z utratą praw obywatelskich. [przypis edytorski]

Posłuchał i pozwolił zaprowadzić się do łodzi, której wygląd wydał mu się osobliwy i zupełnie niezwykły.

Kiedy znaleźli się na pokładzie, zeszli po stopniach małych, stromych schodów, a raczej drabinki, przytwierdzonej do wieka, które zamknęło się nad nimi.

U dołu schodów znajdował się jasno oświetlony, bardzo ciasny zakątek, w którym było w sam raz tyle miejsca, że mogli wszyscy troje usiąść.

Lupin podniósł tubę głosową⁷³ i rozkazał:

— Charolais, w drogę.

Izydor doznał niemiłego wrażenia, którego doznaje się, zjeżdżając windą, wrażenia usuwania się ziemi spod stóp, wrażenia pustki. Tym razem to woda ustępowała, a pustka otwierała się powoli...

— Co, toniemy? — zaśmiał się Lupin. — Uspokój się... Czas, żeby przemieścić się z górnej groty, w której się znajdujemy, do niewielkiej groty położonej na dole, w pół otwartej na morze, do której można się dostać przy niskim stanie wody... a którą znają wszyscy zbieracze małży... Ach, jeszcze dziesięć sekund... przepływamy... przejście jest wąskie, tylko na szerokość łodzi...

— Ale — zapytał Beautrelet — jak to możliwe, że rybacy wchodzący do dolnej groty nie wiedzą, że jest przebita u góry i łączy się z drugą, z której wychodzą schody przecinające Iglicę? Przecież prawda leży przed pierwszym przybyciem jak na dłoni.

— Mylisz się, Beautrelet! Sklepienie małej groty, znanej wszystkim, jest podczas odpływu zamknięte ruchomym sufitem koloru skały, który morze, gdy się podnosi, unosi do góry, a gdy opada, hermetycznie zamyka nad małą grotą. Dlatego w czasie przypływu mogę przepłynąć... Co, dobry pomysł?... Prawda, że ani Cezar, ani Ludwik Szesnasty, krótko mówiąc, żaden z mych poprzedników nie mógł wpaść na to, bo nie miał łodzi podwodnej... Zadowalali się schodami dochodzącymi do małej dolnej groty... Usunąłem ostatnie stopnie schodów i wymyśliłem sztuczkę z ruchomym sufitem... To prezent, który ofiarowuję Francji. Rajmundo, moja droga, zgaś lampę, która jest obok ciebie... już nam nie jest potrzebna... przeciwnie...

Rzeczywiście, kiedy opuszczali grotę, przywitało ich blade światło, barwy wody. Wnikało do kabiny przez dwa boczne iluminatory i przez wystającą z pokładu grubą szklaną pokrywę, która pozwalała widzieć górne warstwy morza.

Naraz przemknął ponad nimi jakiś cień.

— Zaczynają atak. Flota nieprzyjacielska otacza Iglicę... Lecz chociaż Iglica jest wydrążona, zastanawiam się, jakim cudem się do niej dostaną...

Ujął tubę głosową:

— Nie opuszczajmy dna, Charolais... Dokąd płyniemy? Ależ powiedziałem ci... Do Portu Lupina, i to całą naprzód, tak? Potrzebujemy wody do wylądowania... mamy ze sobą damę.

Przemykali tuż nad skalistym dnem. Podniesione wodorosty poruszały się niby ciężka, ciemna roślinność, a głębokie prądy wodne sprawiały, że falowały z wdziękiem, rozciągając się i zwijając jak bujne włosy.

Nowy cień, jeszcze dłuższy...

— To torpedowiec — rzekł Lupin. — Odezwie się głos armaty... Co zrobi Duguay-Trouin? Zbombarduje Iglicę? Pomyśl, Beautrelet, ile tracimy, nie widząc spotkania Duguay-Trouina i Ganimarda! Zjednoczenie sił lądowych i morskich!... Hej, Charolais, nie śpij, kochany...

Płynęli jednak bardzo szybko. Po skałach nastąpiły pola piasku, wkrótce potem zobaczyli nowe skały, wyznaczające prawy kraniec Etretat, bramę Amont.

Ryby uciekały na ich widok. Jedna z nich, śmielsza, przyłgnęła do szklanej płyty i parzyła na nich wielkimi, nieruchomymi oczami.

— No, ale jedziemy! — zawołał Lupin. — Cóż powiesz o mojej łupinie z orzecha, Beautrelet? Niezła, co?... Czy przypominasz sobie awanturę z Sept-de-coeur, marny koniec inżyniera Lacomba i jak po ukaraniu jego morderców ofiarowałem państwu jego dokumenty i plany konstrukcji nowego typu łodzi podwodnej: jeszcze jeden podarunek

⁷³tuba głosowa — urządzenie złożone z dwóch stożków połączonych rurą powietrzną, przez które mowę można przenosić pomiędzy pomieszczeniami; w XIX w. używane do komunikacji wewnętrznej na statkach i w biurach; wyparte przez telefon. [przypis edytorski]

dla Francji. Otóż z tych planów zachowałem jeden dotyczący łódki podwodnej i dzięki temu masz zaszczyt pływania w moim towarzystwie...

Zawołał na Charolais:

— W górę, już nie ma niebezpieczeństwa...

Podnieśli się szybko w górę aż do powierzchni i szklany kloz wynurzył się.

Byli o milę od brzegu, poza zasięgiem wzroku, a Beautrelet zdał sobie teraz jasnie sprawę z zawrotnej szybkości, z jaką posuwali się naprzód.

Najpierw minęli Fécamp, potem wszystkie plaże normandzkie: Saint-Pierre, Petites-Dalles, Veulettes, Saint-Valery, Veules, Quiberville.

Lupin wciąż żartował, a Izydor bez znużenia patrzył na niego i słuchał, zdziwiony werwą tego człowieka, jego wesołością, jego łobuzerstwem, jego ironiczną beztróską i radością życia.

Przypatrywał się także Rajmundzie. Młoda kobieta milczała, przytulona do tego, którego kochała. Wzięła jego dłonie w swoje i często podnosiła na niego oczy. Beautrelet zauważył kilkakrotnie, że jej dłonie lekko się zaciskały, a w jej oczach wzmógł się smutek. Za każdym razem była to jakby niema i bolesna odpowiedź na wybryki Lupina. Zdawałoby się, że ta lekkość jego słów, ten sarkastyczny pogląd na życie sprawiał jej ból.

— Cicho — szepnęła. — Śmiech wyzywa przeznaczenie... Jeszcze tyle może nas czekać nieszczęść!

Naprzeciw Dieppe musieli się zanurzyć, żeby uniknąć zauważenia przez łodzie rybackie. Po dwudziestu minutach skręcili w stronę brzegu i łódź wpłynęła do małego podmorskiego portu, utworzonego w nieregularnym wydrążeniu między skałami, podpłynęła bokiem do mola i podniosła się na powierzchnię.

— Port Lupina — oznajmił Lupin.

Miejsce to, położone o pięć mil od Dieppe i o trzy od Tréport, osłonięte z prawej i z lewej strony dwoma osuwiskami klifu, było zupełnie puste. Delikatny piasek pokrywał zaokrąglone zbocze malutkiej plaży.

— Na ląd, Beautrelet... Rajmundo, daj mi rękę... Ty, Charolais, wróć do Iglicy, zobacz, co się dzieje pomiędzy Ganimardem i Duguay-Trouin, i wróć pod koniec dnia, żeby mi o tym opowiedzieć. Ta sprawa strasznie mnie interesuje.

Beautrelet zastanawiał się z zaciekawieniem, jak wydostaną się z tej ciasnej zatoczki, nazywanej Port Lupin, gdy zauważył u stóp klifu poręczę żelaznej drabiny.

— Izydorze — rzekł Lupin — gdybyś znał geografę i historię swojego kraju, wiedziałbyś, że znajdujemy się w głębi wąwozu Parfonval, w gminie Biville. Przeszło sto lat temu, w nocy dwudziestego trzeciego sierpnia tysiąc osiemset trzeciego roku Georges Cadoucal i jego sześciu współpracowników, którzy wylądowali we Francji z zamiarem porwania pierwszego konsula, Bonapartego, wdrapali się aż na samą górę drogą, którą ci pokażę. Potem droga ta uległa zniszczeniu, zaważyły ją osypiska. Ale Ludwik Valméras, bardziej znany jako Arsène Lupin, odnowił ją na własnym koszt i kupił dobra Neuville, w których spiskowcy spędzili swą pierwszą noc i gdzie, wycofawszy się ze spraw tego świata, zamierza żyć wraz z żoną i matką życiem szacownego posiadacza ziemskiego. Gentleman-włamywacz umarł, niech żyje gentleman-gospodarz.

Za drabiną następowała jakby gardziel, stromy wąwóz, wyrzeźbiony bez wątpienia przez ulewy, na dnie którego znajdowało się coś w rodzaju schodów zaopatrzonych w poręcz. Otóż, jak to wyjaśnił Lupin, poręcz została umieszczona zamiast długiej liny, przy-mocowanej do dwu pali, z której korzystali niegdyś wieśniacy przy schodzeniu na plażę.

Po półgodzinnym uciążliwym wchodzeniu znaleźli się na płaskowyżu, niedaleko jednej z tych wykopanych w ziemi budek, które służą za schronienie nadbrzeżnej straży celnej. I faktycznie po dwóch minutach zjawił się strażnik.

Wyprężył się na baczność i zasalutował.

Lupin zapytał go:

— Nic nowego, Gomeł?

— Nic, panie.

Śmiech, Los

— Nie spotkałeś nikogo podejrzanego?
 — Nie, panie... ale...
 — Co?
 — Moja żona, która jest szwaczką w Neuville...
 — Tak, wiem... Cezaryna... Moja matka mówiła mi o niej. No?
 — Zdaje się, że jakiś marynarz plątał się dziś rano po wsi.
 — Jak wyglądał ten marynarz?
 — Jak nietutejszy... jak Anglik.
 — Ach! — zawołał zaintrygowany Lupin. — I nakazałeś Cezarynie...
 — Żeby uważała, tak, panie.
 — To dobrze, uważaj na powrót Charolais'a za trzy godziny. Gdyby coś się wydarzyło, jestem w domu.
 Powiedziawszy to, poszedł dalej ze swymi towarzyszami i zwrócił się do Beautreleta:
 — To mnie niepokoi... Czy to Sholmes? Ach, jeśli to on, i w dodatku z pewnością rozwścieczony, to trzeba się lękać wszystkiego.
 Zawahał się przez chwilę.
 — Zastanawiam się, czy nie powinniśmy wrócić. Tak, mam złe przeczucia...
 Jak okiem sięgnąć, rozciągały się przed nimi lekko pofałdowane równiny. Nieco na lewo piękna aleja drzew wiodła do dworu Neuville, którego budynki już było widać... Był to przygotowany przez niego zakątek, azyl, który przyrzekł Rajmundzie. Czyż miałby z powodu głupich przeczuc wyrzec się szczęścia w chwili, w której dobijał do brzegu?
 Ujął Izydora za ramię i wskazał mu idącą przodem Rajmundę:
 — Popatrz na nią. Kiedy idzie, jej postać kołysze się z lekka... nie mogę patrzeć na to bez drżenia... Ale w ogóle wszystko w niej daje mi ten dreszcz wzruszenia i miłości, jej ruchy i jej spoczynek, jej głos i jej milczenie. Słuchaj, samo podążanie śladami jej kroków sprawia mi prawdziwą rozkosz. Ach, Beautrelet, czy ona kiedyś zapomni, że byłem Lupinem? Czy zdołam wymazać z jej pamięci całą tę przeszłość, którą ona przeklina?
 Opanował się i z upartą pewnością rzekł:
 — Zapomni! Zapomni, gdyż dla niej poświęciłem wszystko. Poświęciłem niedostępną kryjówkę w Wydrążonej Iglicy, swoje skarby, swoją potęgę i dumę... Poświęciłem wszystko... Nie chcę już być niczym... niczym, tylko człowiekiem, który kocha... człowiekiem szlachetnym, gdyż ona może kochać tylko człowieka szlachetnego... Zresztą, cóż mi to być szlachetnym? To wcale nie hańbi bardziej od innych rzeczy...
 Żart ten wymknął mu się, by tak rzec, mimowolnie. Jego głos był poważny i bez ironii. Mówił cicho, z powstrzymaną gwałtownością:
 — Ach, widzisz, Beautrelet, ze wszystkich szalonych radości, których doznałem w swym awanturniczym życiu, żadna nie jest warta radości, którą mi sprawia jej spojrzenie, kiedy jest ze mnie zadowolona... Czuję się wtedy słaby jak dziecko... i mam ochotę płakać...
 Czyżby płakał? Beautreletowi zdawało się, że łzy napłynęły mu do oczu. Łzy w oczach Lupina! Łzy miłości!
 Zbliżyli się do starej bramy wjazdowej.
 Lupin przystanął na chwilę i wyjąkał:
 — Czemuż ja się boję?... Coś mnie przygniata... Czy przygoda z Wydrążoną Iglicą jeszcze się nie skończyła? Czy los nie zgadza się na rozwiązanie, które wybrałem?
 Rajmunda odwróciła się, mocno zaniepokojona.
 — Cezaryna tu biegnie...
 Żona strażnika rzeczywiście biegła bardzo prędko od dworu.
 Lupin poskoczył do niej.
 — Co? Co takiego? Mówcie?
 Zdyszana Cezaryna wykrztusiła:
 — Jakiś człowiek... Widziałam w salonie jakiegoś człowieka...
 — Tego Anglika z rana?
 — Tak, ale znowu przebranego...
 — Widział was?
 — Nie. Widział pańską matkę. Pani Valmériasowa zaskoczyła go, gdy wychodził.
 — No i?
 — Powiedział jej, że szuka Ludwika Valmérias, że jest pańskim przyjacielem.

— Wtedy...
— Wtedy pani powiedziała mi, że jej syn wyjechał w podróż... na wiele lat...
— I odszedł?...
— Nie. Dawał przez okno wychodzące na równinę jakieś znaki... jak gdyby kogoś wołał.

Lupin jakby się wahał... Wtem straszny krzyk przeszył powietrze. Rajmunda jęknęła:

— To twoja matka... poznaję...

Rzucił się do niej i ciągnąc ją gwałtownie, wołał:

— Uciekajmy... Ty naprzód...

Lecz natychmiast zatrzymał się, zrozpaczony, zmieszany.

— Nie, nie mogę... To wstrętne... Przebac mi, Rajmundo... ta biedna kobieta... Zostań tu... Beautrelet, nie opuszczaj jej.

Pobiegl wzdłuż skarpy okalającej gospodarstwo, skręcił i pędził dalej, aż dopadł bramy wychodzącej na równinę.

Rajmunda, której Beautrelet nie zdołał powstrzymać, dobiegła prawie równocześnie z nim. Beautrelet, ukryty za drzewami, spostrzegł w opuszczonej alei prowadzącej z dworu do bramy trzech ludzi, z których najwyższy szedł na czele, a dwaj inni prowadzili jakąś kobietę, usiłującą się opierać i wydającą bolesne jęki.

Dzień dobiegał końca. Jednak Beautrelet poznał Herlocka Sholmesa. Kobieta była z podeszłym wieku. Siwe włosy otaczały jej ołowianą twarz.

Zbliżali się wszyscy czworo.

Doszli do bramy. Sholmes otworzył jedno skrzydło.

Wówczas Lupin podszedł i stanął przed nim.

Zderzenie było tym straszniejsze, że milczące, prawie uroczyste.

Przeciwnicy długo mierzyli się wzrokiem. Jednakowa nienawiść wykrzywiła oblicza obu. Nie ruszyli się.

Lupin wygłosił ze straszliwym spokojem:

— Rozkaż swym ludziom puścić tę kobietę.

— Nie.

Zdawało się, że obaj wahają się rozpocząć ostateczną walkę, że obaj zbierają wszystkie swe siły. Tym razem nie było zbędnych słów ani obelg, ani szyderczych prowokacji. Milczenie, śmiertelne milczenie.

Rajmunda czekała w szalonej trwodze na wynik walki. Beautrelet chwycił ją za ramię i unieruchomił.

Po chwili Lupin powtórzył:

— Rozkaż swym ludziom puścić tę kobietę.

— Nie.

Lupin rzekł:

— Słuchaj, Sholmes...

Lecz przerwał, rozumiejąc bezsens jakichkolwiek słów. Wobec tego olbrzyma pychy i woli, który nazywał się Sholmes, cóż znaczyły groźby!

Zdecydowany na wszystko, nagle podniósł rękę do kieszeni surduta. Anglik uprzedził jego ruch, skoczył do uwięzionej kobiety i przyłożył lufę rewolweru prawie do jej skroni.

— Nie ruszaj się, Lupin, bo strzele!

W tej samej chwili dwaj towarzysze Sholmesa wydobyli rewolwery i wymierzili w Lupina.

Lupin wyprostował się, pohamował wściekłość i chłodno, z rękami w kieszeniach, z piersią naprzeciw wroga, zaczął od nowa:

— Sholmes, po raz trzeci, zostaw tę kobietę w spokoju...

Anglik roześmiał się:

— Może nie mamy prawa jej tknąć? Ejże, ejże, dosyć tej blagi! Ty się nie nazywasz Valmérias, tak samo jak nie nazywasz się Lupin, ukradłeś to nazwisko, tak jak ukradłeś nazwisko Charmerace. A ta, którą przedstawiasz jako swoją matkę, to Wiktoria, twoja stara współniczka, która cię wychowała.

Sholmes zrobił głupstwo. Uniesiony żądzą zemsty, spojrzal na Rajmundę, którą przeraziły te rewelacje. Lupin skorzystał z tej chwili i szybkim ruchem wystrzelił.

Pojedynek

— Przekleństwo! — ryknął Sholmes, którego przestrelone ramię opadło wzdłuż ciała.

I zawołał do swoich ludzi:

— Strzelajcie! Strzelajcie!

Ale Lupin rzucił się już na nich i nie upłynęły dwie sekundy, a ten po prawej leżał na ziemi z roztrzaskaną piersią, a drugi ze zdruzgotaną szczęką upadł na bramę.

— Pospiesz się, Wiktorio! Zwiąż ich... A teraz, Angliku, tylko ty i ja!

Schylił się, klnąc.

— Ach, łajdaku!...

Sholmes lewą ręką chwycił rewolwer i wymierzył.

Huk... okrzyk trwogi... Rajmunda rzuciła się między obu mężczyzn, twarzą do Anglika. Zachwiała się, podniosła rękę do szyi, wyprostowała się, obróciła i upadła u stóp Lupina.

— Rajmundo!... Rajmundo!

Rzucił się ku niej, wziął ją w ramiona i przycisnął do siebie.

— Nie żyje — powiedział.

Nastąpiła chwila oszołomienia. Sholmes wydawał się zmieszany z powodu swego czynu. Wiktoria bełkotała:

— Mój mały... mój mały...

Beautrelet postąpił naprzód i pochylił się nad młodą kobietą, chcąc ją zbadać. Lupin powtórzył:

— Nie żyje... nie żyje... — tonem głuchym, jak gdyby jeszcze nie rozumiał.

Lecz jego twarz nagle wykrzywiła się, zmieniona strasznym bólem. Potem ogarnął go rodzaj szaleństwa, wykonywał bezsensowne ruchy, zaciskał pięści, tupał nogami, jak dziecko, które zbyt wiele cierpi.

— Nędzniku! — krzyknął nagle w przystępie nienawiści.

I jednym strasznym rzutem przewrócił Sholmesa, chwycił go za gardło i wpił w nie paznokcie.

Anglik charczał, nie broniąc się nawet.

— Mój mały, mój mały — błagała Wiktoria.

Beautrelet podbiegł. Lecz Lupin już puścił i płakał obok swego przeciwnika, rozciągniętego na ziemi.

Żaloszny widok! Beautrelet z pewnością nigdy nie zapomniał tej tragicznej chwili, on, który znał całą miłość Lupina do Rajmundy i to wszystko, czego się wyrzekł wielki awanturnik, żeby ożywić jednym uśmiechem oblicze swej ukochanej.

Noc zaczęła przykrywać pole walki osłoną mroku. Trzej Anglicy leżeli w wysokiej trawie związani i zakneblowani. Wtem ciszę w dolinie przerwały pieśni. To ludzie z Neuville wracali z pracy.

Lupin wyprostował się. Słuchał monotonnej pieśni. Potem patrzył na szczęśliwy dwór, w którym spodziewał się żyć szczęśliwie obok Rajmundy. Potem spojrzął na nią, biedną zakochaną, którą miłość zabiła, która spała, całkiem biała, snem wiecznym.

Ludzie tymczasem zbliżali się.

Wówczas Lupin pochylił się, wziął zmarłą w swe potężne ramiona, podniósł ją jednym wysiłkiem i zgięty we dwoje, ułożył na swych plecach.

— Chodźmy, Wiktorio.

— Chodźmy, mój mały.

— Żegnaj, Beautrelet — rzucił, odchodząc, Lupin.

I obarczony swym cennym i strasznym ciężarem, w towarzystwie swej starej służącej, cichej i groźnej, odszedł w stronę morza i zniknął w głębokim mroku...

Śmierć

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/leblanc-wydrazona-iglica/>

Tekst opracowany na podstawie: Maurycy Leblanc, Wydrążona iglica, t. 1, t. 2, Wydawnictwo "Taniej książki", Warszawa [1927].

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec-Gryz, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-6136-7

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.